



WOLFGANG
SCHORLAU

ZMOWA
MILCZENIA



WOLFGANG
SCHORLAU

ZMOWA
MILCZENIA

ZMOWA MILCZENIA

DRUGA SPRAWA DENGLERA

Z języka niemieckiego

przełożył Cezary Murawski

Tytuł oryginału: DAS DUNKLE SCHWEIGEM

Gabrieli

Korzenie nie rzucają cienia.

Przysłowie afrykańskie

Bezdusznosc bogatych daje biednym prawo do niegodziwości.

Markiz de Sade

John Lee Hooker na prezydenta! *Erie Burdon*

Prolog: Bruchsal, 1 marca 1945 roku

Pocisk artylerii przeciwlotniczej uderzył tuż za dużym śmigłem, trafiając w kadłub myśliwca Mustang P-51, i natychmiast eksplodował. Płaszcz pocisku rozerwał się na 1500

odłamków o ostrych krawędziach, zgodnie z przewidywaniami jego konstruktorów.

Fala gorąca przetoczyła się przez maszynę, a Steven Blackmore znalazł się pośrodku białego, oślepiającego piekła. Nagły skok ciśnienia rzucił samolotem w bok niczym piłką.

Głowa Stevena Blackmore'a uderzyła o poszycie dachu kabiny, następnie impet eksplozji wcisnął mu twarz w deskę rozdzielczą.

Sądził, że nacisk pasa bezpieczeństwa połamie mu łopatki. Rzuciło go w tył razem z siedzeniem, jakby ogromna pięść nagle pochwyciła samolot i zatrzymała go w miejscu. Widział wyraźnie, jak jedno ze śmigieł przeistoczyło się w jakąś dziwną rzeźbę, zanim zniknęło z pola widzenia.

Blackmore przesunął się do przodu fotela.

Czy maszyna jest jeszcze sterowna?

Wskazanie paliwa? W normie.

Kontrola broni pokładowej.

Spojrzenie w prawo.

Wszystkie trzy karabiny maszynowe zostały oderwane od skrzydła, ich lufy sterczały teraz ku niebu pod groteskowymi kątami. Palcem wskazującym Steven sprawdził mechanizm spustu zamontowany na drążku sterowniczym. Wystrzelił salwę z trzech karabinów maszynowych lewego skrzydła. Funkcjonowały bez zarzutu.

Spojrzał badawczo na główne instrumenty lotnicze w żółtym sektorze.

Żyroskop kursowy w porządku, sztuczny horyzont w normie, skrętomierz działa.

Maszyna nie trzymała się jednak osi lotu.

Ciśnienie paliwa w przewodach spadło, wskazania wariometru skoczyły do góry: maszyna pikowała pionowo w dół.

Chwycił za stery, by wyprostować tor lotu maszyny. Samolot nie reagował.

Stery wysokości przestały działać. Prawdopodobnie trafiony został dźwigar główny.

Mustang stracił sterowność.

„Muszę się katapultować.”

Prawą ręką sięgnął do czerwonej dźwigni po prawej stronie.

Zacisnął dłoń.

Pociągnął za dźwignię.

Pociągnął obiema rękami.

Wtedy dach kabiny zniknął.

Odpiął pas bezpieczeństwa.

„Muszę wyjść na lewe skrzydło.”

Zbiornik w prawym skrzydle eksploduje, zanim pilot zdąży się oderwać od fotela.

Steven Blackmore katapultuje się niczym ludzka armatnia kula ku chłodnemu, marcowemu niebu. W stronę niebieskiego sklepienia. Nogami do przodu. Jakaś lodowata pięść ciśnie mu głowę w stronę żołądka, coś ścisną go ze wszystkich stron, jakby zaraz miał się stać maleńką puszką.

Śmiertelnie trafiony Mustang leci dalej bez niego.

„Tak zatem jest, kiedy się umiera” - zdążył pomyśleć.

Po czym stracił przytomność.

„Wkrótce wrócę do Chicago - jeszcze tego ranka myślał Steven Blackmore. - Wojna jest wygrana”.

Nie rozumiał Niemców.

Dlaczego się nie poddają?

Amerykańskie wojska lądowe dotarły już do granic niemieckiej Rzeszy, na obszarach górskiego pasma Eifel i w Saarlandzie.

Stały na terenie Alzacji i szykowały się do uderzenia przez Palatynat, w kierunku Renu.

Rosjanie z kolei niedługo zajmą Berlin. Dniem i nocą eskadry alianckich bombowców zrzuciły tysiące ton bomb burzących i zapalających na niemieckie miasta i na pewno zabijały teraz więcej cywili niż podczas wszystkich poprzednich lat wojny razem wziętych. Mimo to -

Blackmore potrząsnął z niedowierzaniem głową - Niemcy z bezsensownym uporem w sytuacji zupełnie beznadziejnej wciąż walczyli.

Przed dwoma tygodniami zrzucił ze swoją eskadrą ładunki na tory dworca kolejowego w małej miejscowości nad Renem, której nazwę już dawno zapomniał. Jeszcze tej samej nocy ci szaleńcy naprawili tory. Wykonany w południe zwiad lotniczy dostarczył zdjęć dwóch po-ciągów ciągniętych przez parowozy, był to transport sprzętu na front w kierunku zachodnim.

Major Waters pokazał im fotografie i przetłumaczył zdanie, które dużymi białymi literami Niemcy wypisali na jednej z dwóch lokomotyw: *Räder müssen rollen für den Sieg* - „Koła muszą się toczyć dla zwycięstwa”. Następnego dnia dwadzieścia latających fortec przeprowadziło nalot dywanowy na ten dworzec towarowy oraz pobliskie miasteczko, zmieniając wszystko, co znajdowało się na powierzchni ziemi, w mieszaninę gruzu, stali, krwi i kości.

Porucznik Steven Blackmore po zakończeniu szkolenia w bazie Tuskegee, w stanie Alabama, większość walk wojennych odbył we Włoszech. Rozpoznawalna dzięki pomalowanemu na czerwono tylnym sterom 332. Eskadra Myśliwców zapewniała ochronę eskadrom bombowców z 12. i 15. Grupy Taktycznej Air Forces, kiedy te startowały z Włoch i atakowały pozycje Wehrmachtu lub przeprowadzały akcje bojowe nad miastami w południowych Niemczech. Teraz kilka mustangów oddelegowano do miejscowości Toul-Ochey, by ubezpieczały przemieszczanie się wojsk w kierunku Renu. Pierwszy marca miał być dla nich dniem wolnym, wczesnym rankiem nadszedł jednak rozkaz bojowy. Samoloty 352. Eskadry My-

śliwców z bazą na lotnisku

Chievres w Belgii, które miały osłaniać duży zespół bombowców ze wschodniej Anglii oraz z Kimbolton na południu Anglii, po spotkaniu z nimi w okolicach Strasburga, nie mogły wystartować ze względu na mgłę. W tej sytuacji ich zadanie musiały wypełnić mustangi stacjonujące w Toul-

Ochey.

Odprawa poranna była krótka: major Waters przedstawił pilotom mapę planowanej akcji i wskaźnikiem zaznaczył okręgi na jej wycinku zawieszonym na ścianie.

- Nasze oddziały znajdują się bezpośrednio na przedpolach Saarbrücken oraz w Alzacji.

Szkopy okopały się w Palatynacie i po następnym naszym ataku zamierzają się wycofać. Siły powietrzne planują jednak odciąć im drogę odwrotu, dzięki czemu wróg nie będzie w stanie uciec ani też zbudować nowego stanowiska obronnego. Nasze główne zadanie to przerwanie transportu ludzi i sprzętu drogami kolejowymi. Naziści prawie nie mają paliwa i każdą sztukę amunicji muszą dowozić na front koleją. W nocy naprawiają tory i nocą transportują materiały.

Dlatego musimy zniszczyć węzły kolejowe.

Skierował wskaźnik na niewielką miejscowość na wschód od Renu. Później wziął ze stołu wydruk z dalekopisu i pomachał nim przed oczyma pilotów.

- Rozkaz 1679. Określa cele akcji bojowej numer 857, zaplanowanej na dzisiejsze po-

łudnie. Są to: stacja manewrowa Bruchsal, stacje manewrowe i towarowe Neckarsulm, He-ilbronn, Reutlingen, Göppingen i Ulm, a także fabryki części zapasowych Messerschmitta w Baumenheim i Schwabmünchen, zakłady Klöckner-Humboldt-Deutz produkujące czołgi w Ulm oraz magazyn amunicji w Ulm. Miejsce spotkania z bombowcami wyznaczono osiem kilometrów na południowy zachód od Strassburga. Tu są wasze mapy lotnicze. Jakies pytania?

Nikt nie zadał pytań.

Na południe od Strasburga, punktualnie o wyznaczonym czasie, spotkał ogromną grupę bombowców, które przyleciały pasem nie bronionym ogniem artylerii przeciwlotniczej między Karlsruhe i Mannheim. Nadlatujące bombowce zawsze robiły na nim ogromne wrażenie. Tym razem było to ponad tysiąc latających fortec, które leciały w szyku trzypiętrowym - na trzech różnych pułapach, zajmując w ten sposób powierzchnię mniej więcej 300 kilometrów. Formacja kierowała się na wschód, a po następnych czterdziestu kilometrach ogromna grupa rozdzieliła się na poszczególne bojowe skrzydła, które wzięły kurs w kierunku wyznaczonych celów.

Blackmore towarzyszył trzem formacjom, które oddzieliły się od ogromnej grupy bombowców: 379, 303 i 384, w sumie było to sto siedemnaście ciężkich bombowców B17, a ich cel stanowiło miasteczko Bruchsal.

Raczej nie zakładano, że istnieje groźba niemieckiej obrony powietrznej. Piloci wroga już od miesięcy przegrywali z mustangami każdy pojedynek powietrzny. Szkopom brakowało paliwa, z tego powodu ich piloci nie byli dobrze wyszkoleni. Hitler posyłał więc do boju młodych ludzi, których po kilku godzinach lotu czekała pewna śmierć.

„Zauważają nas zbyt późno. Jeśli nadlatujemy z tyłu, w ogóle nie widzą.” Blackmore w tym roku zestrzelił już trzy messerschmitty i stwierdził, że była to łatwa zdobycz.

Także artyleria przeciwlotnicza, która kiedyś wywoływała panikę, dawno już zamilkła.

Niemieckie miasta leżały na dole bezbronne. Rzadko pojawiały się na niebie tylko białe, małe obłoczki, które powstawały, gdy granat przeciwlotniczy eksplodował i przemieniał się w niebezpieczne odłamki. Budzące lęk dywany takich granatów, które wcześniej powodowały paniczny lęk pilotów bombowców B17, już od dawna przestały się pojawiać. Jeśli teraz otwierano ogień z broni przeciwlotniczej, to Niemcy strzelali zazwyczaj bez planu i niecelnie. Waters oświadczył swoim ludziom, że wróg przesunął wszystkie załogi obrony przeciwlotniczej na front wschodni. Na południu działka przeciwlotnicze obsługiwały wyłącznie dzieci i młodzież.

Piloci wysłuchali tych słów w milczeniu, chociaż nie każdy dawał wiarę słowom Watersa.

Trzy formacje amerykańskich bombowców były osłaniane przez trzy dywizjony myśliwców 379-tą z przodu, 303-cią w środku i na końcu przez 348. W jednej z nich leciał Blackmore.

Każda z trzech grup składała się z trzech eskadr lecących na różnych pułapach. W

pierwszej kolejności, na średnim pułapie, w powietrzu sunął dywizjon prowadzący w liczbie dwunastu bombowców. Z tyłu za nim, przesunięty w lewą stronę i lecący niżej, sunął niższy dywizjon składający się z trzynastu maszyn, a z tyłu po prawej, na najwyższym pułapie, formację zamykał wyższy dywizjon złożony z czternastu samolotów. Dalej leciała kolejna grupa bombowców, również złożona z trzech bojowych eskadr. Trzy grupy bombowców rozciągały się w powietrzu na rozpiętość 15 kilometrów, co stanowiło mniej więcej odległość pokonywaną podczas trzech minut lotu.

Blackmore wyprowadził mustanga na szpicę pierwszej formacji. O godzinie 13.41

skręcił z dywizjonem prowadzącym 379 dywizjon bombowców, która tworzyła pierwszą linię uderzenia, nad Pfalzgrafenweiher w Schwarzwaldzie, wykonał skręt ku północy i obierając kurs na Bruchsal. Blackmore trzymał się teraz lewej formacji. „Zachmurzenie od czterech do sześciu” - zarejestrował w myślach. Później powłoka chmur przerwała się i nagle zobaczył pod sobą domy. Przeleciał nad nimi, za nim bomby spadały na miasto niczym deszcz.

Gdy zbliżyła się druga formacja uderzeniowa, Blackmore zauważył, że wyższy dywizjon za bardzo zbliżył się do maszyn lecących przed nim. Dlatego formacja zmieniła kurs, wykonała szeroki nawrót o pełny kąt 360 stopni i ustawiła się ponownie za bombowcami B17

trzeciej formacji uderzeniowej. Blackmore również wszedł swoją maszyną w szeroki zakręt w prawo.

Wtedy mniej więcej pięć kilometrów przed sobą zobaczył dwa białe obłoczki na wysokości około pięciu i pół tysiąca metrów.

Ogień broni przeciwlotniczej!

Skorygował kurs mustanga i odbezpieczył broń pokładową.

Kiedy leciał w stronę niemieckich stanowisk, tam, gdzie się ich spodziewał, ogarnęła go bezmierna wściekłość.

Przed dwoma dniami w kasynie doszło do bijatyki. Tamtego wieczoru na scenie grał

zespół złożony z białych muzyków i, co oczywiste, grali czarną muzykę. Saksofonistą był mały rudowłosy człowiek z wydatnym brzuchem i niezliczonymi drobnymi niebieskimi żyłkami na nosie. Blackmore pomyślał, że to pewnie Irlandczyk. Mężczyzna wydymał policzki niczym żaba rycząca z delty Missisipi. Usiłował imitować styl Charliego Parkera i odtwarzać karko-

łomnie szybkie kaskady dźwięków, jednak nie do końca mu się to udawało. Pocił się, jego palce nie nadążały, opuszczał niektóre tony - wszyscy czarni żołnierze dostrzegli to z satysfakcją. Parker był dla niego zbyt szybki.

Białym chłopakom na tanecznym parkiecie wcale to nie przeszkadzało. Tańczyli, uśmiechali się i kołysali w kółku razem z francuskimi dziewczynami, które chętnie skorzystały z zaproszenia do koszar jednostki lotniczej, kierując się częściowo sympatią do wyzwolicieli, a częściowo także ciekawością - chciały poznać *american way of life*.

Gdy zespół odważył się zagrać utwór *Groovin' High*, nagle z miejsca podniósł się sierżant Sonny Cotton, czarnoskóry mechanik pokładowy Blackmorea, i ruszył z saksofonem w rękę ku scenie. Wokalista zespołu, mężczyzna o ciemnych, zaczesanych do tyłu włosach i zapewne włoskim pochodzeniu, dostrzegł go, podał mu rękę i wciągnął na podest. Niewielki wzrostem Irlandczyk natychmiast odstąpił na bok i zrobił sierżantowi miejsce przed mikrofonem.

Blackmore przymrużył oczy i patrzył daleko przez przednią szybę kokpitu. Słońce stało wysoko na niebie. Wciąż nie dostrzegał stanowiska broni przeciwlotniczej. Gdzie skryły się te Szwaby?

Gdy tylko Sonny stanął przed mikrofonem, stał się gwiazdą na scenie. Odchylił instrument w tak charakterystyczny sposób od ciała i rzeczywiście zagrał jak Charlie Parker.

Swoim saksofonem tchnął życie w zespół. Tomy rozbrzmiewały teraz szybko i ostro. Perkusista wyrwał się z rutyny, skoncentrował się, uderzał szybciej i mocniej. Trębacz obrócił się ku Sonny'emu i próbował podjąć z nim muzyczny dialog, dając delikatnym kiwnięciem instrumentu znak sierżantowi, żeby ten zagrał solówkę. Czarny saksofonista w roboczym uniformie, z krawatem wsuniętym za drugi guzik koszuli od munduru, stał się centralną postacią na scenie.

Pozostali muzycy instynktownie dostosowali się do niego. Rozległy się tony swingu, który wszystkim był potrzebny nie tylko po to, aby skłonić do tańca nogi, ale również dusze tych, którzy znaleźli się na parkiecie.

Blackmore dostrzegł, że styl tańca par przed sceną uległ zmianie. Tańczyli teraz swo-bodniej. I szybciej.

Żołnierze przy stolikach zerwali się na równe nogi i zaczęli klaskać. Pary wirowały na parkiecie. Kelnerzy nie byli już w stanie przedrzeć się przez tłum. Blackmore przypomniał

sobie najlepsze chwile w Green Mili w Chicago. Lokalu, który czasami odwiedzał, chociaż ten znajdował się w północnej części miasta. Tam nie było segregacji rasowej, podobnie jak w armii. Kiedy w tamtym miejscu muzyka osiągnęła ten poziom gorączki, wtedy zniknęła niewidzialna linia na środku parkietu, która oddzielała od siebie czarnych i białych gości, a pary i kolor skóry mieszały się swobodnie i bez oporów.

Taka właśnie atmosfera zapanowała w kasynie tamtego wieczoru przed dwoma dniami.

Była już bliska punktu wrzenia i dlatego nikt nie zwrócił uwagi na czterech białych żołnierzach, którzy raczyli się gorzałką na uboczu, nie odwracając wzroku od sceny. Przez chwilę namawiali się, po czym przywołali do siebie kolejnych białych żołnierzach. Niczym groźna masa pół godziny później stanęli obok drzwi wejściowych i wpatrywali się w scenę. Patrzyli na Sonny'ego, który znów grał solo stanowiące hołd wobec Charliego Parkera. Przy drzwiach gromadzili się kolejni biali żołnierze z ponurymi twarzami, a gdy było ich już około dwudziestu, kiedy poczuli się dostatecznie silni i upojeni alkoholem, ruszyli przed siebie, odpychając tańczących na bok i torując sobie drogę ku scenie. Kilku chłopaków z parkietu oraz kilka francuskich dziewczyn usiłowało protestować, kiedy odsuwano ich bez pardonu na bok, ale tańczyli dalej, gdy grupa rozrabiaków ich minęła.

Pod sceną dwóch białych chwyciło Sonny'ego za nogawki. On był pogrążony w so-lówce i nie zauważył tego. Strzepnął ich ręce z nogi, nie patrząc w tamtą stronę, jakby chciał się pozbyć natrętnego małego kundla. Wtedy napastnicy chwycili naraz za obie nogawki i Sonny upadł na podłogę. Usiłował utrzymać prawą ręką saksofon w powietrzu, chcąc uchronić go przed zniszczeniem, jednak gdy tylko znalazł się na deskach, wyciągając prawą rękę z instrumentem do góry, napastnicy ściągnęli go ze sceny, on zaś walnął mocno głową w podłogę.

Dwudziestu napastników utworzyło wokół niego krąg, a następnie biali przystąpili do ataku.

Jeden z nich wyskoczył i dwiema stopami zgniótł saksofon, ukochany saksofon Sonny'ego, jego narzeczoną - jak go nazywał. Klapki i inne metalowe części odskakiwały, jakby usiłowały uciec. Biały żołnierz, chudy, niepokaźny facet w okularach, którego Blackmore widział

wcześniej w magazynie paliw, podskoczył jeszcze raz i podeszwami butów zmienił lejkowatą tubę instrumentu w pozbawioną sensu i kształtu metalową masę.

Najdalej z tyłu przy ścianie, gdzie siedzieli czarni żołnierze, kilka krzeseł się przewró-

ciło. Zerwali się na równe nogi i pobiegli do przodu, chcąc pomóc swemu bratu. Pary pod sceną przestały tańczyć. Francuskie dziewczyny piszczały lub zachęcały swoich partnerów, by ci przyszli z pomocą murzyńskiemu muzykowi, którego bito i zdeptywano niemal na śmierć.

Żaden z białych żołnierzy na parkiecie nie ruszył jednak nawet palcem. Spuścili tylko głowy i milczeli, a francuskie dziewczęta nie wiedziały dlaczego. Jedna z nich skoczyła od tyłu na któregoś z żołdaków kopiających czarnego żołnierza, lecz ten strząsnął ją. Upadła na podłogę.

Czarni żołnierze dotarli do kręgu napastników. Jeden z nich podniósł dziewczynę, pozostali chwycili za znajdujących się najbliżej białych pastwiących się nad Sonnym. W tym momencie drzwi otworzyły się z impetem, a do sali wbiegło czterech wojskowych żandarmów z wyciągniętymi pałkami. Wokalista zespołu dał muzykom znak, a ci niepewnie zagrali szybkiego swinga, którego radosna melodia dodatkowo podkreśliła brutalną groteskę tej sceny.

Trzech czarnych żołnierzy uniosło porządnie poturbowanego Sonny'ego. Blackmore przez chwilę dostrzegł ciemną, krwistą masę, która wcześniej była twarzą sierżanta. Ktoś jeszcze raz nadepnął resztki jego saksofonu i kopnął je pod scenę.

Wtedy stało się to, co Blackmore'owi wciąż jeszcze wydawało się istnym cudem.

Francuskie dziewczyny odsunęły się od swoich dotychczasowych partnerów. Nie chciały już z nimi tańczyć. Nie z tymi białymi dupkami. Najpierw jedna z młodych kobiet w zielonej, szafonowej spódnicy, która wcześniej usiłowała przyjść z odsieczą Sonny'emu, podeszła do jednego z czarnych żołnierzy. Jej przyjaciółka, która stała obok niej i płakała, przyłożywszy do oczu białą chusteczkę, pojęła jej zamiary. Uniosła dumnie głowę i również podeszła do innego z czarnych, ciężko dyszących żołnierzy. „*Would you dance with me, please?*” To samo zrozumiała następna i jeszcze jedna - w końcu wszystkie, te śliczne francuskie młode kobiety, podeszły do czarnoskórych żołnierzy, niektóre kłaniały się nawet i prosiły o kolejny taniec.

Do samego rana czarnoskórzy żołnierze opowiadali tę historię bez końca.

Teraz ten przeklęty ogień artylerii przeciwlotniczej.

Wtedy dostrzegł błysk wystrzału oraz żółtą ognistą kulę, która mknęła w jego kierunku.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1. Chodzi o spadek

- Chodzi o spadek - rzekł mężczyzna.

Umówili się w Vinum, modnej trattorii usytuowanej w stuttgartckim Domu Literatury, tuż obok hali koncertowej. Była godzina dziesiąta przed południem. Georg Dengler i siedzący naprzeciwko niego człowiek byli jedynymi gośćmi. Niedaleko młoda kobieta była zajęta ustawianiem wąskich, szklanych wazoników, wypełnionych zieloną i niebieską wodą oraz gerberami - przypadającymi po jednej na wazonik. Mężczyzna spoglądał w kierunku kobiety.

Obróciła się do nich plecami. Miała na sobie dopasowane granatowe dzinsy. Dengler zauważył, że na udach, obu pośladkach oraz w kroku spodnie były przebarwione na biało, jakby te konkretne miejsca miały szczególnie przyciągnąć uwagę. Przypomnił mu się film przyrodniczy, który oglądał poprzedniego popołudnia w telewizji. Najstarsza rangą samica goryli miała najbardziej wydatne genitalia w całym stadzie i wystawiała je na pokaz innym samicom, chcąc przypomnieć im o swojej dominującej pozycji w grupie.

- Spadek? - zapytał swojego interlokutora przy stoliku. Mężczyzna odwrócił głowę od kobiety i spojrzał na Denglera.

- Bardzo osobliwa sprawa - powiedział i znów podążył wzrokiem w kierunku młodej kobiety. Dengler czekał. Nie odwracając od niej wzroku, mężczyzna wyciągnął z kieszeni marynarki wizytówkę i podał mu ją nad stołem.

- Rozmawialiśmy przez telefon - dodał.

Dengler przytaknął. Kilka dni temu odsłuchał informację nagraną na automatycznej sekretarce. Nie podając nazwiska, dzwoniący powiedział stłumionym głosem, że potrzebuje pomocy prywatnego detektywa i zostawił swój numer telefonu. Kiedy Dengler oddzwonił, mężczyzna, który odebrał, przedstawił się jako Robert Sternberg, po czym tym samym przytłumionym głosem pośpiesznie opisał swoją sprawę. W dokumentach zmarłej matki znalazł

umowę z 1947 roku, na podstawie której jego dziadek przekazał w darowiźnie hotel. Rodzina postanowiła wynająć detektywa, by zbadać kulisy tej transakcji, bo być może udałoby się unieważnić tę darowiznę. Dengler przerwał wtedy swojemu rozmówcy i umówili się na spotkanie. Klient zaproponował restaurację Vinum.

Teraz zdenerwowany Sternberg siedział naprzeciw niego. Najwyraźniej nie czuł się najlepiej, a jego niespokojne brązowe oczy unikały kontaktu z Denglerem. Detektyw przyglądał się taksującym wzrokiem nowemu klientowi. Mógł mieć około czterdziestu lat. Drobne zmarszczki rysowały się na jego czole, a dwie głębsze były widoczne w lewym i prawym kącie ust, biegingy ku podbródkowi. Włosy miał ciemne i przerzedzone, na skroniach już wyraźnie cofnięte. Także na czubku głowy Dengler dostrzegł początki łysiny. Twarz miał opanowaną, nie było widać napiętych mięśni. Kanciasta czaszka nadawała obliczu Sternberga czworokątny kształt, co potęgowało wymowę wyrazu jego twarzy, z której przebijał ponury nastrój i brak zadowolenia z życia.

Dengler westchnął.

- Mówi pan, że pana dziadek podarował ten hotel? - zapytał Dengler. - W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, jak pan wspomniał? Czy pytał pan dziadka o tę darowiznę?

Sternberg spojrzał na Denglera poirytowany.

- Mój dziadek od dawna nie żyje - wyjaśnił obcesowo. - W zeszłym tygodniu zmarła także moja matka. Wśród jej dokumentów znaleźliśmy tę umowę.

- Czy ma pan ją przy sobie?

Robert Sternberg przytaknął i podniósł z podłogi teczkę ze świńskiej skóry, kładąc ją na kolanach. Gdy rozsunął zamek błyskawiczny, Dengler zauważył, że na wewnętrznej stronie jego dłoni pojawiła się cienka warstewka potu. Także na jego nozdrzach dostrzegł drobne perełki potu.

Szybkim ruchem Sternberg wyciągnął koszulkę na dokumenty z przezroczystej folii, a teczkę postawił ponownie na podłodze. Wyciągnął ostrożnie arkusz papieru z koszulki i po-

łożył go na stole. Prawą dłonią przejechał po papierze dwa razy, jakby chciał wygładzić dokument. Dengler zauważył, że wilgotna dłoń zostawiła w dwóch miejscach ciemniejsze plamy.

Georg Dengler wyciągnął rękę. Mężczyzna zawahał się przez moment, po czym przesunął umowę w jego stronę.

Młoda kobieta rozstawiła już wszystkie wazoniki z farbowaną wodą. Podeszła do ich stolika i zapytała, co chcą zamówić. Dengler zamówił podwójne espresso, a Robert Sternberg filiżankę kawy i koniak.

Tekst umowy był zadziwiająco krótki. Chodziło w nim o nieruchomość, Hotel Zamkowy, w miejscowości o nazwie Gündlingen. Dengler sprawdził datę: 24 czerwca 1947 roku.

Dotychczasowy właściciel, Volker Sternberg, przekazywał hotel w darowiźnie niejakiemu Kurtowi Rothowi. Nie Kurt Roth jednak, ale jego prawny przedstawiciel, tak przynajmniej wywnioskował Dengler z nagłówka dokumentu, podpisał umowę. Mężczyzna nazywał się Albert Roth, zatem krewny obdarowanego. Opiekun prawny? Dengler sprawdził dane osobowe w nagłówku umowy i cicho zagwizdał. Jak wynikało z daty urodzenia obdarowanego Kurta Rotha - 18 lutego 1932 roku - w chwili otrzymania darowizny miał on zaledwie piętnaście lat.

Co uzasadniało wystąpienie w umowie prawnego opiekuna, ale - Dengler raz jeszcze przeanalizował dane osobowe - dlaczego trzydziestosześcioletni mężczyzna, Volker Sternberg, darowywał hotel piętnastoletniemu chłopcu?

Detektyw przekartkował pożąłkłe strony. Nigdzie nie dostrzegł ceny zakupu ani też żadnego świadczenia wzajemnego. w punkcie *Inne postanowienia* przeczytał: *Umowa obowiązuje, do czasu wypełnienia przez obie strony postanowień zawartym w aneksie I do umowy.*

- Gdzie znajduje się ten aneks?
- Tego nie wiemy. Nie znaleźliśmy tego aneksu, nie wiemy też, co się w nim znajduje.
- My?
- Moja siostra i ja. Oboje jesteśmy pana zleceniodawcami.
- Czy zna pan ludzi, do których teraz należy hotel? - zapytał Dengler.

Sternberg pokręcił przecząco głową.

- Ani moja siostra, ani ja nie wiedzieliśmy, że hotel kiedyś był własnością naszej rodziny.

Kobieta przyniosła podwójne espresso i postawiła filiżankę kawy oraz koniak przed Sternbergiem. Ten podziękował krótkim skinieniem głowy i wypił alkohol jednym haustem.

Grzbietem dłoni odsunął kawę na bok.

- Dobrze - podjął rozmowę Dengler. - Kiedy więc mógłbym rozpocząć pracę?
- Tak szybko, jak będzie pan mógł, najlepiej już od jutra. Georg Dengler wyciągnął dokument z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał go Sternbergowi.

- To jest formularz zlecenia - poinformował. - Moje usługi będą kosztowały państwa osiemdziesiąt euro za godzinę, do tego należy też dodać pokrycie wydatków oraz kosztów podróży. Przy podpisaniu zlecenia musi pan z góry zapłacić zaliczkę za cztery godziny.

Ku jego zdziwieniu Robert Sternberg podpisał zlecenie, przejrzawszy je pobieżnie.

- Razem to będzie trzysta dwadzieścia euro - podsumował i wyciągnął portfel.
- Zgadza się - potwierdził Georg Dengler i odchylił się na oparcie.

Umówili się na spotkanie następnego dnia o godzinie dwunastej na dworcu kolejowym w Gündlingen.

2. Po tym, jak Sternberg zapłacił rachunek

Po tym, jak Sternberg zapłacił rachunek i opuścił restaurację Vinum, Georg Dengler siedział jeszcze przez chwilę przy stoliku. W końcu on również wstał.

Przeszedł w poprzek Berliner Platz i niespiesznie podążył Fritz-Elsass-Strasse. Przed kioskiem z gazetami zatrzymał się i przeczytał tytuły gazet. Bezrobocie przekroczyło pięć milionów. Odpowiedzialny za to minister oświadczył, że nie należy tego traktować jak katastrofę. Na tytułowej stronie dziennika „Bild” widniał tytuł: *Panie Ministrze, czy chce pan nas zuboż...* - Dengler nie

dokończył i ruszył dalej.

Kiedy skręcił w Wagnerstrasse, rozległ się dzwonek jego komórki.

- Mówi Jakob.

Syn Denglera, Jakob, mieszkał z matką w stuttgarckiej dzielnicy Heslach. Właśnie z tego powodu Dengler przeprowadził się do Stuttgartu, mimo to widywał się z Jakobem rzadko.

Hildegard, jego była żona, chroniła chłopaka niczym skarb, który chciała zachować wyłącznie dla siebie. Jej pracodawca, jakiś bank, wysłał ją w delegację na pół roku do Rostocku. Ich wspólnego syna zabrała z sobą.

- Dzwonię z komórki mamy.

Dengler zaproponował, że natychmiast oddzwoni, ale chłopiec opowiadał mu już o wycieczce statkiem oraz burzy sprzed dwóch dni. Nagle w tle rozległ się głos Hildegard.

- Muszę kończyć - powiedział chłopiec i rozłączył się. Dengler chciał oddzwonić, na wyświetlaczu nie pokazał się jednak numer. Hildegard zablokowała identyfikację jej nu-meru.

Dengler zatęsknił za synem.

Dziesięć minut później stał przed barem Basta w Bohnen. Jego mieszkanie i biuro znajdowały się nad barem, nie był jednak w nastroju do biurowej pracy, wszedł więc do lokalu.

Martin Klein, który również wynajmował mieszkanie w tym domu, siedział przy małym stoliku obok okna i skinął w jego stronę ręką. Był ubrany, jak zawsze, na czarno. Dzisiaj miał na sobie czarne, szerokie spodnie z grubego materiału oraz również czarny sweter. Jego szare włosy były modnie ostrzyżone, a z uszu wystawała mu bezczelnie kiść szarej szczeciny. Przed nim na stole leżał plik wydruków oraz wieczne pióro.

- Ach, witam, detektywie! - zawołał głośno. - Chodź tu Georg, przysiądź się do mnie.

Przeczytam ci twój horoskop.

- Dzisiejszy?

- Bzdury, dzisiejszy jest już wydrukowany w gazetach! Jestem jedyną osobą, która zna jutrzejsze horoskopy.

- Ponieważ sam je piszesz.

Przysiadł się do stolika, przy którym siedział przyjaciel. Łysy kelner z Basty postawił

na stoliku filiżankę z podwójnym espresso. Dengler podziękował skinieniem głowy.

- Baran. Mamy go tu. Co o tym sądzisz: *Jutro spotkasz kogoś interesującego. Otwórz się na nowe sprawy. Problemy finansowe wciąż będą cię gnębić?*

- Czy nie możesz zmienić tych problemów finansowych? W zamian mogę zrezygnować z interesującego spotkania. Prawdopodobnie ten horoskop także się nie sprawdzi. Już dzisiaj otrzymałem jedno zlecenie.

- Czy dzięki temu staniesz się bogaty? Dengler się roześmiał.

- Cieszę się, jeśli mogę związać koniec z końcem. Żeby jednak poprawić stan finansów, musiałbym mieć co najmniej trzy zlecenia. Póki co mam tylko jedno.

- Zatem mój horoskop jest trafny.

Zadowolony z siebie Martin Klein klepnął go w ramię.

- Cóż, być może otrzymam kolejne zlecenie dziś wieczorem - odparł Georg Dengler.

Pochylił się nad stolikiem w stronę Martina Kleina.

- Wybieram się na comiesięczne spotkanie stuttgarckich detektywów. Kancelaria de-tektywistyczna Nolte organizuje raz w miesiącu tak zwany *Jour fixe*. Dotąd unikałem kontaktu z innymi detektywami, ale dziś chciałbym tam zajrzeć i przy okazji spotkać wielkiego Richarda Nolte. On poszukuje ludzi do ochrony.

- Czy mój horoskop wciąż będzie trafny, nawet przy dwóch zleceniach?

- Niestety.

Dengler zamieszał w filiżance espresso.

- Być może będę w stanie załatwić ci trzecie zlecenie - odezwał się Martin Klein.

- Nie zajmuję się mokrą robotą. Martin Klein roześmiał się.

- Mam już dosyć pisywania horoskopów - wyjaśnił po chwili. - Chciałbym ponownie napisać dobrą powieść kryminalną.

- Twoje ostatnie trzy książki w ogóle się nie sprzedawały. Po cóż ci więc czwarta?

- Brakuje mi tylko właściwego tematu, potrzebuję po prostu dobrej kanwy.

- Do czego ja jestem ci potrzebny?

- To całkiem proste - odparł Martin Klein. - Opowiesz mi swoje sprawy, a ja z tego zrobię powieść.

Otrzymasz jedną czwartą mojego honorarium za horoskopy.

- Hm.

- Na czym polega sprawa, której się teraz podjąłeś?

- To sprawa spadkowa.

Na twarzy Martina Kleina pojawił się grymas.

- Sprawa spadkowa! To brzmi naprawdę emocjonująco. Jak mam z tego zrobić powieść kryminalną?

- Przykro mi, chętnie zająłbym się dużymi aferami gospodarczymi, zarabiał dużo pieniędzy i przy okazji dostarczył ci materiału na porywający kryminał - powiedział Dengler, po czym zmienił temat.

- Kiedy wraca Olga?

Olga wynajmowała mieszkanie na trzecim piętrze nad barem Basta. W zeszłym tygodniu pojechała do Zurychu na operację dłoni.

- Dzisiaj wieczorem, mój drogi. Dzisiaj wieczorem znowu będzie z nami.

Dengler podniósł filiżankę z kawą i roześmiał się.

Na dworze zaczęło padać.

3. Jour fixe odbyło się wieczorem

Jour fixe odbyło się wieczorem o godzinie dziewiętnastej w kantine największej kancelarii detektywistycznej Stuttgartu. Biura Security Services Nolte & Partners były poło-

żone w najlepszej lokalizacji w mieście, przy Königstrasse, zaledwie kilka minut drogi od dworca. Dengler poszedł piechotą. Żeby dojść z Bohnen, potrzebował jedynie przejść na drugą stronę Hauptstatter-strasse, która przecinała miasto na pół niczym maczeta. Wziął z sobą stary męski parasol, który znalazł w jednym z wciąż jeszcze nierozpakowanych po przeprowadzce pudeł. Nitka łącząca materiał z drutem oderwała się i fragment materiału łopotał na wietrze, a zimna wilgoć kapłała mu na twarz. Dlatego szedł z głową opuszczoną i szybkim krokiem. Nieco po wpół do ósmej znalazł się przy dwuskrzydłowych, szklanych drzwiach na czwartym piętrze dużego biurowego budynku.

Dengler podał swoje nazwisko jednemu z dwóch mężczyzn przy wejściu. Ten spojrzał

na listę gości, skinął głową, zanotował coś przy jego nazwisku i pokazał mu drogę. Dengler ruszył przez korytarz w stronę otwartych drzwi w kantine, a pośpiesznym krokiem wybiegł w jego kierunku jakiś mężczyzna, który właśnie opuszczał *jour fixe*. Wyglądał na Chińczyka lub pół-Chińczyka, miał żółtawą cerę, jego wiek był trudny do określenia. Na smyczy za sobą ciągnął małego, ciężkiego psa, jakąś karłowatą odmianę pinczera, który nie bardzo chciał iść za swoim panem. „Co za obrzydliwy

kundel” - pomyślał Dengler. Zwierzę zapierało się o podłogę wszystkimi czterema łapami, na nic się to jednak nie zdało, ponieważ Chińczyk ciągnął go po wypolerowanej posadzce, przeklinając przy tym z austriackim akcentem. Dengler obejrzał się za tą dziwną parą. „Gdzieś ich chyba już widziałem” - przemknęło mu przez głowę. Wszedł

do kantyny.

Security Services Nolte & Partners sprawiało wrażenie, że nie cierpi na brak zleceń.

Kantyna była dużym, pomalowanym na biało pomieszczeniem, trzy razy większym niż całe mieszkanie Denglera razem z biurem. Po lewej stronie stał bar z czarnego drewna. Kobieta w białej koszulce z napisem: „Dla twojego bezpieczeństwa - Best Security Services: Nolte & Partners”, szybko nalewała piwo. Druga, nieco starsza, w takim samym t-shircie nalewała czerwone wino do podstawianych kieliszków. W pomieszczeniu znajdował się tuzin niewielkich stolików otoczonych czarnymi krzesłami z wikliny, siedziało tam już około trzydziestu osób. Z tyłu za barem tłoczyło się siedmiu mężczyzn w średnim wieku. Czterech z nich miało na sobie ciemne bluzy, trzech czarne skórzane kurtki. Każdy z nich miał krótką bródkę. „Wyglądają jak gliniarze na urlopie - pomyślał Dengler. - Nic dziwnego, że takich policjantów da się wyczuć z daleka.”

Jeszcze w trakcie służby w Federalnym Urzędzie Kryminalnym Georg Dengler zmienił

styl ubierania. Nie chciał być natychmiast rozpoznawany jako glina w cywilu po dzinsach i skórzanej kurtce. Od tamtej pory najczęściej nosił granatowy garnitur, a dzinsy jedynie do marynarki i jasnej koszuli lub ciemnego t-shirtu. Na tym zgromadzeniu był również kimś obcym. Podszedł do baru, a mężczyźni, którzy stali po lewej i po prawej stronie, natychmiast odeszli na bok. Przyglądali mu się z nieskrywaną nieufnością.

Kobieta, która nalewała czerwone wino, spojrzała na niego i skinęła w jego kierunku głową. Postawiła przed nim kieliszek. Dengler od razu zapłacił. Upił łyk.

- Hej, my się przecież znamy...

Jakaś dłoń klepnęła go w plecy. Tembr głosu był wysoki i nieprzyjemny. Dengler nie odwrócił się.

- Ty przecież jesteś tym dochodzeniowcem z Federalnego Urzędu Kryminalnego. Pa-miętasz mnie?

Mały mężczyzna w żółtej skórzanej kurtce przysiadł się do niego. Miał rzadkie wąsy, a w ustach błysnął mu złoty ząb wstawiony na przedzie. W jego twarzy było coś, co przypominało łasicę. Dengler nie był w stanie sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział tego gościa.

Inni mężczyźni znów odwrócili się w jego stronę i przypatrywali się natrętnie. Łasica chwycił

jego dłoń i pośpiesznie uściśnął. Dengler wyczuł chłodny pot na jego ręce i instynktownie cofnął swoją.

- Rümmlin. Gerd Rümmlin. Nie przypominasz sobie? Brałem udział w zatrzymaniu Rolfa Heisemanna w Grecji. Obserwowałem jeden z kiosków w Atenach. Była to świetna robota!

Sprawa Heisemanna - Dengler w drugim roku pracy w urzędzie jako śledczy polował na tego niemieckiego terrorystę. Dowiedział się od jego przyjaciółki, że Heisemann zatrzymał się w Grecji. Wiedział też, że czytuje on regularnie „Süddeutsche Zeitung”. Dengler zorganizował

wówczas obserwację wszystkich punktów sprzedaży gazety na terenie Grecji, a prowadzili ją funkcjonariusze niemieckiej i greckiej policji kryminalnej. Trzeciego dnia akcji aresztowano poszukiwanego przy jednym z kiosków w Salonikach. Najwidoczniej mężczyzna w żółtej skórzanej kurtce uczestniczył w tej akcji.

Łasica ponownie klepnął go w ramię.

- Pracowałem wtedy w policji kryminalnej w Ludwigsburgu, oddelegowano mnie do udziału w tej operacji. To było kilka wspaniałych dni. Dużo ouzo.

„Prawdopodobnie koledzy w Ludwigsburgu bardzo się cieszyli, że zdołali uwolnić się od tego typu na kilka dni” - pomyślał Dengler.

Łasica zamówił piwo. Barmanka natychmiast przystawiła szklanekę do beczki. Rümmlin pociągnął głęboki łyk i ponownie zwrócił się do Georga Denglera:

- Teraz przeszedłem do sektora gospodarki wolnorynkowej - oznajmił.

Dengler spojrział w łasicowatą twarz, której wąs pokrył się pianą z piwa. Poczuł, jak rosła w nim wątpliwość, nie po raz pierwszy zresztą, czy właściwie uczynił, porzucając pracę w Federalnym Urzędzie Kryminalnym.

- Jak leci? - zapytał cicho i rozejrzał się w daremnej nadziei, że dostrzeże kogoś, kogo zna.

- Jak najlepiej - oznajmił pyszałkowato Łasica. - Mam dostatecznie dużo roboty - otarł dłonią piwną pianę z ust.

Georg Dengler przyglądał się mężczyźnie, który, teraz zadowolony z siebie, mlasnął.

- Pracuję dla miasta - oznajmił, robiąc ważną minę i pociągnął kolejny łyk piwa.

- Dla miasta?

Łasica postawił szklanekę ostrożnie na barze.

- Tobie zdaje się nie idzie najlepiej? - zapytał.

- Jako tako - odparł Dengler.

Zobaczył, że w głowie Łasicy błysnęła jakaś myśl.

- Chodź ze mną.

Łasica wziął swoją szklanę z piwem, a drugą ręką pociągnął Denglera w stronę małego stolika i usiadł na jednym z czarnych, plecionych krzeseł. Georg Dengler usiadł naprzeciwko.

- Superglina bez roboty - stwierdził Rümmlin. Dengler powstrzymał się od komentarza.

Łasica pochylił się ku niemu nad stolikiem.

- Posłuchaj. Mam dostatecznie dużo zleceń. Mogę cię też wciągnąć do interesu z miastem. Tam jest naprawdę mnóstwo roboty Ale... - na chwilę zawiesił głos i świdrował wzrokiem Denglera. - Musiałbym coś z tego mieć dla siebie - odezwał się w końcu.

Dengler czekał.

- Dwadzieścia procent - zadeklarował Łasica. Dengler spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

- Dwadzieścia procent - powtórzył Łasica zniecierpliwionym głosem. - Dwadzieścia procent z tego, co zarobisz dzięki mojemu pośrednictwu. Tyle będziesz mi oddawał. Wtedy wciągnę cię do interesu.

Odchylił się na oparcie fotela, jakby właśnie rozwiązał trudne zadanie.

- Na czym to właściwie polega? - zapytał Dengler.

- Chodzi o naciągaczy i tych, którzy korzystają bezprawnie z zasiłku socjalnego - oznajmił Rümmlin.

- Którzy pracują na czarno? Łasica machnął ręką z dezaprobatą.

- Bzdura - skomentował. - Kontrolujemy, czy ludzie otrzymują od państwa pieniądze zgodnie z IV etapem reformy Hartza, słyszałeś o tym kiedyś? Dzięki tym przepisom mam mnóstwo zleceń.

Znów pochylił głowę w stronę Denglera.

- Mnóstwo kobiet otrzymuje pieniądze od państwa niezgodnie z prawem. Naprawdę żyją z jakimiś mężczyznami i oszukują państwo. My zaś sprawdzamy, czy wszystko odbywa się zgodnie z paragrafem. Jeśli nie, sporządzam raport, a miasto przestaje wypłacać pieniądze.

Część z tego trafia do mojej kieszeni. W ten sposób zarabiają wszyscy. Poza bałwanami, któ-

rych przyłapiemy - z jego ust dobiegł podły chichot, który brzmiał jak meczenie kozy. Znów spojrzał na Denglera.

- Wiem, że jesteś doskonałym fachowcem, w przeciwieństwie do innych tutaj.

Ręką wskazał na zebranych dookoła.

- Wprowadzę cię w interes, ale musisz mi obiecać dwadzieścia procent.

Dengler sprawiał wrażenie niezdecydowanego. „Czyżbym upadł już tak nisko, że taki typ będzie mi ofiarowywał fuchę?” - spytał sam siebie.

- Skup się, daję ci propozycję - podjął znów Łasica. - Pójdiesz ze mną jednego dnia na próbę. Przy okazji przekonasz się, jak łatwo zarobić te pieniądze.

Wyciągnął karteluszek z kieszeni.

- Pojutrze mam robotę do wykonania. Chodź ze mną. spotkamy się o siódmej rano...

Posunął po stole w jego stronę karteczkę z adresem mieszkania w dzielnicy Vaihingen.

- Będę tam - zgodził się Dengler.

- Dwadzieścia procent - powtórzył Łasica i wyciągnął dłoń nad stołem. Dengler uści-śnął ją i poczuł obrzydzenie.

W tym samym momencie do ich stolika przysiadł się starszy, elegancko ubrany mężczyzna. Dengler dostrzegł, że Łasica kurczy się w sobie.

- Dobry wieczór, panie Nolte - wydusił z siebie Rümmlin zduszonym głosem.

- Pan jest zapewne Georgiem Denglerem - odezwał się mężczyzna, nawet nie patrząc na Rümmlina.

Łasica wstał pośpiesznie i odszedł od stolika.

4. Kiedy Steven Blackmore znów doszedł do siebie

Kiedy Steven Blackmore znów doszedł do siebie, spadał jak kamień w stronę ziemi.

Zdjęty paniką sięgnął ręką na plecy. Ulga - spadochron wciąż jeszcze tam był. Prawą ręką zaczął szukać na piersiach linki desantowej.

Jest.

Pociągnął i... Spadał dalej.

Przez przeraźliwie długi moment był przekonany, że spadochron spalił się lub został

uszkodzony. Po chwili poczuł jednak gwałtowne szarpnięcie. Spojrzał w górę i zobaczył, jak otwiera się nad nim ogromna czasza. Blackmore sięgnął do linek sterujących.

Na prawo i lewo od niego spadały kaskady ognia, iskier oraz resztki jego mustanga.

Zniknęły w chmurze, ku której on sterował.

Kiedy wyłonił się ponownie z chmury, zobaczył pod sobą płonące miasto. Wyglądało jak złoty

dywan lizany płomieniami. Dostrzegł potok, który świecił się na czerwono od wciąż wybuchających bomb zapalających.

Poczuł gorąco, które teraz sięgnęło do niego.

Z całej siły pociągnął teraz za lewą linkę sterującą, a spadochron powoli, leniwie zmienił kierunek opadania. Pilot minął poziom szalejącą pod nim i skierował się ku północy.

Powoli tracił wysokość.

5. Dengler spojrzął na Richarda Nolte

Dengler spojrzął na Richarda Nolte. Właściciel Security Services Nolte & Partners miał

ponad pięćdziesiąt lat, chociaż z pewnością nie przekroczył jeszcze sześćdziesiątki. Jego garnitur sprawiał wrażenie drogiego, chociaż nie w sposób natrętny. Biała koszula, granatowy krawat, srebrzyste, starannie ostrzyżone włosy.

Mężczyźni zmierzyl się wzrokiem.

Jedna z kobiet postawiła na stole przed właścicielem firmy szklankę z wodą mineralną.

Dengler zwrócił uwagę na jasnoniebieskie oczy mężczyzny, które sprawiały wrażenie zanurzonych w przezroczystej cieczy.

- Cieszę się, że mógł pan przyjść - odezwał się w końcu Nolte.

Dengler skinął głową. Czekał.

- Widzi pan... - Nolte starł wyimaginowany pyłek z blatu stołu. - W naszej branży rzadko spotyka się ludzi o nieposzlakowanej opinii, a pan, panie Dengler, cieszy się taką szczególną estymą. W Wiesbaden wciąż opowiada się o pana niezwykłych wyczynach.

„Chce zrobić na mnie wrażenie swoimi stosunkami w urzędzie kryminalnym” - po-myślał Dengler.

- My zawsze szukamy dobrych ludzi. Najlepszych ludzi. Rozmowa zdawała się podążać w dobrym kierunku, mimo to Dengler wciąż jeszcze czekał.

- Czasy są jednak ciężkie we wszystkich branżach, także w naszej - dodał Nolte.

Utkwił wzrok w Denglerze.

- Nie mam dla pana roboty, która odpowiadałaby pana kwalifikacjom - podjął Nolte. -

Być może później, ale w tej chwili nie.

Nolte zamilkł, nie spuszczał jednak wzroku z Denglera.

- W takim razie cieszę się, że mogłem pana poznać - oznajmił Dengler i podniósł się z krzesła. Nolte machnął ręką, jakby chciał go prosić, żeby ponownie usiadł. Dengler stanął nieruchomo.

- Niech pan mimo to zostanie - nalegał Nolte. - Być może jednak coś razem wymyślimy Dengler usiadł.

- Potrzebuję kogoś do ochrony bankietu. Chodzi o bardzo bogatych ludzi. Nie mogę tam posłać swoich zwykłych pracowników, ich wygląd jest zbyt podejrzany. Potrzebni mi są tacy ochroniarze, którzy wiedzą, jak nosi się coś lepszego niż skórzana kurtka.

Dengler milczał.

- Moi klienci są bardzo bogaci, ale jak to zwykle z bogatymi, są też bardzo oszczędni.

Nolte nie jest w stanie zaoferować panu więcej niż czterdzieści euro za godzinę.

- Jakieś ryzyko? Czy to zajęcie jest niebezpieczne?

- Nie, absolutnie nieszkodliwe. Przyjęcie urodzinowe u miliarderów. Ochrona to w tym wypadku właściwie wyznacznik statusu społecznego. Nie spodziewam się żadnego zagrożenia, nie zostały też sformułowane specjalne wymogi co do bezpieczeństwa.

- Oferuje mi pan połowę mojej normalnej stawki godzinowej.

Nolte wzruszył ramionami, jak gdyby było mu przykro.

I czekał.

„On się czai” - pomyślał Dengler.

- Pod jednym warunkiem - odezwał się w końcu detektyw. - Wezmę z sobą jeszcze jednego człowieka. Nie będzie to pana nic kosztowało.

Nolte sprawiał wrażenie, że się namyśla.

- Zgoda - odrzekł w końcu. - Niech pan dostarczy jutro rano do mojego biura jego nazwisko oraz adres.

Dengler wyciągnął formularz z kieszeni marynarki.

- To formularz zlecenia - wyjaśnił. - Moglibyśmy teraz... Richard Nolte dotknął lekko ramienia Denglera.

- Mamy własne formularze umów. Jutro rano dostanie pan ją do podpisania.

Wstał od stolika. Dengler także się podniósł i podał mu dłoń, po czym szef Security Services Nolte & Partners podszedł do następnego stolika.

Detektyw zastanawiał się przez moment, czy powinien usiąść i dopić resztę czerwonego wina. Z dalszego kąta pomieszczenia pomachał do niego Rümmlin. Dengler ruszył jednak do wyjścia i wziął swój stary parasol ze stojaka.

„Dwa obsrane zlecenia w jeden wieczór” - pomyślał.

Na zewnątrz wciąż jeszcze padało.

6. Olga siedziała przy dużym stoliku

Olga siedziała przy dużym stoliku pod lustrem. Przy niej promieniał Martin Klein - w dłoni trzymał butelkę białego wina i napełniał jej kieliszek. Georg Dengler zatrzymał się przy drzwiach baru Basta i przyglądał się jej. Wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Lśniące, płomieniście czerwone włosy sięgały jej ramion. Kiedy odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się z powodu jakichś słów Martina, dostrzegł jej zęby, białe i równe niczym u gwiazdy ekranu.

Gdy Olga go dostrzegła, wstała i pomachała w jego stronę przyjaźnie. Triumfalnym gestem wyciągnęła prawą dłoń do góry i przeciskając się między dwoma mężczyznami, którzy siedzieli obok niej, podeszła z promiennym uśmiechem do niego.

- Georg, patrz!

Pomachała mu prawą dłonią przed oczyma. Poruszała przy tym każdym palcem od-dzielnie.

- Wszystko jest znowu tak, jak powinno być - po cichu wyraziła swoją radość.

Georg Dengler wziął jej dłoń, położył na swojej i przyglądał się. Jej palec wskazujący ciągle był jeszcze tej samej długości co palec środkowy, który spoczywał teraz na jego dłoni.

Kiedy Olga była jeszcze małą dziewczynką i rosła, jej wuj naciągnął palec wskazujący.

Milimetr po milimetrze stawy były rozciągane i wydłużane, jakby ten palec miał dorównać długością środkowemu. Dwa i pół centymetra różnicy stanowiło zdecydowaną zaletę, kiedy wysyłano ją z innymi dziećmi na łupieżcze wyprawy do dużych miast. Dużo łatwiej wyciągnąć portfel z wewnętrznej kieszeni osobie, która ma dwa palce równaj długości niż komuś, czyj palec wskazujący ma zwykłą długość. Olga była gwiazdą wśród rumuńskich dzieci parających się złodziejskim rzemiosłem.

Później uciekła, została schwytana i zmuszono ją do zawarcia małżeństwa. Uciekła ponownie i w końcu wylądowała w Stuttgarcie. Stawy tak brutalnie potraktowanego palca puchły i sprawiały ból nawet przy drobnych ruchach. W końcu dotarła do szwajcarskiego chirurga, który postanowił zrobić operację. Cały tydzień spędziła w szpitalu w Zurychu.

- Teraz jestem znowu zdrowa - wyszeptała, prostując i zginając palec wskazujący Wzięła Georga za

rękę i pociągnęła go do stolika. Martin Klein przesunął się na bok, ktoś inny przystawił krzesło, a sympatycznie wyglądający łysy kelner przyniósł kieliszek. Olga nalała Georgowi, a on się roześmiał. Wtedy Olga wyciągnęła mu portfel z tylnej kieszeni spodni w niezauważalny sposób.

- Znowu jestem w formie - oznajmiła, gdy mu go oddawała.

Było już prawie wpół do trzeciej nad ranem, kiedy wyszli. Już dwie godziny wcześniej łysy kelner postawił krzesła na stolikach i dosiadł się do nich. Teraz jednak Georg Dengler czuł

zmęczenie, Martin Klein również, a kelner chciał już iść do domu. Tylko Olga wciąż miała ochotę na zabawę. Trzymając się pod ramiona, we trójkę opuścili Bastę. Do drzwi wejściowych domu mieli zaledwie dwa metry, ale Denglerowi się wydawało, że Martin Klein kołysze się na nogach. Chwytał przyjaciela mocno pod ramiona i pociągnął go w stronę wejścia.

- Twój horoskop nie sprawdził się, mój przyjacielu - powiedział do niego. - Wczoraj wieczorem otrzymałem dwa dalsze zlecenia.

- Dobrze płatne? - zapytał Klein, który wyciągnął klucz z kieszeni spodni.

- Nie. Źle płatne.

Klein dziabnął go w klatkę piersiową ostrzem klucza trzymanego między kciukiem a palcem wskazującym.

- W takim razie, mój drogi przyjacielu, w takim razie mój horoskop wciąż jest trafny!

- W jednym z tych zleceń możesz mi towarzyszyć.

- Przy uwalnianiu zakładników?

- Nie, będę ochroniarzem na przyjęciu u miliarderów.

- W takim razie ja też chcę iść z wami - wtrąciła Olga.

- Miliarderzy nie noszą przy sobie gotówki - jęknął Klein i próbował otworzyć drzwi.

- Nie akceptuję kart kredytowych - skomentowała Olga, wzięła od niego klucz i otworzyła drzwi.

- Mogłem studiować socjologię - wyznał Klein, gdy wchodzili schodami na górę.

- Ja także chcę studiować - dorzuciła Olga. - Posłuchaj, Georg, puść nam jeszcze bluesa, jednego, jedyne.

Po chwili siedzieli na jego kanapie i słuchali bluesowego songu Juniora Wellsa.

They take your house your home They take your flesh from your bone They take eve-rything you got

Why people like that.

- Gdy tylko zarobię dostatecznie dużo pieniędzy, pojadę do Chicago i posłucham koncertu Juniora Wellsa na żywo - powiedział cicho Georg Dengler.

Olga oparła głowę na jego piersi i słuchała muzyki.

- Twoje stare marzenie - przypomniała sobie. - Zabierz mnie z sobą na party u miliarderów. Będiesz miał później dostatecznie dużo pieniędzy, żeby polecieć do Chicago i do każdego innego miejsca na ziemi.

Martin Klein chrapał głośno.

- Wiesz, gdzie możesz znaleźć Juniora Wellsa? - zapytała.

- Prawie co wieczór grywa w pewnym klubie o nazwie Therasas Lounge. Tak przynajmniej podają w Internecie.

- Co właściwie robi Christiane? - po chwili milczenia zadała pytanie Olga.

- Wciąż jeszcze jest we Włoszech ze swoim ojcem - odparł szybko Dengler.

- No tak - skomentowała lakonicznie Olga, wstała i ruszyła w stronę drzwi. - Dobranoc, Georg.

Dengler siedział jeszcze przez chwilę i słuchał Juniora Wellsa. Po czym spojrzał na figurkę Madonny stojącą przy ścianie. Przed oczyma przesuwały mu się różne obrazy - gospodarstwo Paula Steina, ojca Christiane, pole z nagietkami. Widział też, jak ojciec i córka obejmują się. Wszystko to zdawało się odległe o całe wieki.

Wówczas jego wzrok padł na śpiącego Martina Kleina. Dengler westchnął ciężko i się podniósł.

Pytanie o Christiane, które zadała Olga, zburzyło beztroski nastrój, którym cieszył się od powrotu z wizyty u Nolte & Partners, przebywając w kręgu przyjaciół. Kiedy jednak zajął

się Martinem Kleinem, który zupełnie stracił orientację, powoli prowadząc go do jego mieszkania, uświadomił sobie, że już od dłuższego czasu nie myślał o Christiane.

Pół godziny później Georg Dengler leżał we własnym łóżku. Po raz pierwszy od miesiący jego snom znów towarzyszył nietoperz.

7. Sternberg czekał na niego

Sternberg czekał na niego na dworcu. Był ubrany w długi czarny płaszcz, którego koł-

nierz postawił do góry. Przywitani się krótko, po czym Sternberg zaprowadził go do swojego samochodu, czarnego bmw.

- Pojedziemy najpierw do mojej siostry.

Dengler skinął głową i usiadł na miejscu obok kierowcy. Małomówność Sternberga wcale mu nie przeszkadzała. Spojrzał badawczo na mężczyznę za kierownicą wozu. Wzrok Sternberga był skierowany na ulicę przed nim. Pod jego oczyma Dengler dostrzegł ciemne kręgi, a kąciki jego ust opadły jeszcze niżej niż wczoraj. Cokolwiek ten człowiek przeżył, jego nastrój nie poprawił się nawet troszkę.

Długi czarny płaszcz sprawiał wrażenie drogiego i noszonego ze swobodą właściwą artystom. Czarne sznurowane buty do kostek były nowe i eleganckie. Jeżeli temu człowiekowi czegoś w życiu brakowało, z pewnością nie doskwierał mu brak pieniędzy.

Ruszyli przez miejscowość, która ciągnęła się wzdłuż trasy krajowej numer 10. Gdy skończyły się domy, drogowskaz wskazywał w lewo na obszar dzielnicy przemysłowej Säulenhalle. Sternberg włączył kierunkowskaz.

Nieco później wjechał na podwórze fabryki. „Sternberg Systemy Mocujące” - Dengler przeczytał napis na szyldzie zamontowanym na szczytowej ścianie niedużego biurowca. Za-

łował teraz, że nie zażądał od Sternberga wyższej stawki.

Samochód ostrożnie wjechał na parking przed wejściem do budynku. Na białej metalowej tablicy widniał napis: „Zarezerwowane dla zarządu”.

Sternberg wyciągnął kluczyk ze stacyjki i spojrzał na Denglera.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł. Wysiedli.

- Dzień dobry, panie Sternberg! - młoda kobieta w szklanym boksie recepcji powitała go uprzejmie.

Sternberg skinął w jej stronę energicznie i ruszył schodami na pierwsze piętro. Dengler podążył za nim. Później szli długim korytarzem, a w końcu Sternberg wszedł do jednego z biur, nie pukając.

- Czy moja siostrzyczka jest wolna? - skierował pytanie do kobiety ubranej w spodnium koloru ochry. Kobieta spojrzała na niego, po czym skierowała wzrok na Georga Denglera.

- Czeka już na ciebie - powiedziała i wskazała kciukiem obite tapicerką drzwi, które były do połowy otwarte.

Ilona Sternberg nosiła żałobę.

Siedziała za nowoczesnym w formie biurkiem o zaokrąglonym kształcie. Kiedy jej brat i Georg

Dengler weszli do gabinetu, wstała i wyszła im na powitanie. Dengler zauważył elegancki czarny kostium, którego spódnica kończyła się tuż nad kolanem i podkreślała szczupłe, zgrabne nogi. Czarna bluzka pozwalała dostrzec zarys biustonosza. Jej twarz była ożywiona i przebijało z niej zainteresowanie. Włosy sięgały jej do ramion i były czarne, chociaż pośrodku, na wysokości przedziałka, znajdowało się szare, niemal białe pasemko. Mimo to było widać, że jest zdecydowanie młodsza od brata. Dengler ocenił, że może mieć trzydzieści kilka lat.

Uśmiechnęła się.

„Jakby rzeczywiście cieszyła się, że mnie poznaje”.

Podążyła mu dłoń i obdarzyła go delikatnym, lecz zdecydowanym uściskiem dłoni. Widać było, że ta kobieta wie, czego chce. Swojego brata zignorowała przy powitaniu. Gestem zaprosiła obu mężczyzn, by zasiedli przy stole obok okna.

Pojawiła się jej sekretarka i postawiła przed nim podwójne espresso.

- Czy tak jest dobrze? - spytała detektywa Ilona Sternberg.

- Tak jest... Idealnie - wydusił z siebie całkowicie zdumiony Dengler.

Sekretarka nalała jej i jej bratu po filiżance kawy, a obok każdej z nich postawiła po butelce wody mineralnej, po czym opuściła gabinet. Dengler czekał.

- Zlecenie, które panu powierzyliśmy, jest dla nas niezwykle ważne - oświadczyła Ilona Sternberg. Upiła łyk kawy. Spojrzała w stronę brata.

- Mój brat na zasadzie wyjątku uczynił coś właściwego, powierzając panu to zlecenie - podjęła temat. - Cieszy się pan dobrą opinią.

Dostrzegł, że Robert Sternberg skurczył się w sobie na krześle obok niego.

- Dziękuję - odparł Dengler.

Nagle w pomieszczeniu zapanowała napięta atmosfera. Ilona Sternberg pochyliła się.

- Hotel Zamkowy leży w przepięknym miejscu. Na szczycie Zamkowej Góry, tuż obok ruin.

Z namysłem mieszała w swojej filiżance.

- Można by z tego coś zrobić. Ale najpierw musimy się przekonać, czy umowę można unieważnić i czy ta nieruchomość przypadkiem nie należy do nas.

Zrobiła krótką przerwę.

- Mam nadzieję, że należy do nas.

Dengler upił łyk espresso. Smakowało fantastycznie. Spojrzał na nią.

- Na początek chciałbym złożyć pani wyrazy współczucia z powodu śmierci matki.

Po chwili podjął temat.

- Czy jest może ktoś w pani rodzinie, kto mógłby udzielić jakichś informacji na temat tej umowy? Może pani ojciec?

Robert Sternberg skurczył się w sobie jeszcze bardziej.

- Czy on jeszcze żyje? - chciał wiedzieć Dengler. Milczenie.

- Tak, żyje - odparła Ilona Sternberg. Milczenie.

- Ale on nie mówi - dodała.

- Od bardzo dawna nie mówi - dodał cichym głosem Robert Sternberg. Dengler spojrzał

na niego pytającym wzrokiem. Ilona wciąż mieszała łyżeczką w filiżance z kawą. W końcu na niego spojrzała.

- Nasz ojciec milczy od lat - wyjaśniła. Robert Sternberg wyprostował się.

- W pewnym momencie, krótko po moich narodzinach, przestał mówić. Po prostu nie powiedział już więcej ani słowa. Nigdy nie słyszałem, żeby cokolwiek powiedział.

- Jak ktoś, kto przeżył ciężką traumę - dodała Ilona Sternberg. - Nie stało mu się jednak nic, co mogłoby tak dramatycznie na niego wpłynąć.

- Pominąwszy moje narodziny - dodał z sarkazmem Robert. Przerwała mu zniecierpliwionym gestem.

- Damy panu do dyspozycji na czas dochodzenia firmowy samochód - zadeklarowała. -

Poza tym podwyższam pańską zaliczkę do kwoty tysiąca euro.

- Dziękuję. Potrzebna mi jeszcze będzie kopia umowy, adres notariusza oraz plan dojazdu do Hotelu Zamkowego.

- Pani Howling przygotuje dla pana wszystko - powiedziała, po czym zwróciła się do brata. - Robercie, czy pokazałbyś panu Denglerowi firmę, zanim przygotujemy dokumenty?

Jej brat przytaknął. Zdawało się, że zakończenie rozmowy sprawiło mu ulgę.

- C o chciałby pan zobaczyć? - zapytał Denglera, kiedy znaleźli się na korytarzu. -

Produkcję, biura, dystrybucję?

- Jakie jest pana zadanie?

- Wynajduję nowe produkty. Chce pan zobaczyć moje laboratorium?

Dengler przytaknął. Robert Sternberg ruszył, szybkim krokiem pokonując korytarz.

Laboratorium Roberta Sternberga znajdowało się na parterze. Było to pięć dużych, połączonych pomieszczeń. Wyglądały jak nieposprzątane pokoje zabaw w przedszkolu.

Pierwsze pomieszczenie pełne było kolorowych papierów, z których wycięto i posklejano dziwne figury i bryły. Leżały na stołach, na podłodze, niektóre przypięto do ścian.

- To nowy projekt - wymamrotał pod nosem Robert Sternberg.

Prawą nogą odsunął kilka papierów na bok i w ten sposób utorował drogę do drugiego pomieszczenia. Tam na pięciu stołach leżały małe, plastikowe sztabki wielkości kilku centymetrów we wszystkich możliwych kolorach. Na niewielkim podeście obok umywalki stał

model wieży Eiffla, zmontowany właśnie z tych kolorowych sztabek.

- Mój wynalazek - Sternberg wskazał na model. - Wprowadzenie na rynek za sześć miesięcy.

- To nie wygląda na systemy mocujące.

- Ale od tego się zaczęło. Niech pan zobaczy. Wziął jedną ze sztabek i podał Denglerowi.

- Te sztabki można nasunąć na siebie w części górnej i dolnej, jednak cechą szczególną jest miniaturowa szyna po obu stronach. Dzięki niej można dołączać następne sztabki. To zupełnie nowa zabawka dla dzieci. Zdecydowanie bardziej wszechstronna niż klocki Lego.

Niestety, również trudniejsza w produkcji.

Sternberg usiadł na czarnym skórzanym fotelu.

- Mamy trzy linie produkcyjne - wyjaśnił. - Systemy mocujące, czyli kołki i śruby. Cóż, zaraz panu pokażę.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął biały kołek.

- Ten kołek nie rozszerza się jak typowy korek rozporowy ale wysuwają się z niego rozporowe haczyki, gdy wkręca się do niego śrubę. Te haki otwierają się według zupełnie nowego systemu. Mój wynalazek. Produkujemy najsilniejsze i najbardziej niezawodne kołki na świecie.

Podał Denglerowi plastikowy element, długości prawie pięciu centymetrów. Dengler obrócił go w dłoni i oddał z powrotem.

- Produkujemy też figurki z tworzyw sztucznych - kontynuował Sternberg. - Dla dzieci.

Wszystkie są zaprojektowane przeze mnie. Kółko do chodzenia dla małych dzieci to prawdziwy hit od lat, a teraz dochodzi także to.

Uniósł sztabki w powietrze.

Dengler zauważył, że policzki Roberta Sternberga zrobiły się czerwone. Z ożywieniem przesuwał biurowy fotel na kółkach do przodu i do tyłu, wyjaśniając Denglerowi szczegóły niezwykłych sztabek, które sam wynalazł, oraz problemy, jakie pojawiły się w związku z produkcją seryjną. Sternberg wydał się nagle Denglerowi młodszy, bardziej dziecinny. Na pięcie, jakie detektyw dostrzegł podczas rozmowy z siostrą, teraz gdzieś zniknęło.

- Czy pana dziadek, Volker Sternberg, założył firmę? - zapytał Dengler.

- Nie, fabryka należy do rodziny już od wielu pokoleń, wcześniej była jednak mniejsza.

Dziadek doprowadził ją do stanu, w jakim jest dzisiaj. On również był wynalazcą. Zaczynał od śrub i kołków. On też przygotował Ilonę i mnie, żebyśmy mogli się stać jego następcami. Nasz ojciec nie nadawał się do tego, to znaczy do prowadzenia firmy. Dlatego też zawsze byłem tu, kiedy dziadek coś nowego wypróbowywał, a Ilona mogła studiować.

Przez moment na jego twarzy pojawił się ponury wyraz.

- Ekonomię - stwierdził. - W każdym razie ona zajmuje się stroną handlową. Zawsze mi wyjaśnia, dlaczego moje wynalazki są zbyt drogie, nie znajdują odpowiedniej niszy na rynku i tym podobne brednie. Czasami jednak podchwytuje jakiś pomysł, nigdy jednak wcześniej nie wiem który.

Po chwili dodał jeszcze:

- We własnych oczach jestem bardziej artystą.

Dengler spojrzał na niego zaskoczony.

- Niech pan idzie ze mną.

Sternberg zerwał się na równe nogi i minął pospiesznie dwa kolejne pomieszczenia.

Dengler podążył za nim.

Sala, do której przyprowadził go teraz Sternberg, była zupełnie pusta. Na biało otynkowanych ścianach zamontowano dziwne rzeźby, niektóre małe, wielkości zaledwie centymetra, inne wielkości ręki. Wszystkie o różnych kształtach i w najprzeróżniejszych kolorach.

- Sztuka - oświadczył Sternberg. - Sztuka z wykorzystaniem śrub. Istnieje tylko tutaj.

Sięgnął do jednej z rzeźb i odkręcił ją od ściany. Dengler zobaczył, że wystaje z niej śruba.

- Śruby i sztuka są z sobą bardziej związane, niż można by sądzić. Ja jednak poszedłem krok dalej. Śruby są zintegrowane z dziełami sztuki - kontynuował Sternberg. - Poszukuję jeszcze galerii, która wystawiałaby tego rodzaju sztukę. Pan zapewne nie zna żadnej?

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Dokumenty dla pana są gotowe - oznajmił Sternberg, kiedy odłożył słuchawkę.

8. Dengler uruchomił silnik

Dengler uruchomił silnik samochodu i wyjechał z parkingu firmy Sternberg Systemy Mocujące. Firmowy wóz, który Sternbergowie dali mu do dyspozycji, był nowiutkim, czarnym audi A6 z pełną automatyką i systemem nawigacyjnym. Sekretarka Ilony Sternberg, pani Howling, przekazała mu dokumenty samochodu oraz kluczyki. A także teczkę formatu A4 z nadrukowanym logo firmy. Dengler przejrzał jej zawartość. Kopia umowy z 1947 roku. Adres notariusza. Mapka z trasą dojazdu do Hotelu Zamkowego. Oraz, ku jego wielkiej radości, czek banku LBBW na kwotę 680 euro.

W miasteczku dostrzegł oddział banku LBBW. Zatrzymał się i zrealizował czek. Część pieniędzy, 480 euro, wpłacił na swoje konto, a 200 euro gotówką włożył do portfela.

Na parkingu przed bankiem raz jeszcze przeczytał dokładnie umowę darowizny. Po czym wyciągnął z kieszeni notes. Na czystej kartce napisał nazwiska, które do tej pory zdołał

poznać.

Volker Sternberg, dziadek, daruje hotel.

Robert Sternberg, wnuk, chce wiedzieć dlaczego, i pragnie odzyskać hotel.

Ilona Sternberg wnuczka, jak wyżej.

Przez chwilę zastanawiał się. Na dobrą sprawę wiedział więcej, uzupełnił wpisy: *Volker Sternberg, dziadek, nie żyje, daruje hotel.*

Syn Sternberga, ojciec, od lat nie odzywa się ani słowem.

Synowa Sternberga, matka, nie żyje, nie mówi dzieciom ani słowa na temat hotelu.

Robert Sternberg, wnuk, chce wiedzieć, dlaczego tak się stało, i odzyskać hotel.

Ilona Sternberg. Wnuczka, jak wyżej.

Nie tylko matka, ale także dziadek przemilczeli przed wnukami sprawę darowizny.

Dlaczego?

Zapisał jeszcze kilka słów na nowej stronie.

Kurt Roth - otrzymuje hotel w darowiźnie. Albert Roth - podpisuje umowę.

Raz jeszcze detektyw przeczytał treść umowy i sprawdził datę urodzenia Kurta Rotha: 1

lutego 1932 roku. Miał piętnaście lat, kiedy własność hotelu została przepisana na niego. Nie był pełnoletni. Wyjaśniałoby to, dlaczego Albert Roth złożył swój podpis pod dokumentem.

Uzupełnił wpis.

Albert Roth. Podpisuje umowę, krewny Kurta?

Potem zamknął notes i zaczął studiować opis trasy dojazdu do Hotelu Zamkowego.

Hotel Zamkowy był usytuowany na górze obok zamkowych ruin. Na parkingu stał

tylko jeden samochód, stare renault. Hotel był trzypiętrową budowlą i emanował spokojną statecznością. Tynk nie był jednak odnawiany już od bardzo dawna.

Drzwi wejściowe z ciężkiego drewna zdobiły płaskorzeźby, które były już zmurszałe i nadgryzione zębem czasu.

Obok drzwi, w pomalowanej na zielono gablocie, wystawiono kartę dań. Dengler zauważył, że w Hotelu Zamkowym można było zjeść rosół za dwa euro. Kartka z menu była napisana na maszynie do pisania i przymocowana pinezkami. Papier na brzegach nieco już pożółkł, a w lewym prawym dolnym rogu pinezka odpadła, co spowodowało, że papier nieco się podwinął.

Dengler zdołał jednak dojrzeć napis na dole arkusika: *Hotel Zamkowy w Gündlingen, właściciel: Kurt Roth*. Numer kierunkowy i numer telefonu, znajdujące się dalej, były już nie do rozczytania.

„Od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku Hotel Zamkowy nie zmienił zatem właściciela. Można odnieść wrażenie, że czas się tu zatrzymał”.

Dengler wszedł do środka. Sala restauracyjna była duża i przyjazna. Stały w niej trzy rzędy ciemnych, drewnianych stolików, do tego dopasowane krzesła, białe obrusy, duże okno z widokiem na miasteczko. Był też otwarty kominek, w którym z trzaskiem palił się ogień. W

lokalu był tylko jeden gość, młody człowiek w roboczym ubraniu, który siedział obok okna i jadł zupę. Z tyłu za barem stał mężczyzna w niebieskim, zapinanym swetrze i mył szklanki od piwa. Młoda kobieta, niewątpliwie z obsługi, siedziała przy okrągłym stole obok drzwi i robiła na drutach sweter. Obok niej siedział stary mężczyzna, który miał na głowie czapkę z daszkiem. W obu dłoniach trzymał szklankę piwa, a butelka stała w wodnej kąpieli, z której unosił

się mały obłok pary. Kiedy Dengler usiadł, kobieta odłożyła robótkę, wstała i podeszła do niego.

- Czy są wolne pokoje? - zapytał.

Młoda kobieta spojrzała na niego zaskoczona, po czym roześmiała się.

- Od lat nie wynajmujemy już pokoi. U nas może pan dostać tylko coś do jedzenia i do picia.

- Dobrze, w takim razie poproszę podwójne espresso. Poza tym chętnie zamieniłbym kilka słów z właścicielem. Z panem Kurtem Rothem.

Spojrzała zmieszana w stronę baru i przez moment zwlekała.

- Niestety nie podajemy espresso, ale chętnie przyniosę panu filiżankę kawy - zaoferowała po chwili.

- Poproszę.

Podeszła do baru, wzięła naczynie z wiszącej szafki za dystrybutorem i naląka kawę z dużego szklanego dzbanka. Dengler słyszał, jak odezwała się do mężczyzny za barem:

- Ten gość chce z tobą porozmawiać, tato.

Po czym przyniosła Denglerowi kawę. Mężczyzna za barem wytarł ręce i powoli podszedł w stronę Denglera. Miał szczerą, przyjazną twarz i był mocnej budowy. Jego już całkowicie białe włosy były zaczesane starannie do tyłu. Przywitał gościa skinieniem głowy i usiadł naprzeciw niego. Georg wyciągnął kopię umowy z teczki i położył ją na stole.

- Czy pan Kurt Roth?

- Jeśli jest pan przedstawicielem handlowym, muszę pana rozczarować. Mamy wszystko, czego potrzebujemy.

Dengler roześmiał się.

- Nie, nie jestem przedstawicielem handlowym. Jestem detektywem, a zajmuję się tą umową.

Zanim zdążył podać dokument, Dengler zapytał jeszcze raz:

- Czy pan Kurt Roth?

Mężczyzna potwierdził skinieniem głowy, a Dengler podał mu kopię nad stołem. Kurt Roth wziął papier do ręki i przez dłuższą chwilę studiował jego treść. Spojrzał tylko na pierwszą stronę, nie przekartkował dokumentu.

- Skąd pan to ma? - zapytał po chwili.

Dengler zobaczył, że oczy mężczyzny otworzyły się szeroko. Kartki w jego dłoni drżały.

- Od moich klientów - odpowiedział Georg. - Interesują ich okoliczności powstania tej umowy. Z pewnością może pan służyć mi pomocą.

Twarz Kurta Rotha zrobiła się biała jak kreda. Ponownie otworzył usta, jakby zamierzał

coś powiedzieć, ale tylko zaczął bardzo ciężko oddychać, przy wydechu dał się słyszeć świst.

Dengler widział, jak na jego czole utworzyły się kropelki potu. Dłoń zacisnęła się w pięść i zgniotła kopię umowy.

- Źle się pan czuje? - zapytał Georg Dengler. Siedzący przed nim człowiek znajdował

się w szoku. Jego usta wciąż były otwarte. „Udar, on z pewnością dostał udaru” - pomyślał

Dengler i chwycił rękę Rotha. Mężczyzna nie poruszył się.

- Szklankę wody, szybko! - zawołał Dengler w stronę młodej kobiety, która znów zasiadła przy okrągłym stole i kontynuowała robótkę na drutach. Zerwała się na równe nogi, spojrzała na ojca, pobiegła za bar i szybko wróciła ze szklanką wody. Z czułością wzięła głowę ojca w obie dłonie. Kurt Roth wypił szklankę jednym haustem. Spojrzał na Georga Denglera i powoli pokręcił przecząco głową.

- Nie mogę panu pomóc - odparł. - Nawet gdybym chciał. Nie mogę panu pomóc.

Po czym wstał i niepewnym krokiem poszedł z powrotem za bar. Córka wzięła go pod ramię i podpierała. Stary mężczyzna w czapce z daszkiem przy okrągłym stole również wstał i podążył za nimi. Po chwili młoda kobieta znów podeszła do detektywa.

- Teraz niech lepiej już pan idzie - powiedziała i zabrała pełną filiżankę kawy.

Dopiero teraz Dengler zwrócił uwagę na jej nieprzeciętną urodę.

9. To przecież nie ma sensu

- To przecież nie ma sensu - oznajmił Martin Klein i uniósł kieliszek.

Olga zwróciła się do Denglera:

- Czy zareagował w ten sposób, gdy zobaczył umowę, czy też to jego złe samopoczucie było przypadkowe?

- Na początku pomyślałem, że dostał ataku apopleksji, a potem, że to zawał serca.

Siedział tam nieruchomy, sztywny, z otwartymi ustami. Nie byłem pewien, czy ja to sprawiłem, pokazując mu kopię umowy. Przecież spojrzał na dokument, ale go nie czytał. Jedyne wpatrywał się w papier i po chwili zaczął drżeć. Oznacza to, że znał treść.

- Z pewnością dawno już o niej nie myślał - dodała Olga.

- Wnioskujecie błędnie, wy superdetektywi - Martin Klein wtrącił swoje trzy grosze. -

Całkowicie błędnie! Ta umowa nie mogła go zaskoczyć. Musiał ją przecież znać. Czy nie powiedziałaś, że Kurt Roth jest osobą, na której rzecz przekazano darowiznę?

- Tak. To na niego przepisano własność hotelu.

- W jakim był wtedy wieku? - chciała wiedzieć Olga.

- Miał piętnaście lat, kiedy stał się właścicielem hotelu - odpowiedział Dengler.

- Piętnaście lat? Nieźle. Nikt mi nie podarował hotelu, gdy miałem piętnaście lat... Ale tę umowę musiał z pewnością znać. Dlatego też nie powinien stracić panowania nad sobą -

zawyrokował Martin Klein i odchylił się na oparcie krzesła.

- Być może sytuacja ta przypomniała mu o pewnych okolicznościach, w których umowa została zawarta - podjęła wątek Olga. - Najwyraźniej nie były one szczególnie szczę-

śliwe.

- Ależ posłuchaj! - zaprotestował Martin Klein. - Dostajesz w prezencie hotel i taki dzień nie miałby być szczęśliwy?

Przez chwilę zastanowił się, po czym ciągnął dalej:

- Jak zawsze, nie nadaje się to na powieść kryminalną. Ktoś musiałby zostać zamordowany, w przeciwnym razie nie opłaca się nawet sięgać po pióro.

Zamiast tego sięgnął po szklankę.

- Czy rodzina sprawiała wrażenie szczęśliwej? - zainteresowała się Olga.

Dengler przez chwilę się zastanawiał.

- Poznałem tylko ojca i córkę - odparł. - Córka natychmiast pomogła ojcu i wsparła go.

To był naprawdę wzruszający widok.

- Jakie wrażenie wywarł na tobie sam hotel? - dopytywała się Olga.

- Najlepsze dni ma już za sobą. Poza tym to już właściwie nie jest hotel, nie wynajmują tam już pokoi, działa tylko restauracja. Przyjemna, przystępne ceny. Można tam zjeść rosół z kurczaka za dwa euro.

- W takim razie może pojedziemy tam kiedyś coś przekąsić - zaproponował Martin Klein. - Ci ludzie wydają mi się sympatyczni. Z pewnością nie chcą bogacić się za wszelką cenę. Może udamy się tam jutro na obiad?

- Jutro idę z moim kolegą polować na tych, co wyłudniają zasiłki socjalne.

Olga natychmiast zrobiła się podejrzliwa.

- Co zamierzasz zrobić?

- Będę towarzyszył jednemu facetowi, który pracuje na zlecenie władz miejskich. Powiedział mi, że łatwo można zarobić pieniądze. Nie bardzo wiem, co mam o tym sądzić. Jutro chcę po prostu obadać sprawę.

- To wcale nie brzmi dobrze - skomentowała Olga.

10. Na trawie siedzieli dwaj chłopcy

Na trawie siedzieli dwaj chłopcy. Nadeszli od strony bukowy zagajnik, dokąd posłały ich matki. Z wózkiem drabiniastym. Mieli poszukać drewna na opał. Teraz wózek był już wyładowany po samą górę, im zaś udało się znaleźć nawet kilka grubszych konarów. Wieczorem matki będą miały na czym ugotować posiłek dla rodziny.

Fritz pierwszy usłyszał zbliżające się dźwięczne buczenie samolotów. Nie zwrócił na to specjalnej uwagi, ponieważ niemal codziennie widywali przelatujące eskadry bombowców i wiedzieli już, że zwarte formacje zwykle leciały w kierunku określonego celu i dlatego nie stanowiły dla nich zazwyczaj bezpośredniego zagrożenia.

- Chodź, policzymy je - zawołał do swojego przyjaciela i położyli się na plecach w trawie, gotowi liczyć samoloty, jak to już często robili.

Wtedy nadleciały - od strony Eichelbergu nad ich głowami sunęły czterosilnikowe bombowce. Leciały tak nisko, że chłopcom wydawało się, iż widzą nawet strzelców pokładowych w wieżyczkach. Samoloty przelatywały nad wzgórzami znajdującymi się z przodu, przed nimi.

- Lecą prosto na Bruchsal - odezwał się z ożywieniem przyjaciel Fritza. Nagle powietrze pod samolotami zaczęło się mienić.

- Patrz, rzucają folię aluminiową! - zawołał.

Również i to chłopcy widywali wcześniej często. Później rozległo się jednak dudnienie.

- Bomby - wyszeptał Fritz.

- To myśliwiec szturmujący - wskazał na samolot, który leciał prosto w ich kierunku.

Obaj chłopcy zerwali się na rowie nogi i skryli za starym krzakiem jeżyn. Spoglądali w niebo.

Płonący samolot przeleciał tuż nad ich głowami. Z tyłu za nim ciągnęła się nieskończona smuga dymu. Wsłuchiwali się w coraz silniejszy odgłos gwizdu.

- Zestrzelili go - powiedział przyjaciel Fritza. Usłyszeli trzask, po czym odgłos pęka-jących gałęzi. Na koniec głucho uderzenie.

- Chodź! Pobiegnijmy tam! - zawołał Fritz.

- Co z drewnem na opał? - zapytał przyjaciel.

- Później.

Ukryli drabiniasty wózek za krzakiem jeżyn i pobiegli w kierunku, z którego dobiegł odgłos zderzenia z ziemią.

11. Punktualnie kwadrans po siódmej dostrzegł Łasicę

Punktualnie kwadrans po siódmej dostrzegł Łasicę w starym audi ustawionym na prawym pasie ruchu. Zaparkował z przodu swoje A6 i wysiadł. Gdy Dengler podchodził do mężczyzny, dostrzegł, jak ten z zawiścią spogląda na jego samochód. Przez zamknięte drzwi dobiegała głośnie muzyka, bardzo głośnie, jakiej słucha tylko młodzież, dręcząc otoczenie do-nośnymi basami i bębnami.

Znajdowali się przy Scharrstrasse w dzielnicy Stuttgart-Vaihingen. Była to boczna uliczka w pobliżu Schillerplatz i dworca kolejowego. Wzdłuż ulicy stały budynki mieszkalne wzniesione tuż po wojnie, jeden nowszy kompleks znajdował się po prawej stronie. Tam właśnie Łasica zaparkował.

W końcu Rümmlin wysiadł. Miał na sobie żółtawą skórzaną kurtkę, tę samą, w której paradował poprzedniego wieczoru podczas *jour fixe*. Jego rzadki wąsik wydawał się tego ranka troskliwie przycięty i rozczesany. Każdy włoszek leżał równo na górnej wardze, jakby wykonywał posłusznie rozkaz. Kiedy otworzył usta, Dengler dostrzegł świecący złoty ząb.

- Najwyraźniej naszemu superglinie wcale tak źle się nie wiedzie - skomentował

Rümmlin i wskazał na nowe audi A6. Dengler nie odpowiedział. Łasica wyciągnął rękę.

- Idziemy zatem. Rümmlin spojrzał na Denglera.

- Trzymaj się z tyłu i po prostu nic nie rób. Wystarczy, że będziesz patrzył i uczył się, jak przeprowadza się akcje tego typu. O wszystkim rozstrzyga moment zaskoczenia.

Dwa razy uderzył pięścią w powietrze jak bokser w trakcie rozgrzewki. Następnie wysunął podbródek do przodu i ruszył w stronę nowszego bloku mieszkalnego. Dengler po-dążył za nim. Skrzynki na listy oraz dzwonki znajdowały się obok drzwi wejściowych w metalowej obudowie srebrzystego koloru. Łasica pochylił się do przodu i z wewnętrznej kieszeni skórzanego kurtki wyciągnął zielony formularz. Porównał nazwiska z formularza z tymi obok dzwonek. W końcu chyba znalazł to, czego szukał. Obrócił się szybko raz jeszcze do Georga Denglera.

- Teraz ruszamy - oznajmił i nacisnął guzik dzwonka. Natychmiast przycisnął drugi raz, dłużej i bardziej natarczywie. Potem jeszcze raz. Usłyszeli kobiecy głos. Jeszcze zaspany.

- Szybko, niech pani otwiera. Urząd Miejski. To pilne. Na Boga! Niech pani otwiera!

Niech pani natychmiast otwiera! - krzyczał Łasica do domofonu.

Dengler niemal wyczuł, jak kobietę po drugiej stronie łącza zdejmuje groza. W zamku rozległo się buczenie mechanizmu otwierającego drzwi, a Łasica ruszył pędem ku schodom.

Jedną ręką chwycił mocno poręcz i przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Na drugim piętrze, w drzwiach jednego z mieszkań, stała młoda kobieta w szlafroku. Dengler ocenił jej wiek na nieco ponad dwadzieścia lat. Na rękę trzymała niemowlę i sprawiała wrażenie jeszcze zaspanej.

Łasica przystawił jej pod oczy zielony karteluszek.

- Urząd Miejski. Kontrola! - ryknął w stronę kobiety. Odsunął ją na bok i wbiegł do mieszkania.

- Co pan robi? - wykrzyknęła młoda kobieta i pobiegła za nim.

Dengler stanął przed otwartymi drzwiami mieszkania.

„Bezprawne najście - pomyślał. - To, co robi tu ten facet, to jest jednoznacznie bez-prawne najście”. Przez drzwi widział, jak Łasica przebiega przez pokój.

- Ach! - usłyszał jego wołanie. - Tak właśnie myślałem. Rümmlin stanął nagle w korytarzu i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Chodź tu, coś ci pokażę.

Dengler wszedł do mieszkania. Młoda kobieta stała w korytarzu. Łasica pociągnął

Denglera do małej łazienki.

- Tu, to jest dowód! - wykrzyknął i wskazał na kubek ze szczoteczkami do zębów. Stała w nim jedna czerwona i jedna niebieska szczoteczka.

- Dotknij tylko, dotknij - triumfował Łasica i przejechał opuszką kciuka po włosiu szczoteczek.

- Wilgotne, obie są wilgotne. Oznacza to, że rano dwie osoby czyściły zęby. Dwie osoby, Georg, były tutaj dwie osoby. Mówię ci.

Wybiegł z łazienki, chwycił Denglera za rękę i pociągnął za sobą.

- Czego panowie tu chcą?! - krzyczała kobieta, wciąż stojąc w korytarzu, a niemowie zaczęło płakać.

Znaleźli się teraz w małej sypialni. Pośrodku stało podwójne łóżko, obok otwarta szafa, a na stoliku do przewijania leżały porzucane śpioszki, kosmetyki oraz przybory dla niemowląt.

- Spójrz tutaj.

Łasica ściągnął kołdrę i obiema rękami dotykał prześcieradła.

- Tutaj nocował dzisiaj mężczyzna. Tu śpi twój facet, mam rację?

Z kieszeni skórzanej kurtki wyciągnął cyfrowy aparat i sfotografował łóżko.

- Czego pan ode mnie chce?! - młoda kobieta krzyczała do Łasicy. - Kim pan właściwie jest? - Po jej policzkach spływały łzy.

Łasica jeszcze dwa razy sfotografował łóżko, po czym odwrócił się w stronę kobiety.

- Nie musi być pani taka świętoszkowata. Zgłasza się pani jako bezrobotna, a potem żyje sobie z jakimś facetem. Z tłąstą kasą szczodrego państwa może się pani teraz pożegnać.

Teraz Pani facet będzie za panią płacił.

Otworzył drzwi od szafy z garderobą. Zaczął grzebać w jej oczach.

- Tutaj - z wyrazem triumfu w oczach wyciągnął z jednej z półek męskie slipy i uniół je nad głowę. Zwrócił się do Denglera:

- Musisz szukać rzeczy należących do mężczyzny, Georg. Najlepiej byłoby oczywiście, gdybyś rankiem dopadł faceta w slipkach.

Łasica położył slipki na półce szafy i zrobił im zdjęcie. Później znalazł jeszcze koszulę męską i również pstryknął ujęcie. Chciał teraz przejść do łazienki obok kobiety.

- Dobrze, jeszcze tylko dwa zdjęcia szczoteczek do zębów. Chodź Georg!

Kobieta wpadła w furję. Chwyciła Łasicę za włosy i zaczęła szarpać.

- Wiesz, za jakie marne grosze muszę tutaj żyć? - krzyczała. - Za pięćset trzydzieści cztery euro, ty gnojku! Na utrzymanie mnie i mojego dziecka.

Nie przestawała szarpać Łasicy za włosy. Mały mężczyzna uderzył ją w żołądek. Pu-

ściła go, skuliła się i objęła mocno dziecko, które teraz głośno płakało. Usiłowała złapać oddech. Ktoś w sąsiednim mieszkaniu walił w ścianę. Gdy Łasica usiłował przecisnąć się obok kobiety, by zrobić następne zdjęcia w łazience, Dengler chwycił go za kołnierz kurtki i uniół w górę.

- Przepraszamy za najście - powiedział do kobiety.

Spojrzała na niego zdumiona. Łasica wierzgał nogami w powietrzu i charczał. Był zbyt zaskoczony, by cokolwiek powiedzieć. Najwyraźniej dziecko również musiało wyczuć zmianę sytuacji, gdyż równie nagle ucichło. Łasica z kolei jęczał teraz, charczał i stękał. Dengler powinien postawić go już na nogach. Wcześniej odebrał mu jednak aparat. Wtedy postawił Łasicę ponownie na podłogę. Niski mężczyzna był teraz czerwony jak burak i dłońmi obmacywał

swoją szyję.

- Chciałeś mnie udusić? - wystękał.

Georg Dengler wyciągnął z kieszeni portfel i wręczył kobiecie 200 euro, które stanowiły część zaliczki Sternbergów, jaką pobrał w filii banku w Gündlingen.

- Więcej niestety nie mam. Przepraszamy za kłopot. Tak na przyszłość: niech pani nigdy nie otwiera nikomu mieszkania o tak wczesnej porze.

Szturchnął Rümmlina w bok i popchnął go przed sobą. Wyszli na korytarz, a młoda kobieta natychmiast zamknęła za nimi drzwi. Georg Dengler usłyszał, jak klucz obrócił się w zamku dwa razy. Jeszcze na korytarzu skasował wszystkie zdjęcia w aparacie fotograficznym i oddał go Łasicy, który wciąż nie mógł wydusić z siebie nawet słowa.

Opuścił dom, siadł za kierownicą swojego audi i pojechał z powrotem do Bohnen.

12. Olga sprawiała wrażenie niemile zaskoczonej

Olga sprawiała wrażenie niemile zaskoczonej.

- Ty to zrobiłeś? - wydusiła z siebie. - Poszedłeś z tym... tym gnojkiem do obcego mieszkania? Chciałeś młodej kobiecie odebrać tych kilka nędznych euro, które otrzymuje z łaski i za które musi utrzymać siebie i swoje dziecko?

Jej czoło przecinały teraz niezliczone zmarszczki.

Siedzieli w barze Basta. Georg Dengler opowiedział Oldze i Martinowi Kleinowi o swojej przygodzie z wczesnego poranka, pomijając jednak własną ingerencję na końcu całego zajścia. Nie wspomniał też przyjaciółom o tym, że wręczył młodej kobiecie 200 euro.

- Wy Niemcy jesteście osobliwymi ludźmi - skomentowała Olga.

- Co to ma znaczyć? - zachnął się Martin Klein. - Poza tym, co to ma wspólnego z tym, co robił dziś Georg?

- Tego nie wiem - odparła. - Wy wszyscy wydajecie się tacy uporządkowani, tacy służący wobec prawa i wobec wszystkich waszych przepisów.

- Olga, nie zapominaj, że jesteś przecież kieszonkowcem. Z pewnością nie daje ci to moralnego prawa do formułowania tego rodzaju zarzutów.

Olga spojrzała na Kleina wzrokiem, który miotał gromy.

- Mój drogi - podjęła temat. - Zgadza się, jestem złodziej ką. Wystarczy, że przejdę przez hotelowy hol i obrobię kilka osób z gotówki. Z tego żyję. Żyję niczym w rajku czy też w idealnym komunizmie, o którym opowiadali w Rumunii moi nauczyciele. Gdy kończy mi się gotówka, ponownie wybieram się

do holu w dużym hotelu. Po czym znów przez trzy miesiące na niczym mi nie zbywa. Ale jest pewna różnica. Ludzie, których okradam, są bogaci. Nie zauważą nawet, jeżeli zginie im kilkaset euro. Dla nich to żadna różnica, czy mają te pieniądze czy nie. Natomiast inaczej myśli kobieta z dzieckiem, którą, z pomocą Georga, rząd zamierzał

obrabować. Dla niej sprawę życia i śmierci stanowi to, czy zasiłek dla bezrobotnych zostanie jej odebrany czy nie.

- Nauczono mnie, że prawo w równym stopniu obowiązuje wszystkich ludzi bez względu na to czy są ubodzy, czy też bogaci - wtrącił Dengler. - Policjant nie może przecież, wykonując swoje obowiązki, zwracać uwagi na to, kim jest dana osoba.

- Ach - teraz Olga była już wściekła. - Jeszcze ta reforma o dziwacznej nazwie...

- Hartz IV - wtrącił Klein.

- Dotyczy ono również bogatych? Czy na przyjęciu dla miliarderów sprawdzacie również szczoteczki do zębów, bieliznę i prześcieradła?

Przy stoliku zapadło milczenie.

- Wy dwaj prawdopodobnie wybraliście ten rząd - dodała. Klein roześmiał się gorzko.

- Przez dwa tygodnie zastanawiałem się komu oddać pierwszy, a komu drugi głos -

oznajmił. - Jeden temu, drugi temu. Sądziłem, że to ważne. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie, że nowy rząd, w którego wyborze dopomogłem, będzie robić to samo co stary.

Sięgnął po kieliszek.

- Głosowałem przez wszystkie te lata - zabrał głos Georg Dengler. - Zawsze przecież byłem państwowym urzędnikiem. Nie wiem jednak, czy znowu zagłosuję. Zazwyczaj widuje się polityków działających na scenie publicznej. Ja jednak byłem policjantem. Często miałem okazję widzieć to, co się dzieje za kulisami. Słyszałem też polityków, kiedy rozmawiali między sobą, gdy nie musieli brać pod uwagę opinii publicznej. Wtedy traci się wszelkie złudzenia, jeśli jeszcze się takowe miało.

Przez moment znowu wszyscy milczeli.

- Ja za to nie mam prawa głosu - wtrąciła Olga.

Ponownie przy stoliku zapadła cisza.

- W waszym kraju najbardziej doskwiera mi to, że Niemcy w ogóle nie mają sumienia -

powiedziała cichym głosem Olga. - U nas na wsi w ogóle nie było policji ani żadnego innego organu państwowej władzy. Bukareszt znajdował się bardzo daleko, a jeśli ktoś z zewnątrz kiedyś się wmieszał, nie oznaczało to nic dobrego. W wiosce wszyscy musieli trzymać się razem. Kto tego nie

czynił, najwyraźniej miał coś na sumieniu. Tradycja warunkowała nasze zbiorowe sumienie i wszyscy postępowali stosownie do tego. Niemcy zamienili zaś sumienie na przepisy. Zupełnie. W razie wątpliwości ważniejszy staje się przepis, nakaz, zalecenie, prawo, które zawsze bierze górę nad sumieniem.

Po chwili milczenia zwróciła się do Denglera:

- Zajmujesz się teraz egzekwowaniem IV-tej reformy Hartza? Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie wiedziałem dokładnie, co się będzie działo - tłumaczył się. - Po prostu usiłowałem zarobić na życie i jednocześnie zachować się w sposób godny, na ile to było możliwe.

Olga skierowała na niego surowy wzrok.

- No i jak? Czy to jest teraz twoja nowa fucha?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczył.

Ta odpowiedź najwyraźniej ją zadowoliła, ale wciąż jeszcze gniew w niej nie opadł.

Wstała nagle z miejsca, przy barze zapłaciła za kawę i opuściła lokal.

- Naprawdę wpadła w szal - skomentował Martin Klein.

- Ta dzisiejsza akcja to prawdziwe świństwo - przyznał Dengler i dopiero teraz opowiedział przyjacielowi, jak sprawił, że Łasica uniesiony w górę wierzgał nogami. Martin Klein się roześmiał.

- M usisz opowiedzieć to Oldze.

Georg Dengler pokręcił jednak przecząco głową.

- Wtedy dowiedziałaby się, że jednak nie należysz do tych służalczych Niemców.

- No cóż, jako były policjant... W jej oczach pewnie tak bym wyglądał.

W tym momencie do baru wszedł listonosz.

- List polecony dla pana Denglera.

Georg wstał i podpisał pokwitowanie odbioru. Gdy usiadł ponownie przy stoliku, rozerwał kopertę. Był to egzemplarz umowy od Security Services Nolte & Partners.

- Nasze zaproszenie na party u miliarderów - oznajmił Dengler i przejrzał formularze.

Po chwili znów przemówił:

- Zostaniemy okablowani, każdy z nas otrzyma mikrofon z radiem na stałe połączonym z centralą biura Noltego.

- Czemu ma służyć te bezsensowne zamieszanie? - zapytał Martin Klein.

- Temu, żeby Nolte mógł wystawić słony rachunek - wyjaśnił Dengler. - Jako ochroniarze powinniśmy rzucać się w oczy.

- Sądzisz, że coś się wydarzy?

- Jestem przekonany, że nie - odparł Georg Dengler.

Padał śnieg.

Spośród wszystkich miesięcy Dengler najmniejszą sympatią darzył luty. W tym miesiącu miał już zazwyczaj zimy po dziurki w nosie i czekał niecierpliwie na pierwsze symptomy wiosny, na przebiśniegi, pierwsze ciepłe dni lub krótsze spódnice kobiet. Luty wciąż trzymał

się jednak mocno i wzmacniał w nim tęsknotę za ciepłem, wciąż doskwierając mu opadami śniegu i atakami mrozu.

Tak jak teraz.

Stał w oknie swojego biura. Podkręcił ogrzewanie na pełną moc. Ciepło powoli przechodziło z grzejników i przenosiło się do wnętrza pokoju. Pojedyncze płatki śniegu spadały na Wagnerstrasse, inne dołączały do nich i łączyły się w białe przyczółki, które po chwili tworzyły z następnymi większe łaty.

Wkrótce uliczka zrobi się biała. Zadzwoił telefon.

Spojrzał na Madonnę i wyraził w duchu życzenie, aby był to telefon od syna.

- Georg, czy to ty? - spytała matka Denglera. Dzwoniła bardzo rzadko. Tylko w przypadkach absolutnie koniecznych.

- Georg, nie czuję się dobrze - powiedziała cichym głosem.

Wzdrygnął się. Zmusił się jednak do zachowania spokoju i zaczął ostrożnie wypytywać o jej dolegliwości. Dengler nie mógł sobie przypomnieć, żeby jego matka chociaż jeden dzień była chora. Po śmierci ojca niezmordowanie prowadziła niewielkie gospodarstwo w Schwarzwaldzie, karmiła krowy, kury oraz świny i troszczyła się o Georga, swojego jedyne go syna. Później prowadzenie folwarku Denglerów przerosło jednak jej siły, gospodarstwo zaczynało popadać w kłopoty, a matka musiała wyprzedawać inwentarz oraz ziemię. W pewnym momencie zrezygnowała z uprawiania roli. Sprzedała resztę ziemi i zaczęła wynajmować pokoje turystom, zmieniając gospodarstwo w cieszący się popularnością wśród turystów pensjonat. Prowadziła go sama. Przez cały rok przyjeżdżali tam goście z całych Niemiec. Z Altglashütten wyruszali na wędrówki w kierunku Feldbergu, Belchen czy też jezior Schluchsee i Titisee, bądź też wyruszali na trasy w kierunku zachodnim i wschodnim dwoma długimi tury-stycznymi szlakami, które przecinały góry Schwarzwald.

- W nocy czułam się bardzo źle - podjęła matka. - Nie zmrużyłam oka. Dzisiaj wcale nie jest lepiej...

- Mamo, musisz pójść do lekarza!

- Ale cóż poradzi lekarz? Przepisze mi jakieś pastylki.

- Jeśli to jest coś poważnego...

Przez moment żadne z nich nie odzywało się.

- Obiecuj mi, że natychmiast zadzwonisz do doktora Dietsche - zażądał Dengler.

Matka nie odezwała się.

- Mamo, obiecuj mi to. Prawdopodobnie to nic poważnego, ale trzeba sprawdzić. Zadzwonź do niego. Teraz! Zaraz po tym, jak odłożymy słuchawki. Obiecuj mi!

- No dobrze - powiedziała zatrwożonym głosem.

- Natychmiast oddzwonź do mnie, kiedy skończysz rozmowę z doktorem Dietsche.

Usłyszał, jak matka odkłada słuchawkę.

Znów podszedł do okna. Nie widział jednak śnieżnej zadymki na Wagnerstrasse. Przed oczyma stanął mu obraz gospodarstwa Denglerów: Altglashütten, krowy, Freya, jego ulubiona krowa, matka zajęta obsługą gości w dużym pokoju. „Natychmiast musi pójść do lekarza -

pomyślał. - Do doktora Dietsche”. Duży pokój nie tchnął już pełną ufności atmosferą z lat dzieciństwa, zmienił się w salę restauracyjną Hotelu Zamkowego. Przed nim siedział Kurt Roth, sztywny, w nagłym skurczu, z otwartymi ustami.

Georg obrócił się nagle od okna. Siadł za biurkiem. Wystukał numer telefonu do notariusza, który przekazała mu sekretarka w spodniem koloru ochry. Gdy zgłosiła się młoda kobieta, przedstawił się i poprosił o rozmowę z panem Dillmannem. Kobieta połączyła go.

Przez chwilę czekał, słuchając starego przeboju Wencke Myhre, który uprzyjemniał oczekiwanie na połączenie. W końcu w telefonie odezwał się głos notariusza.

- Szukam umowy, którą pan uwierzytelnił w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku - wyjaśnił Dengler. - Chodzi o przekazanie praw własności do ziemi oraz do Hotelu Zamkowego, usytuowanego obok starych ruin w Gündlingen...

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku? Pan chyba żartuje. Urodziłem się w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym.

- Pana adres podano mi w firmie Sternberg Systemy Mocujące. Hotel należał wcześniej do tej rodziny.

- Znam Hotel Zamkowy. Od czasu do czasu wpadam tam coś przekąsić. Przyrządzają tam wyborną pieczeń z różną. To taka pieczeń obracana w ogniu nad kominkiem. Smakuje fantastycznie. Chociaż z pewnością nie jest zbyt zdrowa.

- Kto w takim razie mógł zajmować się tą umową? - chciał wiedzieć Dengler.

- Mój ojciec - odpowiedział notariusz.

Gdy Dengler zastanawiał się, w jaki sposób sformułować uprzejmie następne pytanie, notariusz przyszedł mu z pomocą.

- Mój ojciec żyje - oznajmił. - Jest już wprawdzie w bardzo podeszłym wieku, przebywa na emeryturze i od dawna nie pracuje, ale umysł mu wciąż dopisuje.

- Czy w takim razie mógłbym z nim porozmawiać? Mężczyzna zastanawiał się przez moment.

- Oczywiście - odparł w końcu, po czym uzgodnili szczegóły spotkania.

13. Gdy bomby spadały na Bruchsal

Gdy bomby spadały na Bruchsal, Albert Roth przebywał na urlopie w rodzinnych stronach. Znacznie wcześniej postanowił już, że nie wróci na front. Wiedział, że liczba zabitych bezpośrednio przed dającym się przewidzieć końcem wojny znów osiągała szczyty, bijąc do-tychczasowe rekordy. Zarówno na froncie, jak i na tyłach.

Rankiem 1 marca udał się z Gündlingen do Bruchsal, zamierzając wzmocnić schron przeciwlotniczy w piwnicy swojego teścia.

Pierwszy marca był wspaniałym, wiosennym dniem. Wschód słońca oraz ładna pogoda tchnęły w ludzi odrobinę nadziei, nadziei na ciepło oraz na rychły koniec wojny. Sąsiedzi cichaczem szeptali, że już niedługo nadejdzie tu zbliżający się front, nawet jeśli oficjalne ko-munikaty przekazywane przez niekończące się patrole twierdziły co innego. Jego teściowie wiedzieli, że oddziały amerykańskie, angielskie oraz rosyjskie wkroczyły już na teren Rzeszy i każdy w głębi duszy liczył się z tym, że wkrótce alianci przekroczą Ren i wejdą do Bruchsal.

Była to kwestia tygodni, być może nawet dni?

Teść miał w piwnicy cztery potężne drewniane belki. Tymi belkami Albert Roth zamierzał dzisiaj podeprzeć jej strop. Martwiły go jeszcze drzwi do piwnicy. Nie wierzył, że zagwarantują bezpieczeństwo, kiedy bomba burząca trafi w dom.

Rano o dziesiątej syreny zawyły po raz pierwszy. Był to alarm ostrzegawczy. Nieco później rozległ się alarm pełny. W piwnicy przebywało pięć osób - dwie kobiety z trójką dzieci.

Pozostali mieszkańcy domu nie dawali wiary w to, że możliwy jest atak na miasto. Rzeczywiście - pół godziny później z wieży rozległo się odwołanie alarmu. Kobiety bez słów zabrały ze schronu dzieci, przechodząc obok Alberta Rotha i jego teściów. Albert wziął się znowu do roboty i podparł

belką stalowy dźwigar podtrzymujący strop parteru.

O wpół do pierwszej teść zszedł do piwnicy, przyniósł mu dwie kanapki i kubek kawy.

Wcześniej spotkał radnego, nazwiskiem Will, który poinformował go, że w okolicach Strasburga widziano ponad 500 wrogich samolotów. „W powietrzu robiło się gęsto”, a w ratuszu liczono się dzisiaj z ciężkim atakiem, ponieważ dzień był pogodny, a wszystkie cele były z góry łatwe do rozpoznania. Teść powiedział: „Cóż jednak mogliście w Bruchsal”, i lekceważąco machnął ręką.

Ta argumentacja nie przekonała jednak Alberta Rotha. Przed tygodniem alianckie samoloty zamieniły Pforzheim w kupę gruzu i popiołu. Skoro wzięli sobie na cel Pforzheim...

Dlaczego także nie Bruchsal? Szybko skończył jeść, wypił ostatni łyk kawy z kubka i oparł następną belkę o ścianę domu, szukając mniejszych kołków.

Tuż przed godziną drugą zrobił przerwę i wyszedł wyczerpany na górę, na podwórko.

Zatrzymał się na moment na stopniach schodów przed drzwiami wejściowymi. Zmrużył oczy, żeby przyzwyczać się do ostrego słonecznego światła, przeszedł przez frontową część ogrodu, oparł się na murze ogrodowym, podniósł głowę, zamknął oczy i grzał się w promieniach słońca. Kiedy po chwili dosłyszał niskie, basowe tony, które niezauważalnie wtargnęły w sferę jego zmysłów, najpierw poczuł irytację. Po sekundzie nie miał już jednak wątpliwości: zbli-

żający się warkot pochodził od silników. Od wielu silników. Bezpośrednio nad nim. W tym samym momencie zawyły syreny na wieży kościoła św. Piotra - alarm pełny.

„O wiele za późno” - zdążył jeszcze pomyśleć Albert. Zdążył jeszcze, oślepiiony światłem wiosennego słońca, dostrzec sylwetki samolotów. Ruszył biegiem w stronę domu. Tuż nad sobą usłyszał gwizd, który przybierał na sile.

Kiedy zdołał się jeszcze raz obejrzeć, eksplozja wyrzuciła wysoko w powietrze: kurz, ziemię i kamienie. Albert zdenerwował się na dobre, ponieważ to, co widział, wydarzyło się bezgłośnie. Dopiero po chwili usłyszał detonację, a fala uderzeniowa rzuciła go na ziemię, gdy dobiegł już do schodów, przy drzwiach wejściowych. Upadając, dostrzegł, że ogrodowy mur, o który opierał się przed chwilą, przestał już istnieć. Dom drżał w posadach. Ktoś pociągnął go do przodu, przez korytarz. Ziemia pod nim wydawała się poruszać, w rogu sieni, przed drzwiami do piwnicy, pękał sufit. Zanim rozchwiana żarówka nad schodami zgasła, dostrzegł

innych szukających schronienia, którzy zbiegali schodami w dół - białe sylwetki po omacku szukające drogi do podziemnego pomieszczenia w obłokach gruzu i kurzu. Po czym znalazł się w piwnicy. Ktoś zamknął drzwi.

Panowała tu ciemność i czuć było zapach mokrej murarskiej zaprawy. Po chwili za-migotał płomyk świecy. Na ziemi siedziało mniej więcej dwadzieścia osób. Na zewnątrz znów rozległy się huki eksplozji. W krótkim odstępie jedna detonacja za drugą. Pięść kolosa zatrzęsła domem. Kurz wciskał się do piwnicy mimo zamkniętych drzwi.

- Ojciec nasz, który jesteś w niebie... - kilka przytłumionych głosów zaczęło modlitwę.

Zmieszał się z nią suchy kaszel. Jakieś dziecko płakało, ale po chwili natychmiast ucichło.

Chłopak obok niego zatkał uszy.

Albert Roth spoglądał w okryte kurzem twarze ludzi. Gdzie są jego teściowie? Czy zdążyli wybiec od Dossingerów i dobiec do piwnicy? Poczł, jak zdejmuje go panika. Co się dzieje z żoną i synem w Gündlingen?

Nagle zapanowała cisza. Po czym nastąpił drugi atak. Dom znów się trząsł. Drzwi wytrzymały. Później nadeszło jeszcze trzecie uderzenie. W piwnicy rozlegały się tylko pojedyncze nerwowe krzyki. Nie było paniki. Niektórzy szukali ucieczki w modlitwie. W końcu znów zapadła cisza. Nie słychać było huków, tylko trzeszczenie, nieustanne trzaski i zgrzyty.

Potem znów cisza. Dlaczego tak trzeszczało? Zerwał się na równe nogi. Drzwi straciły pion i nie były szczelne. Przez szczelinę wciskał się dym. Gorąco oraz zapach pożogi. Albert znał ten zapach - rozprzestrzeniał się podczas pożarów spowodowanych przez fosfor zawarty w bombach zapalających.

Powietrze w piwnicy zrobiło się nie do zniesienia. Jakaś kobieta patrzyła na niego oszalałym wzrokiem. Pani Weindl. To jest pani Weindl. Jej włosy zrobiły się szare od pyłu. Jej oczy były szeroko otwarte. Drzwi od piwnicy zaklinowały się. Pociągnął. Szarpnął. Ciągnął

obiema rękami za klamkę. Ktoś chwycił go za barki. Odepchnął czyjeś ręce i krzyknął. Świeca zgasła. Słycać było jęki. Dobiegające z wielu gardeł. Jakiś mężczyzna dopomógł mu. Drzwi puściły. Ustąpiły na pół metra. Przecisnął się między framugą a ich skrzydłem. Znalazł się na zewnątrz. Wokół panowała ciemność. Schody. Ruszył na górę na czworakach. W pewnym momencie jego dłoń trafiła w próżnię. Upadł, uderzył o coś brodą. Brakowało jednego stopnia.

Ruszył dalej. Górne drzwi dały się otworzyć bez trudu. Stał w korytarzu. Trzy metry od niego znajdowały się drzwi domu. Przez szczelinę dostrzegł blask ognia i usłyszał trzaskanie płomieni.

Otworzył drzwi i natychmiast uderzyła go w twarz fala gorąca. Potknął się o trzy puste łuski po zrzuconych bombach zapalających. Upadł i zranił sobie plecy o metal.

Znów zerwał się na nogi. Budynek obok domu Weindlów płonął. Gorąco kłuło go w plecy. Położył dłonie na twarzy. Na ziemi walał się gruz i odłamki szkła. Niektóre drzewa żar wykrzywił, inne już zajęły się ogniem. Płonące strzepy zasłon gnał przed sobą wiatr. Szyby w oknach pękały. Z tyłu za nim ludzie wychodzili z piwnicy. Pomógł pani Weindl, która wydała z siebie bezgłośny krzyk, gdy spojrzała na swój dom, który teraz również oblizywały jęzory ognia.

Budynki warsztatów jubilerskich Rebstockle oraz Dorndel stały w ogniu. Wysoko w górę biły płomienie. Nie dało się przejść. Miasto ogarnęła pożoga. Płonął urząd finansowy.

Palił się budynek sądu. W płomieniach stał już zamek. Ciemne kłęby dymu wznosiły się ku

pociemniałemu niebu. W płonąącym mieście w ciągu dnia zapadła noc.

Gdzie podziiali się jego teściowie? Razem z innymi mieszkańcami przemykał się przez ogarnięte pożogą ulice i widział, jak mężczyźni, kobiety oraz dzieci poszukiwali swoich bliskich, którzy gdzieś zaginęli.

Ludzie, którzy wydawali z siebie jęki i szlochali, wyszli naprzeciw niego, kaszląc i potykając się. Uciekali ze śródmieścia i biegli wzdłuż Hurtenstrasse, chcąc schronić się na otwartej przestrzeni.

Ulica Kaiserstrasse przemieniła się w morze ognia. Jego jęzory wbijały się przez okna i dziury w murach wielokondygnacyjnych domów. Po obu stronach ulicy. Pośrodku jezdni płomienie stykały się, łączyły z sobą i gwałtownie biły w górę ku czarnemu nieboskłonowi. W

rejonie targu drewnem w ziemi wydrążony był głęboki lej po bombie. Nie dało się przejść.

Zawrócił.

Ruszył jak otępiały w kierunku fabryki papierosów Kern und Bürger. Tam znajdował

się duży schron przeciwlotniczy z punktem sanitarnym. Być może jego teściowie tam zdołali się schronić. Zanim dotarł do fabryki, potknął się o zwłoki żołnierza Wehrmachtu, którego głowa oderwana była od ciała. Nieco dalej leżały dwie kobiety unurzane we krwi, tuż przed wejściem do jednego z domów. Jedna z nich jeszcze wydawała z siebie jęki. Kiedy pochylił się nad nią, uderzyła go w głowę zwęglona belka, która spadła z walącego się dachu. Albert Roth stracił przytomność. Upadł na kobietę. Kiedy przyszedł do siebie, ona już nie oddychała.

Podniósł się i zataczając się zdjęty grozą, zawrócił. Wszędzie po drodze mijał zabitych, wyrwane z korzeniami drzewa oraz spalone samochody. Po pewnym czasie Albert Roth znów stracił przytomność.

Późnym popołudniem spoglądał na miasto z wieży kościoła sw. Andrzeja. Zamek oraz wiele domów wciąż jeszcze płonęło. Gaszenie, o czym zdążył się już przekonać, było niemożliwe, ponieważ rury z wodą zostały zniszczone w trakcie nalotu. Później chodził od jednego miejsca, w którym zebrano ciała, do drugiego, przeszukiwał ocalałe domy i w końcu dopiero wieczorem znalazł swoich teściów na cmentarzu. Leżeli pod wieloma innymi ciałami złożonymi na stos. Na ich ciałach nie było widać żadnych obrażeń. Udusili się w jednej z piwnic.

14. Sunął przez powietrze nad piekłem

Sunał przez powietrze nad piekłem. Z pożogi pod nim unosiły się ciężkie chmury dymu, które szybko mknęły ku górze. Tu i tam przez dym przebijały się języki ognia. Gdy opadał ku ziemi, nagle poczuł gorącą falę wznoszącą się ku górze, która nappełniła czaszę spadochronu i nadawała pęd, zwalniała opadanie. Wydawało mu się, że gorąco chce zatrzymać jego spadochron, żeby utknął w miejscu i zawisł nad płonąącym miastem, skazując go tym samym na oglądanie piekła, jakby miał się stać świadkiem tego, co spotkało Bruchsal po nalocie stu osiemdziesięciu siedmiu bombowców. Rozpaczliwie pociągał za linki sterujące. Chciał jak najszybciej znaleźć się daleko od tego piekła, z

dalej od ciemnych kłębow dymu, które wznosiły się coraz bliżej ku niemu.

Swąd pożogi robił się coraz intensywniejszy. W końcu otoczyły go czarne obłoki dymu i oddychał z trudem. Kaszłał, nic już nie widział, czuł ból w piersiach. Gorąco stało się nie do zniesienia. Żywił tylko nadzieję, że czas spadochronu nie zajmie się ogniem.

Nagle wychynął z ciemności na słońce. Ogarnięte pożogą Bruchsal zostawił z tyłu za sobą. Pod sobą zobaczył las, meandry rzeki przecinającej szeroką łąkę, na której w wiosennym świetle zielenią błyszczała trawa. Dostrzegł też linię kolejową, która wybiegała z jednego tunelu, przekraczała rzekę przez most i znikwała w drugim tunelu.

Na terenie lasu dostrzegł świeżo wyrąbany dukt. Tędy musiał przelecieć spadający mustang. „W kokpicie są jeszcze ciastka, woda oraz czekolada. Żelazne racje na wypadek niebezpieczeństwa, a także mapy” - pomyślał Steven Blackmore. Wszystko to będzie mu potrzebne, jeśli tylko zdoła cało wylądować.

Znów pociągnął za linki. Zamierzał wylądować na łące w pobliżu torów kolejowych, później ukryć spadochron w lesie i udać się na poszukiwania szczątków rozbitej maszyny.

Teraz, gdy płonące piekło zostawił za sobą, prądy wznoszące zrobiły się słabsze i szybciej opadał ku ziemi.

Za pomocą linek sterujących Steven Blackmore skorygował kierunek opadania. Opa-dając spiralą tak, jak uczył podręcznik z ośrodka szkoleniowego w Tusgekee, sunął w dół w kierunku łąki i wylądował dokładnie w punkcie, który sobie upatrzył.

15. Kochany Georgu, tak długo zwlekałam

Kochany Georgu, tak długo zwlekałam z napisaniem tych słów. Wiem, że wina spada na mnie. Ale być może przeczuwasz już od dawna, co zamierzam ci powiedzieć: zostanę we Włoszech. Ojciec mnie potrzebuje. Nie doszedł jeszcze do siebie po tamtych strasznych wydarzeniach, z których cudem zdołaliśmy wynieść cało głowy. Pomogłam mu wzmocnić ogrodzenie.

Zainstalowaliśmy również nowy system alarmowy. Nawet jeśli teraz nie mamy się czego bać, on zawsze będzie czuł strach i nie sądzę, że dałby sobie rade beze mnie.

Pragnę ci jednak wyjawic drugi powód mojej decyzji: zakochałam się i to bardzo szczęśliwie. Przez długi czas starałam się z tym walczyć, ponieważ czułam się zobowiązana wobec Ciebie i ponieważ ja, a także ojciec, mamy Ci tak wiele do zawdzięczenia. Nasze nowe życie byłoby bez Ciebie niemożliwe. Dlatego też walczyłam z tą nową miłością, ale od pewnego czasu wiem, że tę walkę przegrałam i czuję szczęście z tego powodu. Ten mężczyzna to Andrea Savinio. Znasz go, to człowiek, który co roku od mojego ojca kupuje nagietki. Troszczy się teraz o nas i w niezauważalny sposób zakradł się do mojego serca. Tak właśnie jest. Ale w tym momencie, kiedy muszę napisać Ci te słowa, moje serce bardzo cierpi. Niech Ci się wiedzie.

Twoja Christiane

Mail od Christiane nadszedł wczesnym rankiem. Dengler przeczytał jego treść raz, drugi, trzeci. Tyle razy, że sam już nie był w stanie zliczyć. Kiedy odwrócił wzrok od ekranu, nie miał pewności, czy rzeczywiście zrozumiał słowa napisane przez Christiane.

Opuszczała go. Kochała innego. To było ostateczne rozstrzygnięcie. Chciał zerwać się z miejsca, ale wciąż siedział.

Usiłował przeczytać list raz jeszcze, jednak litery na ekranie rozmywały się.

Prawą ręką oparł się o blat i podniósł ciało z krzesła. Udało mu się dopiero za drugim razem. Po dwóch krokach stał już przy oknie i wyglądał na zewnątrz, gapiąc się na śnieżną zadymkę, chociaż jej nie widział. Oddychał ciężko.

Po chwili wrócił do komputera.

Zadzwonił telefon.

Odebrał i zdziwił się, jak spokojnie brzmiał jego głos.

- Mówi Foli. Anton Foli, czy przypomina pan sobie moją osobę?

Dengler przypomniał sobie. Ten człowiek był jego pierwszym klientem. Podejrzewał

żonę o zdradę. Z dochodzenia Denglera wynikało, że miał rację. Jego żona szukała erotycznych przygód, mimo że kochała męża oraz dwójkę ich wspólnych dzieci. Nigdy, tak przynajmniej powiedziała Denglerowi, nie opuści własnej rodziny. Detektyw oznajmił zatem temu człowiekowi, że jego dochodzenie wykazało, iż żona dochowuje mu wierności. Georg Dengler poczuł się wtedy jak ktoś, kto uratował czyjeś małżeństwo.

- Znalazłem coś w jej torebce - powiedział powoli mężczyzna przez telefon.

Dengler usiłował się skoncentrować. Dlaczego Christiane przestała go kochać? Gdzie popełnił błąd? Czy powinien zostać z nią we Włoszech? W takim razie, w jaki sposób zarabiałby na życie?

- W pierwszej chwili sądziłem, że mi się przewidziało - kontynuował Foli.

Dengler zrozumiał, czemu postanowiła tam pojechać. Chciała zaopiekować się ojcem.

W końcu zaatakowali go uzbrojeni zabójcy, Dengler wtedy ocalił mu życie. Później w gospodarstwie jej ojca zbliżyli się do siebie niczym dwoje zagubionych rozbitków. Niczym dwoje ogarniętych rozpaczą, którzy przeżyli. Być może nie były to dobre fundamenty dla miłości.

- Halo, proszę pana, czy pan mnie słucha...? - dosłyszał głos ze słuchawki.

- Tak. Słyszę pana dobrze. Czy możemy spotkać się za godzinę w barze Basta? Pamięta pan jeszcze, gdzie to jest?

Foli obiecał, że pojawi się za godzinę, a Dengler odłożył słuchawkę.

Miał jeszcze godzinę.

Po raz kolejny przeczytał list od Christiane.

CZEŚĆ DRUGA

16. To były dwie prezerwatywy

- To były dwie prezerwatywy - oznajmił Foli. - Paryskie, wie pan... Wypadły z jej torebki.

Dengler przyjrzał się mężczyźnie. Po twarzy Folia spływały strużki potu. Dolna warga lekko drżała. Dengler czuł dla niego współczucie.

- Dlaczego nie zapyta pan o to swoją żonę? - zasugerował.

- Nie mogę - odparł Foli. - Natychmiast pomyśli, że szperałem w jej torebce.

- A jak było? Szperał pan?

- Cóż, to prawda - potwierdził Foli.

- Być może prezerwatywy były przeznaczone dla pana. Żeby tak powiedzieć, na potrzeby małżeńskiego łoża.

Foli pokręcił przecząco głową.

- My... - wydawało się, że szuka odpowiednich słów. - Tak rzadko jak my, my... Nie używamy tego.

- Zna pan cenę za moją pracę - oznajmił Dengler. - Osiemdziesiąt euro za godzinę, ale musi pan zapłacić zaliczkę za cztery godziny oraz sto euro na wydatki.

- Zgoda. Pana ceny poszły w górę... - burknął mężczyzna.

- Tylko o pięć euro.

- Ale za godzinę.

- Za godzinę - potwierdził Dengler, a Foli wyciągnął portfel.

List od Christiane wciąż jeszcze widniał na ekranie monitora. Szybkim ruchem Dengler wyciągnął wtyczkę komputera z gniazdka, a ekran natychmiast zgasł z cichym syknięciem.

Zadzwonił do matki.

- Co powiedział lekarz? - zapytał natychmiast, gdy odebrała. - Wszystko w porządku'

- Tak, tak, to był tylko przejściowy ból. Czasami to się zdarza.

- Jak się dzisiaj czujesz? Czy ból i nudności już przeszły?

- Tego jeszcze nie wiem. Z trudem poruszam lewą ręką. Ach, Georg - dodała szybko. -

Spadło bardzo dużo śniegu. Już od trzech dni pada bez ustanku. Ale, Bogu dzięki, dom jest pełen turystów, to narciarze.

Dengler milczał.

- Mam tutaj bardzo dużo roboty - podjęła rozmowę, a Dengler zrozumiał, co chce powiedzieć. Odczytał jej niewypowiedzianą wprost prośbę: „Dlaczego tu nie przyjedziesz i nie pomożesz mi w prowadzeniu pensjonatu?”. Gdy skończyli rozmowę, Dengler zadzwonił do rodzinnego lekarza. Poprosił o połączenie z doktorem Dietsche.

- Gerhard, czy moja matka pokazała się u ciebie w przychodni? - zapytał lekarza.

Doktor roześmiał się.

- Wiesz przecież, jaka ona jest. Następnym razem zobaczę ją, kiedy będę wystawiał dla niej akt zgonu.

- Powiedziała mi, że nie czuje się specjalnie dobrze. Ma problemy z poruszaniem lewą ręką. Kazałem jej zgłosić się do ciebie, ale najwyraźniej...

- Słuchaj, to może być wylew. Kobieta w jej wieku... Czy powinienem pojechać do niej, do gospodarstwa Denglerów?

- To nic nie da. Znam ją dobrze. Pojadę tam i przywiozę ją osobiście do twojego gabinetu.

Odłożyli słuchawki.

Georg Dengler ponownie zszedł do baru Basta. Był jedynym gościem. Łysy kelner stał

za barem i polerował szklanki. Gdy dostrzegł Denglera, odwrócił się i nalał do filiżanki po-dwójne espresso ze staromodnego ekspresu do kawy, błyszczącego niczym lustro.

Dengler dostrzegł odbicie swojej twarzy - pomniejszone i zniekształcone - w połyskującej, metalowej obudowie ekspresu. Łysy kelner w milczeniu podał mu filiżankę z kawą.

Następnie spenił mleko w małym metalowym dzbanku i postawił go obok filiżanki na bufecie.

Dengler podziękował skinieniem głowy.

Czy powinien odczekać, aż żarliwa miłość między Andream Savinio i Christiane wyga-

śnie? Przypomniawszy sobie powieść Gabriela Garcii Marqueza, którą czytał jeszcze jako młody człowiek. Główny bohater powieści czekał na kobietę swojego życia aż do późnego wieku i w końcu udało się im obojgu trafić na siebie. Ale czy ożenił się z nią? Nie mógł sobie tego przypomnieć. Książka oraz determinacja bohaterów bardzo mu wówczas zaimponowały, czy może to być jednak wzorzec dla rzeczywistego życia? Dolał mleka do espresso i zamieszał.

Czy powinien pojechać do niej natychmiast i walczyć? Jak? Na to było już za późno. Zrobiłby z siebie pośmiewisko. Czy w ogóle mógł od niej żądać, żeby wybrała go zamiast Andrei Savinio, skoro kochała tamtego?

Georg Dengler wypił łyk kawy i poczuł ból, którego źródło znajdowało się dokładnie w splocie słonecznym, w jego środku. Ulokowane jak precyzyjny bokserki cios. Stamtąd ból promieniował na brzuch i w stronę serca.

Przypomniawszy sobie wykład, jaki zaliczył, gdy jeszcze pracował w Federalnym Urzędzie Kryminalnym. Nie pamiętał już, o co dokładnie chodziło, ale przypomniał sobie wykładowcę, policyjnego psychologa. „Strach tkwi w splocie słonecznym” - powiedział im wtedy. Podniósł

wzrok, a gdy spojrzał na mężczyznę za barem, spostrzegł nieme pytanie w wyrazie oczu łysego kelnera, który wycierał szklanki na wysoki połysk.

- To nic. Zaraz sobie z tym poradzę. Wszystko jest w porządku - oznajmił Dengler.

Wziął filiżankę i usiadł przy stoliku obok okna. Znowu był sam i zdany wyłącznie na siebie. „Być może to tylko wyobraźnia, która napędza mi stracha - pomyślał. - Być może jednak jest to pewność, że do końca moich dni będę sam. Pojadę do Chicago - stwierdził w myślach stanowczo. - Spełnię to marzenie, gdy tylko zakończę bieżące sprawy. Inny kontynent, inne miasto i każdego wieczoru czarny blues. Wszystko to z pewnością pomoże zapomnieć o Christiane”.

Zaczął wystukiwać stopą takt jednego z ulubionych bluesowych utworów.

Help me

I cant do by myself.

Myślami ponownie pobiegł ku Toskanii.

Nie wiedział dokładnie, jak długo siedział przy stoliku przy oknie i myślał o niej. W

pewnym momencie drzwi wejściowe restauracji Basta otworzyły się. Do środka wtargnęła fala pełnego śniegu, zimnego, lutowego powietrza wraz z niewielkim obłokiem śnieżnych płatków.

Trzymając pod pachą plik gazet, do środka wszedł pokryty śniegiem Martin Klein, rozejrzał się

dookoła, dostrzegł Georga Denglera przy oknie, podszedł do niego, rzucił gazety na stół, zdjął płaszcz, pod którym miał ciepły kaftan, zamówił kawę z mlekiem i usiadł naprzeciw przyjaciela.

- Czy horoskop się sprawdził? - mruknął?

- Nie - odparł Georg.

- Też dobrze.

Podniósł dziennik „Stuttgarter Zeitung” i wskazał na jeden z artykułów na pierwszej stronie.

- Prawdopodobnie wasza wczorajsza akcja była nielegalna - oznajmił.

Sąd nie zostawił suchej nitki na IV-tym etapie reformy Hartza - brzmiał nagłówek.

Martin Klein czytał na głos:

Sąd do spraw socjalnych wydał bezprecedensowy, nie pozostawiający żadnych wątpliwości werdykt, stanowiący, że w istocie sporu kobiecie przysługuje prawo do pobierania zasiłku dla bezrobotnych drugiego stopnia nawet wówczas, gdy zamieszkuje ona pod jednym dachem z pracującym mężczyzną. Wspólne łóżko wcale nie musi i nie powinno nakładać obowiązku wzajemnej odpowiedzialności cywilno-prawnej partnerów.

Spojrzał na Denglera znad oprawek okularów.

- Twój przyjaciel, zwany Łasicą, ma zatem wielkiego pecha. Wystarczy, że ta kobieta złoży skargę.

- Nie wiem, czy nie jest zbyt przestraszona, żeby uczynić taki krok - powątpiewał

Dengler.

Klein skinął głową.

- Coś jest nie tak z tym krajem - skomentował.

- Przy okazji zyskałeś materiał do twojego kryminału. Klein podrapał się w tył głowy.

- Godne uwagi jest tylko to, że nikogo nie dziwi fakt, gdy ludzie są źle traktowani. Tego nikt nie czyta w kryminałach. Nie, poczekam na prawdziwy mord.

Obaj dopijali kawę. Klein czytał dzienniki, od czasu do czasu przeklinał pod nosem, a Dengler zagłębił się w myślach.

Później poszli przez coraz gęstsza śnieżną zadymkę do Königstrasse. W biurze Security Services Nolte & Partners już na nich czekali. Młoda kobieta, która mogła mieć nieco ponad dwadzieścia lat,

wręczyła każdemu z nich krótkofalówkę, słuchawki cielistej barwy oraz mikrofony. Podpisali odbiór sprzętu na odpowiednim formularzu, nie czytając tekstu pisanego małą czcionką. Młoda kobieta przez pół godziny tłumaczyła im sposób działania, wybieranie kanałów, częstotliwość alarmową i pokazała im, jak mały aparat należy włączać i przypiąć do paska w sposób, który nie rzuca się w oczy.

- Centrala zawsze jest na nasłuchu - dodała na koniec. - Wszystkiego dobrego w trakcie służby jutro wieczorem!

Dengler skinął głową, przytakując. Po czym spojrział na zegarek. Dochodziło wpół do szóstej. Musiał teraz wyruszyć do Altglashütten.

Kiedy wyszli na ulicę, śnieg wciąż padał.

17. Za Stuttgartem tkwił dwie godziny w korku

Za Stuttgartem tkwił dwie godziny w korku. Śnieżna zamieć i zawieja sprawiły, że ruch niemal całkowicie zamarł. Gdy wjechał na podwórze gospodarstwa Denglerów, dochodziła już prawie dziesiąta wieczór. Matka zostawiła zapalone światło przed wejściem do domu. Po lewej i po prawej stronie, na werandzie, stały ustawione narty gości pensjonatu.

Dengler wszedł do rodzinnego domu.

Natychmiast otoczył go zapach siana, krów i mleka. „To dziwne - pomyślał. - Od dziesiątków lat matka nie trzymała krów, ale ten zapach pozostał w domu na zawsze”.

Wszedł do pokoju gościnnego, który służył teraz za salę jadalną rano, a wieczorem za salon. Wokół dużego stołu siedział dobry tuzin ludzi. Gruby mężczyzna opowiadał dowcip, a reszta się śmiała. Jedna z kobiet zapiszczała głośno, ktoś nalał jej kieliszek wina.

Georg Dengler przywitał się krótko i przeszedł przez pokój do kuchni. Matka stała przy kuchence, podpierała się prawą ręką, lewa zwisała jej bezwładnie. Twarz miała białą jak kreda; oddychała z trudem. Gdy wszedł, obróciła się i spojrzała na niego. Dengler nie był pewien, czy go rozpoznała. Prawy kącik jej ust opadł w dół.

Pół godziny później zatrzymał się przed izbą przyjęć szpitala w Neustadt. Dwóch sanitariuszy podbiegło z noszami. Po kilku minutach matkę zbadała już lekarka, a jeszcze w nocy przeprowadzono operację.

Resztę nocy spędził w swoim starym, dziecięcym łóżku. Spał niespokojnie, kołdra była za krótka i budził się wiele razy, ponieważ marzyły mu stopy. Wstał już o piątej rano, przeczytał

listę gości i sprawdził, ile pokoi jest zajętych, na podstawie kluczy wiszących na tablicy.

Posprzątał w sali, w której podawano śniadanie, nakrył stoły, ułożył w koszykach bułki i kromki chleba, które dostarczyła rankiem miejscowa piekarnia. Później rozdzielił do niewielkich

pojemników małe porcje masła, konfitur i świeżego sera, postawił je na stołach, nałożył na talerze pokrojone wędliny, a na koniec przygotował w kuchni kawę. Gdy około siódmej trzydzieści goście pensjonatu siedzieli już przy stołach, Georg Dengler poprosił ich o chwilę uwagi i ogłosił, że przez kilka dni jego matka będzie w szpitalu. Poruszeni goście natychmiast zorganizowali mu pomoc - kilka kobiet spontanicznie zgłosiło się do mycia naczyń, inne posprzątały salę i precyzyjnie przemieściły się obok Denglera do kuchni.

Potem Georg zadzwonił do pani Willmann, matki swojego przyjaciela z młodości, Mario, która mieszkała w Barental i pomagała matce trzy razy w tygodniu. Kobieta natychmiast powiedziała, że przeprowadzi się do gospodarstwa Denglerów na tak długo, jak długo matka będzie w szpitalu. Stwierdziła, że on nie musi się martwić o nic, przecież ona wie co i jak, poza tym prowadzenie pensjonatu sprawia jej radość. Na chwilę zawiesiła głos.

- Czy wiesz, kiedy Mario wróci z Włoch? - zapytała w końcu.

- Nie. Nie odzywa się do mnie już od dłuższego czasu.

- Będę za pół godziny. Spakuję tylko kilka rzeczy. Jedź teraz do matki i zadzwoń do mnie do pensjonatu, jeśli będziesz wiedział coś nowego.

Z uczuciem ulgi Dengler odłożył słuchawkę. Później pojechał do szpitala w Neustadt.

Matka leżała na oddziale intensywnej opieki medycznej - tak poinformowano go w recepcji i wskazano mu drogę.

Ledwie rozpoznał matkę, gdy wyglądająca na Azjatkę pielęgniarka z oddziału intensywnej opieki medycznej zaprowadziła go w stronę dużej, przeszklonej ściany i wskazała mu osobę, która leżała na łóżku ze stalowych rur pomalowanych na biało. Nad jej głową widniały dwa różnej wielkości monitory przedstawiające wykres EKG, wskazania temperatury, ciśnienia krwi oraz rytm oddychania. Po lewej i po prawej stronie łóżka mrugały cyfrowe wskaźniki i świetlne diody wielu innych przyrządów pomiarowych i aparatury medycznej. Trzy butelki z przezroczystym płynem wisiały na stojaku obok kołdry, a wąskie wężyki biegingły do medycznej aparatury.

Być może z powodu zielonej szpitalnej koszuli czy też otoczenia - całej tej medycznej techniki - matka wydała mu się tak bardzo obca. Leżała na plecach. Pod nosem przymocowano jej dwie plastikowe rurki, a na lewym przegubie zawiązano białą opaskę, z której wychodził

mały, przezroczysty wężyk i biegł dalej w mieszaninie niezliczonych kabelków i przewodów, jakie otaczały głowę i ciało jego matki, łącząc się z całą aparaturą. Miała otwarte usta. Czy w ogóle jeszcze oddychała? Przyrządy pomiarowe zdawały się wskazywać stałe wartości. Po chwili dostrzegł, że jej klatka piersiowa w prawie niezauważalny sposób podnosi się i opada w miarowych odstępach czasu. Żyła więc. Jednak te otwarte usta... Dengler rozejrzał się w poszukiwaniu pielęgniarki, pragnąc pomocy, siostra siedziała już jednak w przeszklonym pomieszczeniu kontrolnym przy wejściu na oddział.

Dengler tkwił tak jeszcze przez dłuższy czas przed szklanym przepierzeniem i spoglądał na matkę.

Następnie wyszedł ponownie na korytarz. Tam usiadł na wąskiej ławce.

Gdy ojciec zginął w tragicznym wypadku, Georg był jeszcze małym chłopcem. Wiedział - od tamtego tragicznego w skutkach dnia - że matka jego właśnie obwiniała o śmierć ojca. Przez całe dzieciństwo oraz młodość Georg Dengler sam wierzył we własną winę. Ten zarzut ciążył mu na sumieniu zawsze, kiedy był razem z matką. Ta obca kobieta w łóżku na oddziale intensywnej terapii z otwartymi ustami wciąż artykułowała ten zarzut: że ponosił winę za śmierć ojca.

Za radą wiejskiego nauczyciela Georg został posłany do szkoły średniej we Freiburgu i wynajęto tam dla niego pokój.

Freiburg był dla niego, chłopca z wioski, zupełnie nowym światem. Przede wszystkim stanowił szansę na ucieczkę od tego zarzutu, który ciągle odczuwał w domu. We Freiburgu otrzymywał niewielkie stypendium dla ubogich uczniów, które to środki powiększał, dokończając drobnych włamań. Tam też poznał Romy, studentkę medycyny. Gdy ta pierwsza wielka miłość rozpadła się, doszedł do wniosku, że powinien w życiu pójść inną drogą i zgłosił się do służby na policji. Ku wielkiej radości matki, która nawet nie przeczuwała, że był wówczas bardzo bliski zejścia na złą drogę. Państwowa służba w jej oczach dawała gwarancję dostatniego życia i pozwalała synowi uwolnić się od troski o egzystencję, która ją samą trapiła w dzień i w nocy.

Ktoś położył rękę na jego ramieniu. Był to doktor Dietsche.

- Prawdopodobnie uratowałeś życie swojej matce - rzekł lekarz. - Dotarła do szpitala bardzo późno, ale na szczęście nie za późno.

Gdy lekarz odszedł, Georg pozostał jeszcze chwilę w poczekalni, po czym w końcu wstał. Wyszedł na parking przed szpitalem, wsiadł do samochodu i pojechał z powrotem do Stuttgartu.

18. Przyjęcie u miliarderów

Przyjęcie u miliarderów odbywało się w Reutlingen. Georg Dengler zaparkował swoje audi A6 w bocznej uliczce, w pobliżu willi ulokowanej na rozległej posesji. Martin Klein, który siedział na miejscu pasażera, sprawdził fryzurę w małym lusterku wstecznym. Olga siedziała z tyłu. Party miało się rozpocząć za dwie godziny.

- Obiecaj mi: żadnych kradzieży, żadnego plądrowania torebek, żadnych podwędzonych broszek!

Olga położyła dłoń na jego ramieniu.

- Słuchaj, nigdy nie uczynię niczego, co by ci mogło zaszkodzić. Obiecuję - podniosła do góry trzy palce, jak do przysięgi.

- Przeprowadzimy przed powrotem do domu gruntowną rewizję osobistą - zapowiedział

Klein z udawaną powagą.

Olga roześmiała się, a jej twarz wykrzywiła się w udawanym grymasie. Kobieta, która wyszła na

podjazd im na spotkanie, miała na sobie biały fartuszek z falbankami oraz czepek.

Dengler pomyślał, że chyba uciekła z jakiegoś angielskiego filmu. Zaprowadziła ich do domu i na pierwsze piętro kamiennymi schodami, które prezentowałyby się godnie w każdym muzeum. Poprowadziła ich szerokim korytarzem, na którego ścianach wisiały obrazy olejne ze scenami z polowań. Doszli do pokoju, który stanowił coś w rodzaju garderoby. Dengler poczuł, jak po kostki zapada się w różowym puszystym dywanie. Na czarnym skórzanym meblu, który stanowił połączenie fotela i leżanki, spoczywała kobieta w wieczorowej kreacji.

Z tyłu za nią znajdował się nowoczesny stolik z trzema szklanymi blatami, ustawionymi jeden nad drugim, na których zgromadzono chyba wszystkie kosmetyki tego świata. Dwie młode kobiety zajmowały się leżącą, jedna oklepywała jej twarz wilgotnym ręcznikiem, druga szczotkowała włosy.

Kobieta w trudnym do określenia wieku miała pełne kształty i kręłą sylwetkę, co chciała zatuszować za pomocą kroju wieczorowej sukni. Kolor jej odsłoniętych ramion był

zadziwiająco brązowawy. Ciało na rękach miało również barwę urlopowej miedzi, jednak bezlitośnie zwisało. Matrona wyprostowała się, a obie młode kobiety natychmiast przerwały wykonywane czynności.

- Będziecie więc nas dzisiaj strzec - powiedziała i bezceremonialnie spojrzała taksującym wzrokiem na Denglera, Olgę i Kleina. Wygląd Denglera zadowolił ją, Olgę zignorowała, ale Martin Klein najwyraźniej nie odpowiadał jej wyobrażeniom o ochroniarzu.

- Pan! Jak długo służył pan w policji? - skierowała do niego pytanie, marszcząc przy tym nos.

Martin Klein spojrzał na Georga Denglera, nie wiedząc, co jej odpowiedzieć. Zastanawiając się, zaczął od chrząknięcia.

- *Madame* - odezwał się Dengler i wskazał kciukiem na Kleina. - Ten człowiek jest jednym z bohaterów z Mogadiszu.

Na kobiecie zrobiło to duże wrażenie, a Martin Klein rzucił niespokojne spojrzenie w kierunku Denglera.

- Hans-Peter, Hans-Peter! - zawołała matrona. - Przyjdź tu na chwilkę.

Z pokoju obok wychynął rostry mężczyzna, sprawiający wrażenie szorstkiego w obyciu.

Miał na sobie czarne spodnie od smokingu z szelkami oraz białą koszulę. Denglerowi rzucił się w oczy jego duży nos, na którego porowatej skórze dostrzegł drobne czerwone żyłki oraz, w kilku miejscach, duże czarne wągry.

- Ten człowiek był w Mogadiszu - zawołała matrona i wskazała na Kleina, który teraz przestępował nerwowo z nogi na nogę. Spoglądał niepewnie w kierunku Denglera, który jednak robił dobrą minę do złej gry.

- Co z tego?! - krzyknął przywołany mężczyzna, oszacował jednym spojrzeniem Olęę i klepnął Martina Kleina w ramię.

- Dobra robota, mój drogi. Ma pan ochotę na sznapsa? Dengler widział, jak Klein zamierzał skinąć potakująco głową, ale zmroził go surowym spojrzeniem i dyskretnie pokręcił przecząco głową.

- Och, na służbie nie pijemy - odmówił Klein, przy czym nie zdołał ukryć żalu w głosie.

- Musimy jeszcze dokonać inspekcji domu oraz posesji - wtrącił Dengler.

- Oczywiście, że musicie - zgodził się mężczyzna i odwrócił do Kleina, którego wziął za szefa. - Kiedy przyjdą goście, ustawcie się z tyłu za obiema paniami sprawdzającymi zaproszenia. Nasi goście powinni natychmiast dostrzec, że wydajemy spore pieniądze na ich bezpieczeństwo.

- Róbcie to dyskretnie - dorzuciła jego żona. - Zawsze w sposób dyskretny.

- Oczywiście, łaskawa pani, będziemy widoczni, ale z tyłu - podjął Klein, któremu rola szefa najwyraźniej się spodobała. Po czym dał znak głową Denglerowi i Oldze, by ruszyli za nim. Opuścili pokój.

Wciąż padał śnieg, ale nie mógł przeszkadzać gościom tego wieczoru. Większa część trawnika przed willą znajdowała się pod dużą przezroczystą i niemal niezauważalną plandeką, rozciągniętą na skomplikowanej, złożonej z drobnych elementów konstrukcji. Do dużego, oświetlonego basenu, położonego w tylnej części parku otaczającego willę, prowadziła również zadaszona ścieżka. Grunt w parku porastała zielona trawa. Dengler pochylił się, żeby sprawdzić, i już nie miał wątpliwości. Krótka przycięta murawa w lutym? Dotknął trawy i stwierdził ze zdumieniem, że goście mieli do dyspozycji zadaszoną część posesji, wyłożoną sztuczną murawą, prawdopodobnie z zainstalowanym ogrzewaniem. Chciał zwrócić na to uwagę Oldze, ale dostrzegł, że właśnie zawróciła w stronę willi.

Po lewej stronie, obok wejścia do domu, znajdował się podest ze sceną, na którym kubański zespół stroił instrumenty.

Obok umieszczono antyczny drewniany stół, na którym rozłożono rozmaite pęczki brązowych wysuszonych liści. Dwie młode kobiety, wyglądające na mieszkanki Karaibów, w bardzo krótkich spódnicach, siedziały przy stole na dwóch drewnianych krzesłach i rozmawiały z sobą po hiszpańsku.

- Tytoń - odezwał się Martin Klein. - Nie dasz wiary, ale to są prawdziwe liście tytoniu.

- Po co?

- Nie mam pojęcia, ale z pewnością jest to tytoń.

Po przeciwnej stronie kucharz w śnieżnobiałym uniformie lustrował przygotowany bufet.

- Chodźcie ze mną - odezwała się Olga, która wyszła z domu.

Posłuchali jej. Prowadziła ich pewna celu jednym z bocznych korytarzy, po czym skręciła w stronę damskiej toalety usytuowanej na końcu korytarza. Otworzyła drzwi, Dengler i Martin Klein zatrzymali się.

- No, nie bądźcie tacy - zachęciła ich i przywołała obu mężczyzn gestem ręki. -

Wejdźcie do środka.

Weszła i raz jeszcze machnęła ręką. Dengler i Martin Klein poszli za nią, ociągając się.

Przedsiónek damskiej toalety był większy niż biuro i mieszkanie detektywa razem wzięte.

Naprzeciw lustrzanej ściany, której długość była równa długości pomieszczenia, znajdował się duży drewniany stół z flaszkami i flakonikami w różnych kolorach. Przed nim stały dwie kobiety.

- *Security check* - powiedziała Olga do kobiet, po czym zwróciła się do Denglera i Martina Kleina: - To są dwie charakteryzatorki z państwowego teatru. Będą się troszczyć o makijaż dam, gdyby dziś wieczorem komuś coś się rozmazało. Poza tym - wskazała na dużą liczbę flakoników z perfumami przed lustrzaną ścianą - gospodyni nie wie oczywiście, jakich perfum używają jej goście. Dlatego na wszelki wypadek postawiła tu z pięćdziesiąt najdroż-

szych marek.

Podniosła jeden z flakoników ze złotożółtą cieczą w środku.

- Tam - wskazała na wbudowaną w ścianę szafę po jednej ze stron - znajduje się co najmniej trzydzieści opakowań różnych perfum. Być może któryś z gości zechce zabrać je z sobą do domu.

Obie charakteryzatorki zaczęły chichotać, a Olga opuściła pomieszczenie. Dengler i Martin Klein ruszyli pośpiesznie za nią.

Wpół do ósmej Dengler zadzwonił do szpitala. Jego matka wciąż leżała na oddziale intensywnej opieki medycznej. Lekarz pełniący dyżur poinformował go, że nie ma powodów do niepokoju. Matka wciąż jeszcze była słaba, ale jej stan był stabilny. Następnego dnia z pewnością powinna się przebudzić.

Za kwadrans ósma zaczęli pojawiać się pierwsi goście. W sali recepcyjnej willi dwie kobiety odbierały zaproszenia od przybyłych, dwie inne odnosiły ich płaszcze, kapelusze i szale. Dengler i Klein ustawili się nieco z tyłu, ale zwracali uwagę na to, żeby wszyscy przybyli mogli ich widzieć. W następnym pomieszczeniu, które stanowiło swego rodzaju salę audien-cyjną, gospodarz i gospodyni witali swoich gości.

- Heidrun, uwielbiam twoje przyjęcia - zawołała jedna z nowo przybyłych pań i ostrożnie pocałowała gospodynię w oba policzki. - Wreszcie mogę zademonstrować moją biżuterię.

Miała na sobie błyszczącą kolbę, zawieszoną na ogromnym dekolcie. Kamienie wisały w półokręgach na pokrytej samoopalaczem i już widocznie zwiotczalej skórze. Jej bransoletki były w tym samym stylu, a na dłoniach błyskały diamenty licznych pierścieni. Po krótkiej chwili Dengler doszedł do przekonania, że kobiety można było podzielić na dwie kategorie.

Starsze damy, o opalanej na brązowawo skórze, odsłaniały ciało i nosiły na sobie majątek w postaci biżuterii oraz wieczorowych kreacji. Niektóre z nich miały nawet drogie kamienie zamocowane w przezroczystych obcasach butów na szpilkach. Drugą kategorię tworzyły młode kobiety, najczęściej towarzyszące starszym mężczyznom w granatowych garniturach i niebieskich koszulach lub w smokingach. One również były w charakterystyczny sposób do siebie podobne. Wysokie, szczupłe, ale z wyraźnie zarysowanym, sporym biustem blondynki z włosami zaczesanymi do góry, w krótkich, drogich spódniczkach. „Małe czarne jako rodzaj uniformu” - pomyślał Dengler. Nie były one obwieszane biżuterią, w przeciwieństwie do starszych matron, ale najczęściej miały na sobie jeden lub dwie wartościowe sztuki biżuterii -

naszyjnik lub bransoletkę, rzadziej pierścione. Wszystkie sprawiały wrażenie, jakby zostały zamówione z tej samej agencji towarzyskiej.

Krótko po dziewiątej, jak ocenił Dengler, zebrało się około dwustu osób. Całe towarzystwo zgromadziło się przed basenem. Gospodyni przywitała wszystkich, a jej mąż stał obok z kieliszkiem szampana w dłoni. Ledwie skończyła przemowę, natychmiast pojawiła się kolumna służących ubranych w białe fraki, którzy ustawili białe stoliki na murawie.

- Otwarto bufet - obwieścił jej mąż i wychylił kieliszek szampana. Dengler i Klein patrolowali obrzeża bawiącego się towarzystwa.

- Gdzie jest Olga? - zapytał Georg Dengler, ale Martin Klein wzruszył tylko ramionami.

Poszli w kierunku basenu. Był ogromny, podświetlony od środka. Chociaż na dworze padał śnieg, znajdowali się pod zadaszeniem i dzięki liczным grzejnikom było tu tak ciepło, że aż chciało się zażyć kąpieli.

Niedaleko dłuższej krawędzi znajdował się rów głębokości pół metra i szeroki na metr, wyłożony niebieską plandeką, również oświetlony od wewnątrz.

„Woda w rowie musi być morską” - pomyślał Dengler, spoglądając z góry na małe płaszczki, kilka ośmiornic i makreli. Dwie dorady płynęły obok dostojnie, a kilka pstrągów morskich przemknęło z szybkością strzały obok świateł. Homary z podwiązanymi szczypcami wyglądały na pogodzone z przeznaczeniem, a stada langust wachlowały długimi czułkami.

Dengler i Klein z podziwem patrzyli na morskie stworzenia.

- Dobry wieczór, moi panowie, nazywam się Fotis Tim-mitiotis. Jestem jednym z mistrzów grilla. Czym mogę panom służyć?

Dengler i Klein nie bardzo wiedzieli, co ten człowiek ma na myśli.

- Proszę sobie coś wyszukać, panowie - zachęcał ich Grek.

Dopiero teraz Dengler zauważył, że mężczyzna miał w dłoni siatkę na ryby.

- Niech panowie coś sobie wybiorą - ponownie zachęcił ich mężczyzna. - Wyłowię to dla panów i przygotuję.

Wskazał w stronę kilku otwartych ognisk, które znajdowały się w pobliżu. Stało tam już kilku innych mistrzów grilla, piekąc ryby w ogniu.

- Dzięki, dzięki. Być może później - odparł Klein i zwrócił się do Denglera: - Wiem, wiem. Jesteśmy na służbie.

Ruszył dalej. Dengler podążył za nim.

Kubański zespół rozpoczął koncert. Muzycy grali pieśni zespołu Buena Vista Social Club - na tyle dobrze, że Dengler na początku zastanawiał się, czy nie są to ci sławni muzycy.

Większość gości znała chyba melodie, gdyż niektórzy przytupywali do rytmu. Jedna z kobiet kołysała biodrami. Także Klein strzelał palcami. Dengler spojrział na niego surowym wzrokiem, a jego przyjaciel natychmiast przestał. Po czym obaj się roześmiali.

Legiony kelnerów w białych marynarkach krążyły wśród gości i roznosiły jedzenie. Kto nie miał ochoty fatygować się w stronę bufetu, tego kelnerzy pytali o kulinarne życzenia.

- Zróbmy poważne miny i przejdźmy się między stołami - zaproponował Klein i założył słoneczne okulary. - Czy wyglądam *cool* - zapytał Denglera.

- Harrison Ford zsiniałby z zazdrości, gdyby mógł cię zobaczyć.

Przy jednym ze stołów gruby mężczyzna w białym smokingu przechwalał się bez ce-regieli:

- Moja klinika jest największa w całych Niemczech - mówił wysokim i napszonym głosem. - Mamy doświadczenie. Każdego roku dwadzieścia tysięcy piersi. Oraz dwóch leka-rzy, którzy przez okrągły rok odsysają tłuszcz. Póki co, nikt nas nie prześcignął.

Przerwał na moment i pocałował w dłoń kobietę o blond włosach.

- Droga pani von Baumagd, czy jest pani z wszystkiego zadowolona?

- Sam pan przecież widzi, profesorku, czyż nie?

- Martin, chodź. Przejdziemy się dalej - syknął Dengler do przyjaciela, który z otwartymi ustami wsłuchiwał się w tyradę szefa kliniki. Pchnął Kleina bez pardonu i poszli dalej.

- Coś z tymi kobietami jest nie w porządku - odezwał się po krótkiej chwili Dengler do Kleina.

Stanęli obok stołu, przy którym trzy damy rozprawiły żywo na temat niższej jakości diamentów szlifowanych w Delhi. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak wszystkie inne - odślaniały dużo ciała, obwieszane biżuterią, w butach na wysokich obcasach. Sprawiałyby wra-

żenie prostytutek, gdyby wszystko na nich nie było tak drogie.

- Botoks - odezwała się Olga, która nagle znalazła się obok nich. - To jest botoks.

Dengler spojrział na nią pytającym wzrokiem.

- Środek toksyczny dla systemu nerwowego - wyjaśniła. - Botoks. Prawidłowa nazwa to toksyna botulinowa. Blokuję działanie neurohormonu acetylocholino, który przekazuje sygnały nerwów do komórek mięśniowych. W ten sposób określone mięśnie zostają sparaliżowane.

- Że niby co? - zdziwił się Martin Klein i zdjął słoneczne okulary.

- Te damy wstrzyknęły sobie botoks. Pod skórę na czole, wokół oczu oraz w kącikach ust. Teraz nie mogą zmarszczyć czoła, nawet gdyby chciały. Dlatego ich twarze wyglądają tak gładko.

Dengler przyjrzał się bliżej. Olga miała rację. Na twarzach tych starszych kobiet nie był

w stanie dostrzec nawet jednej zmarszczki. Ich oblicza były gładkie jak pupy niemowląt, mimo to coś w ich twarzach wydawało się dziwne, osobliwe. Dengler postanowił jednak nie drażnić tematu.

- Poza tym te kobiety podczas rozmowy nie mogą wcale lub prawie wcale ruszać mięśniami twarzy - dodała Olga fachowym tonem.

Dengler raz jeszcze się przyjrzał. To było to, te kobiety rozmawiały z sobą głośno, ale mięśnie ich twarzy na dobrą sprawę w ogóle się nie poruszały. Nie było zmarszczek spowodowanych uśmiechami, żadnych dołków ani mimiki. Wyglądały jak ryby, które jedynie otwierały i zamykały usta.

- To wszystko nie jest prawdziwe - wymamrotał Dengler i odciągnął pozostałych dalej, po czym zwrócił się do Kleina. - Kiedy to wszystko opiszesz w swoim kryminale, nikt nie będzie potrafił się oprzeć i wszyscy przeczytają twoją książkę.

Przyglądali się korpulentnej gospodyni, która chodziła od stolika do stolika, prawiała komplementy oraz wygłaszała okolicznościowe aforyzmy.

- Tamara dmuchana lala. Uwielbiam otyłe kobiety.

Na koniec krótki uśmiech przy ostatnim stole, po czym znaczący gest i korpulentna matrona zawróciła w stronę domu. Pospiesznym krokiem ruszyły za nią trzy kobiety. Grupka minęła Denglera, Kleina i Olgę, pobrzękując biżuterią i szeleszcząc kreacjami. Heidrun szła tak szybko i tak pewna siebie, że przez moment Dengler pomyślał, że coś się stało. Odczekał

chwilkę, Po czym podążył za nimi.

W domu dostrzegł, jak cztery kobiety wchodzą schodami na pierwsze piętro. Gdy dotarł

na górę, gdzieś zniknęły. Ruszył powoli wzdłuż korytarza i nasłuchiwał, czy gdzieś nie usłyszy ich głosów przez drzwi. Zza żadnych drzwi nie dobiegał jednak żaden odgłos. Zawrócił i poszedł korytarzem z powrotem. Przed ostatnimi drzwiami zatrzymał się. Do jego uszu dobiegł

przytłumiony szmer i przez chwilę pomyślał, że ktoś upadł na podłogę. Natychmiast przyszła mu na myśl matka.

Zastukał krótko i wszedł.

Cztery kobiety klęczały przy długim, niezbyt wysokim stoliku, dotykając się głowami.

Oczy dwóch z nich błyszczały. Wszystkie mówiły teraz głośno i sprawiały wrażenie, że są w doskonałym nastroju. Jedna z kobiet trzymała w dłoni zwinięty w rulonik banknot o nominale pięciuset euro, który ścisnęła między palcami jak papieros.

Na całej długości stolika ciągnęła się biała smużka kokainy.

Gospodyni skinęła radośnie w jego stronę.

- Chce pan skosztować?

Dengler pokręcił przecząco głową, wycofał się i zamknął ostrożnie drzwi.

Dwie grupy mężczyzn skupiły się wokół zespołu. Powłócząc nogami, Dengler ruszył w tamtym kierunku. Nagle pojawił się Klein z talerzem pełnym płatów łososia i z górą kawioru.

W drugiej ręce trzymał kieliszek z szampanem.

- Kontynuujesz zgłębianie tematu?

Martin Klein roześmiał się i opróżnił kieliszek. Goście otoczyli dwie kobiety z Karaibów, które siedziały przy stole z liśćmi tytoniu. Brały one liście z różnych kupek, mieszały je, rozdrabniały i zawijały w przygotowany już liść zewnętrzny. Ostateczny kształt osiągały cygara, gdy kobiety zwijały je wiele razy na własnych udach. Jedna z nich miała przezroczyście figi i za każdym razem, kiedy prawą dłonią zwijała cygaro na wewnętrznej stronie uda, stojący obok mężczyźni mogli przez moment dostrzec przycięte włosy łonowe. Szeptem to komentowali.

Kelnerzy roznosili jedzenie, a zespół grał coraz radośniej i żywiej. Mimo to nikt nie tańczył. Goście stali razem i rozmawiali, ale przyjęcie opanowała monotonia i Denglerowi zaczęło się już nudzić. Zataczał kolejne rundy i milczał.

Po godzinie na przyjęciu zrobiło się luźniej. Dołączył do niego Martin Klein.

- Czy nie sądzisz, że tak dużo pieniędzy w rękach bogatych to nie jest najlepszy pomysł?

Dengler przytaknął. Kobięcie, do której mieszkania wszedł razem z Łasicą, wystarczyłby ułamek tego bogactwa, by mogła prowadzić życie wolne od zmartwień i trosk.

Później zespół zrobił sobie przerwę. Z głośników dobiegły tony szlagieru *Sex Bomb* w wykonaniu Toma Jonesa, nikt jednak nie zwracał na to uwagi. Gospodyni puściła jeszcze raz tę samą piosenkę i zaczęła tańczyć, zataczając kręgi. Uniosła ręce niczym tancerka flamenco, obracała głowę na boki i usiłowała tańczyć w rytm muzyki.

- Jeśli interesuje cię moje zdanie, to ona wygląda jak naćpany teletubiś... - wymamrotał

Klein.

Heidrun dała znak pozostałym gościom. Tańczcie, tańczcie! Dołączyła do niej jednak tylko para lesbijek i teraz we trzy tańczyły w kółku.

Musieli odczekać jeszcze dwie godziny, aż przyjęcie opuści ostatni gość - mężczyzna kompletnie zalany ze swoją równie mocno wstawioną żoną - odholowali ich do taksówki.

Kierowca początkowo odmawiał zabrania tej pary, ale gospodarz osłabił opór, wręczając mu kilka banknotów.

Georg wykorzystał ten moment, żeby uzyskać podpis na formularzu firmy detektywistycznej Nolte & Partners, kwitujący wyświadczoną usługę. Wtedy opuścili willę i wsiedli do samochodu.

- Jestem teraz bardziej niż kiedykolwiek pewna, że moja profesja jest najuczciwsza na świecie - oznajmiła Olga, siadając z tyłu.

Dengler ruszył.

- Martin, potrzebuję informacji z dziedziny gospodarki. Czy znasz kogoś, kto może mi pomóc? - zapytał po chwili.

- Wciąż jeszcze jestem w szoku - odparł Klein, ziewając. - Co właściwie chcesz wiedzieć?

- Muszę się dowiedzieć czegoś na temat sytuacji finansowej pewnego hotelu.

Klein podrapał się w głowę.

- Znam redaktora z działu gospodarczego pewnej gazety, która drukuje moje horoskopy

- podjął temat. - To miły facet. Prawdopodobnie ma dostęp do bazy danych firm działających w szarej sferze. Mogę zaprosić go na jutrzejszy wieczór do Basty.

Dengler przytaknął. Zjechali na drogę krajową B27 i nikt już nie odezwał się słowem.

19. *Budzik Denglera zadzwonił o wpół do siódmej*

Budzik Denglera zadzwonił o wpół do siódmej. We śnie widział nietoperza, który leciał nad nieskończone długim stołem, a na nim była usypana nieskończone długa smużka kokainy.

Od czasu do czasu nietoperz zniżał lot i wciągał małą porcję przez szeroko otwarte prawe nozdrze. Gospodyni przyjęcia o różowych barkach przyglądała się temu, a jej nozdrza przypominały świński ryj - tak duże zrobiły się jej otwory nosowe. Biła brawo nietoperzowi, który teraz leciał nad rowem wypełnionym morską wodą. Z daleka dostrzegł Christiane z kieliszkiem szampana i wiedział natychmiast, że nietoperz zamierza ugryźć ją w szyję niczym wampir.

Chciał pobiec w jej kierunku, ale nie mógł oderwać się z miejsca. Budzik wciąż jeszcze dzwonił. Zbudził się. Tors i twarz miał mokre od potu. Wstał powoli i powlókł się do łazienki.

Lewą ręką przytrzymał się krawędzi umywalki i spojrzał w lustro. Dostrzegł swoje odbicie z dwudniową szczecinią. Oczy miał zmęczone i zaczerwienione. Nie podobało mu się to, co zobaczył, zastanawiał się, czemu tak wygląda. Później zauważył, że białka oczu przecinała siateczka drobnych czerwonych żyłek.

„Młodzińcze, jesteś zupełnie wykończony”.

Poszedł do pokoju i włożył do odtwarzacza płytę kompaktową z utworami Juniora Wellsa.

Help me.

I cant a ll do by myself.

Oszczędna gra harmonijki ustnej Juniora wznosiła się na coraz wyższe tony, później znów dźwięki wnosiły się i ponownie opadały - Wszystko zaczynało się od nowa, z radosnym spokojem, którego nie dałoby się wykreować nawet trudem i znojem Syzyfa.

Dengler bardzo lubił tę płytę, był to koncert na żywo, nagrany w chicagowskim klubie o nazwie Buddy Guys Legend. Zamierzał polecieć do Chicago i osobiście odwiedzić ten klub.

Junior wciąż śpiewał i grał. Teraz towarzyszyły mu jedynie klawisze.

Nastrój Denglera poprawił się. Poszedł znów do łazienki i umył twarz. Gorąca woda obudziła go już zupełnie. Czuł się teraz, jakby dostrzegł przez niezbyt gęstą mgłę z wodnej pary Christiane stojącą obok nago. Czuł, jak to wyobrażenie pobudza go. Zamknął oczy i widział

Christiane tuż przed sobą. Patrzyła na niego z uśmiechem. Później wizja kobiety przemieniła się w Olgę. To go rozdrażniło, usiłował ponownie przywołać wizerunek twarzy Christiane, ale nie udało mu się. Wkrótce sam już nie wiedział, kim była ta kobieta widmo, którą sobie wyobraził.

Kiedy wytarł się, poszedł nagi do salonu. Junior grał teraz szybszy kawałek: *What My Momma Done Told Me.*

Dengler zaczął poranną porcję przysiadów. Od czasu do czasu zerkał w stronę usta-wionej przy ścianie figurki Madonny, od której prawie zupełnie odpadła już niebieska farba.

Zadał też sobie pytanie, czy Olga jeszcze śpi.

Z baru Basta przeszedł na drugą stronę ulicy do Brenners Bistro. Wieczorem znów napadało śniegu, chodniki i ulice pokrywała migotliwa i czyściutka biel. Dopiero przed loka-lem Brenners śnieg był odgarnięty na dwie duże sterty. Zamówił podwójne espresso z odrobiną mleka i zaczął przeglądać gazety codzienne.

Amerykański prezydent bawił z wizytą w Europie. Jeszcze nigdy w historii Europy nie poczyniono tak wielkich nakładów na środki bezpieczeństwa. W Brukseli pracownicy służb bezpieczeństwa zaspawali wszystkie pokrywy kanałów, a w Moguncji mieszkańcom śródmieścia pozwolono wychodzić z domów tylko w wyjątkowych sytuacjach. Rząd federalny Niemiec przeznaczył trzydzieści milionów euro na zapewnienie bezpieczeństwa politykowi najbardziej znieawidzonemu na świecie. W Słowenii przyjmowano go kilka dni później, gdzie jawił się niczym Mesjasz. Premier Luksemburga, Jean-Claude Junkers, oświadczył, że gdyby głupota była śmiertelna, to na ulicach Brukseli zalegałyby tysiące martwych ciał.

Dengler spojrzął na zegarek. Musiał się pośpieszyć.

O jedenastej Georg Dengler został wprowadzony do poczekalni przez czarnowłosą sekretarkę notariusza Dillmanna w miasteczku Bruchsal.

Kobieta przyniosła mu filiżankę kawy oraz aktualne wydanie dziennika „Badischen Neuesten Nachrichten”, po czym zostawiła go samego. Nie wiedział dokładnie, jak długo ma czekać, kiedy ponownie weszła i zaprosiła go do biura.

Za biurkiem siedział starszy mężczyzna w niebieskim garniturze. Jego lewa dłoń leżała na blacie biurka, a prawa na kolanach. Barki sprawiały wrażenie, że zaraz się zapadną, a duża głowa wydawała się zbyt ciężka dla tego wychudzonego ciała. Zapewne siedzenie w tej pozycji wymagało od niego sporego wysiłku, jego brązowe oczy sprawiały jednak wrażenie rześkich i ciekawych świata. Niemal wychodziły z oczodołów. Przed nim na biurku leżała czerwona teczka na dokumenty.

Zdecydowanym gestem wskazał mu krzesło dla gości. Dengler usiadł naprzeciw niego.

Były notariusz z zainteresowaniem taksował go wzrokiem.

- Grzebie pan w starych sprawach - odezwał się Dillmann i zdmuchnął kurz z czerwonej teczki.

- Heinz Dillmann. To pan jest osobą, która podpisała umowę między Volkerem Sternbergem a Kurtem Rothem - rozpoczął Dengler.

Stary człowiek przytaknął:

- Hotel Zamkowy został przekazany bez jakiegokolwiek formalnego zadośćuczynienia na własność Kurta Rotha.

- Czy wie pan dlaczego? - zapytał Dengler. Starzec pogрузił się w myślach.

Dengler czekał. Po chwili zaczął się obawiać, że jego rozmówca wpadł w jakiś trans i spojrział w oczy starca. Były otwarte, a Dengler pomyślał, że jego oczodoły stanowią wstrzą-

sający wyraz choroby Basedowa.

- Czy przypomina pan sobie tamtą transakcję? - naciskał Dengler.

- To było bardzo dawno - odparł stary człowiek. - Wtedy byłem jeszcze bardzo młody.

- Ale cała ta sprawa w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku była bardzo niezwykła, gdyż przekazywano w darowiźnie majątek nieruchomy. Czy Volker Sternberg był

aż tak hojnym człowiekiem?

Stary notariusz wykrzywił twarz w grymasie, jego bardzo liczne zmarszczki sprawiły jednak, że Dengler nie był w stanie rozstrzygnąć, czy na starej twarzy Dillmanna pojawił się wyraz bólesci czy też rozbawienia.

- Nie zawsze znałem motywy postępowania moich klientów. W tym szczególnym wypadku... Upłynęło już zbyt wiele czasu. Wtedy... - pochylił się do przodu. - Obowiązywało przecież prawo okupacyjne.

- Co to znaczy? - dopytywał Dengler.

- Skomplikowana sytuacja od strony prawnej. Każda czynność wymagała pieczętki komendanta miasta. Początkowo francuskiego, a później amerykańskiego.

Stary człowiek przesunął czerwoną teczkę po blacie biurka. Dengler wziął ją i zaczął

przeglądać dokumenty. Umowę już znał, jednak egzemplarz, który miał przed sobą, nosił

dotkadowo obok pieczęci notariusza także stempel i podpis amerykańskiego komendanta miasta.

- Dodatkowe porozumienie - podjął temat Dengler. - Brakuje mi tego dodatkowego porozumienia, o którym mowa jest w dokumencie.

Przesunął teczkę z powrotem po blacie biurka. Stary notariusz zabrał ją i z trudem wstał

od biurka. Natychmiast zjawila się ciemnowłosa sekretarka i wzięła go pod ramię. Zrobił powoli kilka kroków, po czym obrócił się w stronę Denglera.

- Młody człowieku - rzekł. - Niech pan zostawi te sprawy w spokoju. Nie kryje się w tym nic dobrego. To było bardzo dawno. To działo się w innych czasach, a większość zwią-

zanych z tym ludzi przeniosła się już na tamten świat. Niech pan posłucha rady starego człowieka, który ma dobre intencje.

Sekretarka wyprowadziła go powoli na zewnątrz. „Coś tu śmierdzi” - pomyślał Dengler.

20. Kierując się nagłym impulsem

Kierując się nagłym impulsem, pojechał do Gündlingen. Dochodziło wpół do pierwszej, kiedy zaparkował samochód na zakładowym parkingu i zgłosił się w recepcji firmy Sternberg Systemy Mocujące. Nie, pani Sternberg nie ma, natomiast jej brat znajduje się w swoim atelier.

Robert Sternberg siedział na podłodze w trzecim pomieszczeniu. Wokół niego leżało mnóstwo sztabek. Był rozczochrany. Budował z tych sztabek jakąś konstrukcję, która przypominała z wyglądu wieżę Eiffla, wyraźnie jednak przechylała się w prawo.

- To jedno wielkie gówno - powiedział na przywitanie do detektywa.

Dengler zmarszczył czoło.

- Sztabki, które teraz wypluwają już nowe maszyny, nie zachowują się tak, jak planowano. Gdy tylko konstrukcja składa się z większej liczby niż dwanaście sztuk, całość zaczyna wyginać się pod własnym ciężarem. To całkowita katastrofa.

- Czy to miała być wieża Eiffla? Ta rzecz bardziej przypomina krzywą wieżę w Pizie.

- Niech pan nie żartuje. Maszyny do produkcji seryjnej są już zamówione. Plan wprowadzenia produktu na rynek został opracowany, prospekty wydrukowane. Nakręciliśmy nawet telewizyjny spot reklamowy. Moja siostra jest przygotowana na wszystko w stu osiemdziesięciu procentach. To jest jedno wielkie gówno.

- Chodźmy, zjemy coś razem.

- To pierwszy dobry pomysł, który padł w tym pomieszczeniu przez cały dzisiejszy dzień - wymamrotał pod nosem Sternberg. Podniósł się z trudem i otrzepał kurz ze spodni, po czym ruszył za Denglerem w stronę samochodu.

- Dokąd właściwie jedziemy? - zapytał po chwili.

- Do Hotelu Zamkowego - odparł Dengler.

21. W cieniu na skraju lasu

W cieniu na skraju lasu zwinął spadochron, po czym uniósł do góry gałęzie krzaku jeżyn i wsunął pod nie zwinięty jedwab.

Steven Blackmore próbował zorientować się w sytuacji.

Samolot musiał spaść nieco dalej za krawędzią lasu i uderzyć w ziemię między drzewami. Blackmore sprawdził położenie słońca. Kiedy upewnił się co do stron świata, ruszył w drogę. Szedł powoli przez leśne poszycie i po kilku minutach natrafił na wąską ścieżkę.

Większość amerykańskich pilotów o białej skórze nosiła pod mundurem pilota cywilne ubranie. To, w razie potrzeby, miało im pomóc poruszać się na terenach wroga, gdyby zostali zestrzeleni po niemieckiej linii frontu. Blackmore miał jednak skórę czarną jak heban, zatem żadne cywilne ubranie i tak na nic by mu się nie zdało. Ominął leśny dukt i szedł dalej ostrożnie przez las. Krył się za drzewami, wykorzystywał cień i omijał jaśniejsze miejsca, które oświetlało słońce w ten piękny wiosenny dzień. Dostrzegł pierwsze kwiaty dmuchawców i usłyszał

stukanie dzięcioła. Jego myśli pobiegły ku żonie i synkowi w Chicago.

Odkąd ożenił się z Koko, mieszkali w narożnym domu przy Kensington i Kedzie Street w południowym Chicago. Żyła tam teraz sama z Amosem, ich synem. Jeśli wróci stąd cały i zdrowy, wkrótce połączy się z rodziną. Marzył mu się dom w południowej dzielnicy miasta.

Pośrodku getta. Wśród wszystkich jego braci, którzy uciekli z Południa i mieszkali teraz w Chicago. Tam było wszystko, co ukochał w życiu. W klubie Palm Lounge słuchali jazzu. W

sobotę ubierali się elegancko i wychodzili z domu. Koko zakładała tę niewiarygodną rzecz z piórami, które odstawały od jej głowy i poruszały się razem z nią, kiedy szła albo tańczyła. Mój Boże, różowe pióra, każdy się za nią oglądał!

Kiedy mieli ochotę posłuchać bluesa, odwiedzali lokal Peppers Lounge, gdzie grało kilku szaleńców z Południa, którzy szarpali struny gitar i śpiewali o tęsknocie i o wszystkich innych sprawach. Wielki Boże, wszyscy oni uciekli z Południa, wciąż jednak gnębiła ich tę-

sknota za domem. Gdyby tam na dole, w rejonie delty, nie było białych, byłaby to wspaniała okolica. A że jednak byli? Dlatego czarni musieli się wyprowadzać na Północ, wyjeżdżać do Detroit lub do Chicago. Tutaj biali zostawiali ich w spokoju i bez uzasadnionego powodu nawet nie zaczepiali. Tutaj potrzebny był do tego co najmniej sądowy nakaz.

Steven Blackmore pochylił się i podniósł blaszaną część leżącą w trawie. Pochodziła z tylnego usterzenia jego maszyny. Ostrożnie ruszył dalej. Znalazł zamek pokładowego karabinu maszynowego. W tym miejscu na leśnej ściółce leżało kilka naboii. Skradał się dalej, pod górę.

Ze szczytu wzniesienia rozciągał się widok na dolinę. Płomienie wciąż strzelały wysoko w niebo, a kłęby dymu ciągle unosiły się nad obszarem, który stanowił cel nalotu amerykańskich bombowców.

Stryj Blackmore'a, John, pochodził z delty, podobnie jak cała ich wielka rodzina. Był

najstarszy spośród sześciu braci, których dochował się jego dziadek. Stryj John walczył przeciw

Niemcom podczas I wojny światowej. Blackmore przypominał sobie jeszcze, jak odwiedził ich po zakończeniu wojny. W mundurze, z piersią obwieszoną medalami, wyglądał niemal jak choinka. Wszyscy w rodzinie tryskali dumą. Prowadzali go po okolicy, ściągali sąsiadów, przyrządzono różne potrawy, pito i tańczono. Stryj John okazał się prawdziwym hitem. Skoro powrócił z wojny, udekorowany przez naszych tyloma medalami, pojawiła się isierka nadziei, że czarni w końcu będą mogli żyć jak ludzie, ich dzieci będą wychowane jak ludzie, będą mogły jeść jak ludzie, chodzić do szkoły jak ludzie, znaleźć pracę godną ludzi i będą mogli umierać jak ludzie. Niestety, tego ostatniego stryj John nie zdołał doświadczyć. W Clarksdale, gdzie mieszkał z żoną, zaczęli się na niego biali i powiesili go na gałęzi topoli. W mundurze, ze wszystkimi medalami.

Dla ojca Stevena Blackmore'a mord popełniony na bracie stanowił ostateczny bodziec, by opuścić Południe. Sprzedał drewniany domek znacznie poniżej ceny czarnemu handlarzowi bimbrem. W Chicago na początku mieszkali u krewnych, w bocznej uliczce od Maxwell Street, później znaleźli własne mieszkanie trzy przecznice dalej.

Ojciec był kierowcą ciężarówki i pracował dla Minnesota Steel Company. Woził ogromne stalowe dźwigary z Chicago do wszystkich miast Ameryki. Nigdy więcej nie pojechał jednak do stanu Missisipi.

Matka nauczyła Stevena miłości do literatury. Nauczyła go również czytać, zanim jeszcze zaczął chodzić do szkoły. Była bardzo dumna, kiedy złożył papiery na Uniwersytet w Chicago. Na wydział literatury amerykańskiej. Ojciec nie bardzo wiedział, co począć z zami-

łowaniem syna, oboje rodzice włożyli jednak swoje najlepsze wyjściowe ubrania, kiedy zdawał egzamin wstępny do ośrodka szkoleniowego w Tuskegee. Zdobył 98 na 100 możliwych punktów. Ich syn miał zostać pilotem i jako pilot miał służyć swojemu krajowi. Pojechali do Tuskegee, kiedy zdawał egzamin na pilota i kiedy otrzymywał awans na stopień porucznika.

„Odbędzie się to w obecności naszych braci - szepnął mu do ucha ojciec. - A ty stoisz na samym przedzie”.

Następnym elementem, który znalazł Steven Blackmore, był fragment śmigła - równie dziwacznie zniekształcony jak wtedy, kiedy widział je po raz ostatni jeszcze w powietrzu.

Śmigło przecięło pnie dwóch niedużych świerków, po czym wbiło się głęboko w porośniętą mchami glebę. Blackmore stanął nieruchomo i nasłuchiwał. Usłyszał jednak tylko ćwierkanie wilgi. Ostrożnie ruszył dalej w stronę wierzchołka wzniesienia.

Blackmore dostał przydział do pierwszej eskadry szkoleniowej w Tuskegee. Najlepsi z czarnoskórych absolwentów w college'u otrzymali powołanie do tej niewielkiej miejscowości w stanie Alabama. W Chicago otrzymał bilet kolejowy pierwszej klasy, kiedy jednak przekroczył granicę Alabamy, biały konduktor wyrzucił go z wagonu. Musiał więc siedzieć na drewnianej ławce w wagonie tuż za lokomotywą, tam gdzie siedzieli inni czarni pasażerowie, wśród iskier i węglowego dymu, który omiatał ich głowy.

Blackmore wiedział dokładnie, że projekt Tuskegee budził spory w gronie dowództwa lotnictwa. Wielu, jeśli nie większość, białych oficerów sądziło, że czarni nie potrafią latać.

Nieustannie powoływali się na naukowe analizy najlepszych profesorów w kraju, którzy wygłaszali mowy i publikowali naukowe ekspertyzy. Były one, rzecz jasna, sporządzone przez profesorów o białym kolorze skóry. Głosili oni tezy, że czarni cierpią na niedostatek tkanki mózgowej, że ich naczynia kapilarne są zbyt wąskie, że brakuje im rozmaitych zalet, by móc sterować skomplikowaną maszyną do latania, nie wspominając już o prowadzeniu walki w powietrzu.

On zdołał jednak tego dokonać, podobnie jak większość pozostałych kadetów. Później jednak generałowie odmówili wysłania czarnych pilotów na wojnę. Podejmując tę decyzję, kierowali się założeniem, że wprawdzie piloci ci wylatali swoje godziny, jednak nikt nie miał

zamiaru dać im szansy, by wykazali swoje zdolności w powietrzu.

Aż do dnia, w którym zjawiała się kolumna samochodów z Waszyngtonu.

Biali oficerowie wydali polecenie, by cała obsada garnizonu pojawiła się na placu, kiedy starsza pani wysiadała z czarnego cadillaca. Uplłynęła dłuższa chwila, zanim Blackmore zdał sobie sprawę, kto odwiedził Tuskegee. Eleanor Roosevelt, żona prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki. Pierwsza dama poprosiła, żeby pokazano jej wyposażenie bazy, a później zamierzała przelecieć kilka razy nad lotniskiem. Dowódca wskazał jednego z białych instruktorów jako pilota, ona wybrała jednak Blackmore'a, który stał w pierwszym rzędzie kadetów.

- Czy nie mogę polecieć z nim? - zapytała. Wśród oficerów zapadło kłopotliwe milczenie.

- Czy nie wyszkoliliście tych młodych kadetów dostatecznie dobrze? - zadała kolejne pytanie starsza pani.

Poleciał zatem z małżonką prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki i zatoczył trzy duże okrążenia nad lotniskiem, po czym wykonał najlepsze lądowanie w swojej karierze.

Cztery tygodnie później wysłano ich za ocean, najpierw do Afryki, później do Włoch.

Kilka mustangów trafiło w końcu do bazy w belgijskim Toul-Ochey. Za trzy zestrzelone maszyny wroga otrzymał Krzyż Wybitnej Służby Lotniczej. Wyglądał jak stryj John tuż po powrocie do Chicago - obwieszony medalami i odznaczeniami.

Później doszło do bijatyki w kasynie. Usiadł na kamieniu i nagle poczuł zmęczenie. „W

powietrzu jesteśmy bohaterami - przyszło mu na myśl. - Na ziemi nie jesteśmy jednak niczym więcej niż czarnuchami”.

Wstał i nagle usłyszał jakiś odgłos. Ocieranie blachy o blachę. Blackmore ruszył

ostrożnie przed siebie i skrył się za pnem dużego buka.

22. Dengler zaparkował przy krawężniku

Dengler zaparkował przy krawężniku przed Hotelem Zamkowym. Chodnik przykrywała cienka warstwa śniegu.

- To jest obiekt pańskiego pożądanego - powiedział i wysiadł.

Robert Sternberg podążył za nim i spoglądał na budynek spod przymrużonych powiek.

- Kiedyś przejeżdżaliśmy tędy i nigdy więcej tu nie byłem. Nawet z moim dziadkiem.

Chociaż kiedyś ten hotel należał do niego. Nigdy jednak nie puścił na ten temat pary z ust.

Potrząsnął z niedowierzaniem głową.

W restauracji był tylko jeden wolny stolik, tuż przy drzwiach. Oddali płaszcze w szatni i usiedli. Lokal cieszył się popularnością. Przy wszystkich stolikach siedzieli goście. Na otwartym kominku obracały się trzy duże pieczenie na rożnie nad żarem. Córka Kurta Rotha przeszła pośpiesznym krokiem przez salę i postawiła na jednym ze stolików duże talerze z plastrami pieczeni, ziemniakami i małym talerzykiem chrzanu. Starsza kobieta - z wyglądu podobna do niej - przyjmowała zapłatę przy innym stoliku. Za barem stał Kurt Roth i nalewał

piwo. Starzec w kratkowanej czapce z daszkiem siedział przy swoim okrągłym stoliku obok drzwi. Obok niego dalej stała butelka piwa zanurzona w ciepłej kąpieli.

W lokalu panowała niemal rodzinna atmosfera odprężenia, jaka towarzyszy wspólnej biesiadzie wśród przyjaciół. Dengler przypomniał sobie poranną scenę w sali jadalnianej pensjonatu prowadzonego przez matkę. Sam również bywał w takim towarzystwie, kiedy z rzadka odwiedzał Altglashütten. Również tam rankiem zasiadali obcy sobie ludzie, ale atmosfera była wesoła. Goście smarowali bułki i chleb przed czekającą ich wędrówką, popijali kawę lub herbatę, przeglądali mapy i planowali szlaki wędrówki. „Picie i jedzenie podtrzymuje nie tylko ciało i duszę, ale też łączy z sobą ludzi” - zawsze powtarzała mu matka. Dobra zupa zapobiegła już niejednej wojnie. Sternberg przewracał kartki menu.

- Mają tutaj specjalność z regionu Idar-Oberstein - powiedział. - Pieczeń z rożna. Pieczona bezpośrednio na ogniu. Nawet niedroga. Podają ją z chrzanem.

Niezdecydowanym ruchem odłożył na bok kartę dań.

Młoda kobieta podeszła do ich stolika. Dengler i Sternberg zamówili po porcji pieczeni z rożna z chrzanem oraz pieczone kartofle i po butelce wody mineralnej. Kobieta odebrała zamówienie. Wyraz jej twarzy w najmniejszym nawet stopniu nie pozwalał przypuszczać, że rozpoznała Georga Denglera.

Dengler zdał Sternbergowi relację z pierwszej wizyty w Hotelu Zamkowym. Ten słuchał z uwagą i na koniec pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Nie rozumiem, dlaczego mój dziadek tak ukrywał tę darowiznę.

- Być może miał dziecko z kimś z tamtej rodziny, z poza-małżeńskiego związku - zasugerował Dengler.

Sternberg sprawiał wrażenie, jakby na chwilę się zamyślił.

- Być może - odparł. - Na pewno jednak opowiedziałby nam o tym, przynajmniej w późniejszym okresie, kiedy Ilona i ja byliśmy już dorośli.

Podniósł wzrok na młodą kobietę, która postawiła tacę z czterema porcjami pieczeni z różną przy sąsiednim stoliku.

- W takim wypadku ona byłaby moją przyrodnią siostrą - oznajmił. - Szacunek, kochany dziadku.

Dengler spojrzawszy ukradkiem w stronę Kurta Rotha, który zdjął pieczeń z różną nad ogniem i podszedł z nią do stolika obok baru. Ogromnym widelcem zsunął mięso w dół, po czym dużym nożem odkroił kilka plasterów i położył na stojących obok talerzach. Detektyw był

pewien, że *ten* człowiek nieustannie ich obserwuje.

Jego córka przyniosła im dwie zamówione porcje. Dengler nie był w stanie przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek jadł równie smaczne mięso.

Sternberg odkroił sobie duży kawałek.

- Zazwyczaj nie jadam wiele mięsa - oświadczył. - Ale to tutaj... - wskazał na swój talerz. - Jest rzeczywiście świetne.

Wkrótce restauracja nieco opustoszała. Kilku klientów siedziało jeszcze na taboretach, niektórzy pili kawę. Dwóch mężczyzn paliło.

Dengler obserwował Kurta Rotha. Mężczyzna za barem nie spuszczał ich z oka.

Sternberg siedział obok detektywa, w pełni skoncentrowany na pieczeni z różną. Gdy młoda kobieta zbierała naczynia z sąsiedniego stolika, przywołał ją gestem i poprosił o jeszcze jeden talerzyk chrzanu. Później Dengler zamówił dwie kawy. Kiedy kobieta przyniosła im filiżanki z kawą, Sternberg poprosił ją jeszcze raz do stolika.

- Chrzan był doskonały - pochwalił. - Czy może mi pani zdradzić, w jaki sposób się go przygotowuje?

Kobieta wpatrywała się w niego przez chwilę zaskoczona. Następnie usiadła na krześle przy stole.

- To całkiem proste. Chrzan, śmietana, sól i pieprz.

Dengler obserwował ją. Córka Kurta Rotha mogła już przekroczyć trzydziestkę. Miała na sobie

granatowe jeansy ze sztruku, brązowe botki oraz biały t-shirt, a także dopasowany pulower w kolorze różowym. Blond włosy związała z tyłu w koński ogon, który opadał jej na plecy. Jej oczy były żywe i spoglądały na Roberta Sternberga sceptycznie, ale mimo to przyjaźnie.

- Maria!

Ostry głos Kurta Rotha przebiegł przez salę. Młoda kobieta wyjaśniała właśnie Sternbergowi, jak ważne jest pozostawienie przyrządzonego chrzanu co najmniej na godzinę, żeby wszystkie składniki mogły się przegryźć. Podniosła się powoli z krzesła i podeszła do baru, gdzie czekał na nią ojciec.

Dengler zauważył, że Kurt Roth objął ją niezbyt delikatnie ramieniem i chciał zatrzymać przy sobie. Ona uwolniła się jednak, powiedziała do niego coś szybko, ale tak cicho, że detektyw nie zrozumiał jej słów. W tym momencie żałował, że nie nauczył się czytać z ruchu warg. W Federalnym Urzędzie Kryminalnym kilka razy był na kursie czytania z ruchu warg, która to umiejętność należała do elementów wykształcenia policyjnego detektywa. Z umiejętnością tą było jednak tak samo jak z każdym językiem obcym - jeśli się go nie używa, po prostu się go zapomina. W jednym z nierozpakowanych kartonów wciąż zapewne znajdują się jeszcze kasety wideo, które służyły mu wtedy do ćwiczeń. Postanowił, że odszuka te taśmy i ponownie zacznie ćwiczyć.

Sternberg dopił do końca swoją kawę. Nawiązał kontakt wzrokowy z młodą kobietą i zawołał:

- Rachunek, proszę!

Maria zamierzała natychmiast podejść, ojciec przytrzymał ją jednak zdecydowanie. Do ich stolika podszedł osobiście Kurt Roth. Usiadł na wolnym krześle, na którym wcześniej siedziała jego córka.

- Chcą panowie zapłacić?

Sternberg przytaknął i dał znak Denglerowi, że on bierze na siebie uregulowanie rachunku. Kurt Roth wyciągnął bloczek z kieszeni, zapisał kilka liczb i zsumował je.

- Dwadzieścia osiem euro i pięćdziesiąt centów - oznajmił.

Sternberg położył na stole trzydzieści dwa euro.

- Czy mogę przedstawić? - odezwał się Dengler. - To jest Kurt Roth, który otrzymał ten hotel w darowiźnie, gdy miał piętnaście lat.

Po czym zwrócił się do Kurta Rotha:

- To jest Robert Sternberg.

Roth wsunął pieniądze do szerokiej czarnej portmonetki, Po czym spojrzał na Roberta Sternberga.

- Jak się wie panowskiemu ojcu - zapytał.

- Zna pan mojego ojca? - zapytał Sternberg, zupełnie zaskoczony.

Roth przytaknął.

- Nawet bardzo dobrze - dodał.

23. Przed nim leżał kokpit

Przed nim leżał kokpit. Dziób myśliwca wbił się na dwa metry w leśną glebę. Z tyłu, za fotelem pilota, maszyna przełamała się i nigdzie nie było widać ogona. Brakowało też obu skrzydeł. W ich miejscu z kadłuba wystawały dwa krótkie stalowe kikuty, które w leśnej glebie wryły koleiny.

Ponownie usłyszał szmer. Jakiś głos?

W pierwszej chwili sądził, że się przesłyszał. Teraz nasłuchiwał z większą uwagą, aż w końcu był już pewien. Słyszał dziecięcy głos.

Rzeczywiście - chłopięca twarz wyłoniła się z kokpitu. Później jeszcze jedna. Obaj przeszukiwali szczątki jego samolotu.

- Spójrz, co znalazłem! - zawołał większy z nich i potrząsał puszką.

„Moje ciastka i czekolada!”.

Utratę racji żywieniowej mógł jeszcze przeboleć, ale musiał odzyskać niezbędny mapnik oraz kompas.

Jeden z chłopców ponownie zniknął w kokpicie. Blackmore czekał. Usłyszał, jak rozmawiali z sobą w szczątkach samolotu. Później ponownie się pojawili. Większy zeskoczył

na ziemię, potem uczynił to drugi. Uklękli na trawie, pierwszy z nich otworzył puszkę z ciastkami.

- Spójrz, co tu mam!

- To jakieś jedzenie! - zawołał mniejszy. - Z pewnością jest zatrute.

- Dlaczegoż mieliby to zatrutować...? - chłopak rozerwał opakowanie.

- Żeby wysłać nas na tamten świat, ty durniu. Nie jedz tego.

- Sądzisz, że dawaliby się zestrzelić po to tylko, żeby tacy chłopcy jak my znaleźli zatruty prowiant i potem umarli na biegunkę? - ugryzł kawałek ciastka.

Steven Blackmore widział, jak mniejszy z chłopców spoglądał ze strachem na większego.

- Smakuje nieźle - odpowiedział ten większy i ugryzł kolejną porcję ciastka. - Spójrz tu, czekolada.

- Zostaw dla mnie kawałek - poprosił mniejszy z chłopców, po czym obaj zaczęli wy-rywać sobie puszkę.

Wydawało się, że ciastka bardzo im obu smakują. Kiedy już rozdzielili rację żywno-

ściową, ponownie weszli do szczątków samolotu, znów przeszukali kokpit, nie znaleźli jednak nic więcej do jedzenia. Większy z chłopców wyskoczył rozczarowany z wraka, chwilę po nim pojawił się mniejszy. W rękę trzymał teczkę z mapami.

„W żadnym wypadku nie mogą z tym zniknąć”.

- *Hello!* - odezwał się Steven Blackmore i wyszedł z za drzewa.

Obaj chłopcy podskoczyli, jak gdyby dostrzegli diabła wcielonego.

- *My map* - odezwał się czarny pilot i wyciągnął dłoń. Chłopcy nawet nie drgnęli.

Ku swemu zaskoczeniu, zobaczył jak materiał spodni mniejszego z chłopców przebarwił się wzdłuż szwów na ciemny kolor. „Zesikał się w spodnie - pomyślał rozbawiony pilot.

- Biali z południowych stanów powinni brać z niego przykład”.

- W nogi! - wykrzyknął starszy z chłopców i ruszył pędem. Mniejszy podążył za nim.

Blackmore również ruszył za nimi biegiem.

Po kilku krokach złapał mniejszego chłopca, jeszcze w biegu lekko go trącił prawą dłonią. Malec upadł jak długi na leśną ściółkę. Pilot pochylił się nad nim i wyrwał mu teczkę z mapami i kompasem, po czym wyprostował się. Chłopiec leżał przed nim z zamkniętymi oczami i cicho płakał. Blackmore podniósł go, postawił na nogi i przysiadł przed nim. Mały Szwab drżał ze strachu.

- *I'ts okay, buddy* - odezwał się Blackmore szczerząc zęby w uśmiechu. - *Go away.*

Dał chłopakowi klapsa w tyłek, jednak ten się nie ruszył. Jego usta były sine, a zęby dzwoniły.

Z tyłu, za Blackmorem, rozległ się jakiś krzyk. Obejrzał się za siebie. Starszy chłopiec skrył się za drzewem i wydierał się wniebogłosy. Podbiegł do mniejszego, chwycił go za dłoń i pociągnął za sobą. Mniejszy nie bardzo rozumiał, o co chodzi, pozwolił się ciągnąć, potem pobiegł i pilot zobaczył, jak malec potknął się i upadł, podniósł się i w końcu obaj zniknęli mu z oczu.

24. Znam pańskiego ojca

- Znam pańskiego ojca dobrze - powtórzył Kurt Roth. Przy stole zapanowało oniemiałe milczenie.

- Ale... - Sternberg spojrzał na niego niedowierzającym wzrokiem.

Milczenie.

- Mój ojciec... - odezwał się ponownie Sternberg. Znów chwila milczenia.

- Mój ojciec... Być może pan wie. Od moich narodzin w ogóle się nie odzywa. Odkąd pamiętam, nigdy nie wyszedł z domu. Kiedy więc mógł go pan poznać?

Kurt Roth spojrział na niego.

- Znałem pańskiego ojca, kiedy pana nie było jeszcze na świecie - odpowiedział. -

Znaliśmy się już jako dzieci.

Spojrział w kierunku okna. Później wskazał na Denglera.

- Czy Fritz... Czy pański ojciec wie, że nasłał pan na nas tego gościa?

Sternberg zamierzał coś odpowiedzieć, ale nie był w stanie znaleźć słów. W tym momencie córka Rotha wzięła krzesło z sąsiedniego stolika i przysiadła się do nich.

- Maria, moja córka - przedstawił ją Kurt Roth.

- Witam - powiedziała prawie swobodnie, a Dengler zauważył ze zdumieniem, że Sternberg zarumienił się.

- Czy Fritz wie, że pan grzebie w starych sprawach? - zapytał Roth.

- Ale przecież mój ojciec, jak już powiedziałem, mój ojciec od wielu lat w ogóle się nie odzywa - wydukał z siebie Sternberg i czynił wysiłki, by nie spoglądać na Marię.

- Ale chyba słyszy i rozumie wszystko, co do niego mówicie? - zapytał Roth.

Wstał od stolika.

- Niech pan z nim porozmawia - dodał Kurt Roth. Wrócił za bar, a jego córka podążyła za nim.

- Czy pan to rozumie? - Robert Sternberg zamknął drzwi samochodu, a Dengler uruchomił silnik.

- Nie - odparł Dengler. - Ale w jaki sposób mam to wszystko zrozumieć, skoro pan i pana siostra najwyraźniej opowiedzieliście mi zaledwie cząstkę tej historii?

- Nie wiem nic więcej. Powiedzieliśmy panu wszystko.

- Tak? Rzeczywiście? Co więc z pana ojcem?

- Nie zamieniłem z nim w życiu nawet jednego słowa - odparł Sternberg. - Odkąd go znam, stoi w oknie, wygląda przez nie i milczy.

Dengler widział, jak Sternberg usiłuje znaleźć słowa.

- W pierwszych latach wydawało się normalne, że ojciec po prostu milczy - kontynuował Sternberg. - Był, spoglądał na mnie, patrzył, co robię i nawet czasami bawił się ze mną.

Moja matka za to mówiła za dwoje. Zawsze coś mówiła, przez cały dzień. Bardziej mi to przeszkadzało niż milczący ojciec, do którego zdołałem przywyknąć. Dopiero kiedy byłem w szkole, wtedy...

Nagle przerwał.

- Wszyscy wyśmiewali się z mojego milczącego ojca. To było istne piekło - zebrał w końcu myśli.

- Co na to pana dziadek? - zapytał po chwili Dengler.

- Dzięki Bogu, że był chociaż on. Dzięki niemu mogliśmy wyrosnąć na ludzi. Chociaż stałem się dla niego rozczarowaniem.

- Dlaczego?

- Chciał, żebym poprowadził firmę, tak jak to czyni teraz Ilona. Mnie to jednak nie interesowało. Zawsze się bawiłem, coś budowałem, coś malowałem. Z rachunkami radziłem sobie kiepsko. W przeciwieństwie do Ilony. Ona już w pierwszej klasie potrafiła liczyć pro-centy. Ja... Mój dziadek zawsze nazywał mnie marzycielem, a w jego ustach była to nagana.

- Nigdy nie powiedział ani słowa na temat utraty hotelu?

- Nigdy.

- Nikt w Gündlingen o tym nie mówił?

- Nikt.

- Czy nie uważa pan, że to dziwne?

Sternberg milczał. Patrzył przez okno, a Dengler był pewien, że mężczyzna myśli o córce Kurta Rotha. Milczeli do momentu, gdy wóz zajechał na podwórze przed firmą. Zatrzymał samochód, wyłączył silnik i zaciągnął hamulec ręczny.

- Czy mogę porozmawiać z pana ojcem? - zapytał Dengler.

- Obawiam się, że będzie to raczej monolog niż dialog - odparł Robert Sternberg.

- Mimo wszystko spróbuję - zadeklarował Dengler.

- Porozmawiam z Iloną i zadzwonię do pana - powiedział Sternberg i wysiadł.

25. *Przy barze siedział szczupły mężczyzna*

Przy barze siedział szczupły mężczyzna, który trzymał lewą dłoń w kieszeni spodni, a w prawej szklanekę z piwem. Rozmawiał z Martinem Kleinem. Był ubrany w granatową budry-sówkę, a wokół szyi owinał dwa razy długi czarny szal. Jego okulary bez oprawek były zsunięte nieco na czubek nosa, a twarz emanowała życiem. Dengler ocenił jego wiek na trzydzieści kilka lat.

- To jest Leopold Harder - przedstawił go Klein. - Dziennikarz zajmujący się sprawami gospodarczymi.

Dengler podał mu dłoń. Łysy kelner spojrział na niego pytającym wzrokiem, a Dengler przytaknął. Za moment stał przed nim kieliszek grauburgundera.

- Właśnie rozmawiamy o sytuacji gospodarczej.

- Moja jest bardzo poważna - oznajmił Dengler. - Właściwie chciałem jednak spytać, czy jest pan w stanie zdobyć informacje, które mnie interesują. Czy mógłbym się dowiedzieć czegoś na temat sytuacji pewnego hotelu.

- Da się zrobić - zadeklarował Harder.

Dengler wyrwał kartkę z notatnika, zapisał adres Hotelu Zamkowego w Gündlingen, a potem dodał swój numer telefonu.

- Będzie to pana kosztowało jedno piwo - oznajmił dziennikarz, a Dengler skinął w stronę łysego kelnera.

Gdy Dengler opuścił bar Basta, zdążył już napadać nowy śnieg. Detektyw pobiegł na górę do swojego mieszkania, usiadł za biurkiem, włączył komputer i wypisał rachunek dla Security Services Nolte & Partners.

Później poszedł do kuchni i otworzył butelkę wina Bicken-sohler Grauburgunder. Na zewnątrz śnieg padał coraz mocniej.

Pobiegł myślami ku Christiane, powoli wszedł do pokoju gościnnego i włożył do odtwarzacza bluesową płytę. Muddy Water?.

I was born for good luck.

Wypił łyk wina. Znow pomyślał o Christiane. Czy w tej chwili była razem z Andreą Savinio? Co dziwne, tylko bardzo mgliście przypominał sobie tego mężczyznę. Wiedział tylko, że on i jego przyjaciel Mario podążyli śladem wskazanym przez tego człowieka. Christiane była zleceniodawcą jego pierwszej, wielkiej sprawy, poszukiwał jej ojca. Andrea Savinio podał

im decydującą wskazówkę. Ale jak wyglądał ten mężczyzna? „Jest starszy niż ja - pomyślał. -

Czy nie miał szarych włosów?”. Właściciel hurtowni kwiatów ze Sieny. Znów pojawił się obraz Christiane, ale po chwili nałożył się na niego wizerunek Olgi. Odstawił kieliszek na stół i zamknął oczy. Potem zasnął.

26. *Kryje się w tym tajemnica*

- Kryje się w rym tajemnica - oznajmił.

O godzinie trzeciej nad ranem zbudził się, śpiąc na kanapie. Przebrał się i powlókł, powłócząc nogami, do sypialni. Zanim padł na łóżko, wyjrzał jeszcze przez okno. Z nieba padały duże płatki śniegu i wirowały wokół ulicznych latarni. Lekki wiatr mieszał je z sobą, niektóre z nich unosił do góry i wydawało się, że równocześnie śnieg pada z ziemi ku niebu. O

wpół do siódmej wstał, włożył płytę z utworem Juniora Wellsa i zmusił się do zaliczenia stałej liczby pompek. Madonna w niebieskiej szacie spoglądała na niego obojętnym wzrokiem, jak każdego ranka. Wziął prysznic, po czym ubrał się i poszedł na drugą stronę ulicy do Brenner Bistro, wypił podwójne espresso z odrobiną mleka i zjadł dwie białe kiełbaski.

Później zadzwonił do Ilony Sternberg.

- Cała sprawa jest zagadkowa - oznajmił.

- Zamieniam się w słuch - odparła.

Dengler zdziwił się, jak bardzo zaspany był głos tej kobiety wczesnym rankiem.

Prawdopodobnie wczesne wstawanie było elementem wychowania, jaki wpoił im ich dziadek.

„Wstawać z pierzyny!” - usłyszał w wyobraźni krzyk, a potem surowe polecenie, by dzieciaki wzięły zimny prysznic.

- Dziwne jest to, że pani oraz pani brat nic nie wiecie na temat hotelu - podjął Dengler. -

Obecny właściciel, Kurt Roth, chyba zna pani ojca z czasów dzieciństwa i wychodzi z założenia, że pani ojciec nie zezwoliłby na prowadzone przeze mnie dochodzenie. Dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- Chętnie porozmawiałbym z pani ojcem.

- Nie uważam, że to dobry pomysł.

- Dlaczego nie?

- Przecież pan wie, że on w ogóle nie mówi - odparła, a w jej głosie dało się dosłyszeć rozdrażnienie.

- Cóż, może zechce ze mną porozmawiać?

- Zastanowię się nad tym.

- Notariusz wspominał coś o starych sprawach, których lepiej nie rozgrzebywać. Czy wie pani, co miał na myśli?

- Nie.

- Pani Sternberg, prowadzę dochodzenie na pani zlecenie i to pani pokrywa koszty.

Spotykam się jednak ze skrajnym brakiem współpracy, kiedy próbuję wykonać swoją pracę.

- Zapewniam pana, nie wiem nic. Być może kryje się w tym jakaś tajemnica. Ja jej jednak nie znam. Chciałabym tylko wiedzieć jedno: czy ten hotel należy do nas? Tylko to mnie interesuje. Jeśli kryje się w tym jakaś tajemnica, niech pan ją odkryje. Pewnie rzeczywiście będą się z tym wiązać koszty.

Dengler pomyślał przez chwilę.

- Pani dziadek nigdy nie rozmawiał z panią o utracie hotelu? Nie przypomina sobie pani, czy kiedykolwiek chodziliście razem na spacer w rejonie Hotelu Zamkowego, jeszcze w dzieciństwie?

- Mimo najlepszej woli, nie przypominam sobie. Zarówno mój brat, jak i ja byliśmy całkowicie zaskoczeni, kiedy wśród rzeczy naszej matki znaleźliśmy egzemplarz umowy darowizny.

- Pani matka, ktokolwiek z krewnych, sąsiadów... Nikt nigdy nie powiedział niczego na ten temat?

- Nikt.

- Wie pani, że brzmi to niezbyt wiarygodnie. Sprawiała wrażenie rozdrażnionej.

- Zapewniam pana, gdybyśmy cokolwiek wiedzieli, nie płaciłabym panu, żeby pan cokolwiek odkrywał.

Przez chwilę Dengler poczuł się zaskoczony. Wyszedł na głupca.

- Czy wśród sąsiadów znajdzie się ktoś, komu będę mógł zadać pytania w tej sprawie?

- Ma pan na myśli jakichś świadków?

- Czy zna pani jakieś osoby z tej okolicy, które w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku miały więcej niż piętnaście lat? Być może ówczesni sąsiedzi, którzy później się wyprowadzili?

- Musiałabym się najpierw zastanowić.

- Niech pani to uczyni, proszę. Proszę też skonsultować się z pani bratem. Chciałbym też dostać listę pracowników zakładu pani dziadka, jeżeli oczywiście jeszcze żyją.

- To się da zrobić.

Rozciągała teraz słowa w czasie, jakby mówiąc, notowała coś na kartce.

- To byłoby na początek wszystko.

- Zadzwoń do pana, kiedy będę coś wiedziała. Dengler odłożył słuchawkę. Poszedł do kuchni i nasyłał do ekspresu świeżą porcję zmielonej kawy. Po kilku minutach do filiżanki zaczęły spływać strumyki aromatycznej esencji. Spojrzał na zegarek, po czym zadzwonił do szpitala.

Matka czuła się lepiej, jak się dowiedział od siostry z oddziału intensywnej opieki medycznej. W tym momencie spała. Potrzebuje dużo spokoju. Dengler poprosił siostrę, żeby podała matce telefon, kiedy ta będzie w stanie zadzwonić samodzielnie. Pielęgniarka obiecała, że to zrobi. Na zewnątrz, na chodniku zalegała warstwa śniegu grubości wielu centymetrów.

Przy galerii z afrykańskimi eksponatami starszy mężczyzna rozgarniał śnieg na boki. Dengler nastawił przekazywanie połączeń z telefonu stacjonarnego na komórkowy, włożył zimową kurtkę i opuścił dom.

Do Biblioteki Centralnej miał zaledwie kilka minut piechotą. Na zewnątrz panował

jednak lodowaty chłód. Kiedy dotarł na drugą stronę Charlottenstrasse i wszedł do holu biblioteki, rozmasował policzki i czubek nosa, gdyż mróz bardzo dał się we znaki.

W szatni oddał kurtkę i wszedł schodami do czytelní. Przypominał sobie, że kiedyś przeglądał tutaj czasopisma i gazety szukając faktów na temat katastrofy samolotu Lauda-Air, w którym, według listy pasażerów, miał się znajdować ojciec Christiane Stein.

Christiane. Przez chwilę ogarnął go ponury nastrój, tak mocny, że wszystko wydało mu się pozbawione sensu i przez moment zapragnął wyjść z tego budynku.

- W czym mogę pomóc?

Pracownica biblioteki, starsza kobieta o siwych włosach. stanęła obok niego i spojrzała przyjaznym wzrokiem. Dengler wziął głęboki oddech.

- Dziękuję, zamierzam się nieco rozejrzeć po regionalnych stronach dzienników. Wydania z ostatnich dni.

Dziennik „Die Badischen Neuesten Nachrichten” znalazł obok innych gazet na oddzielnym regale. Znajdowały się tam wydania z ostatnich czternastu dni. Zaczął je wertować, nie znalazł jednak tego, czego szukał. Poszedł więc do okienka w czytelní i złożył zamówienie u uprzejmej siwowłosej kobiety. Pół godziny później przyniosła mu na wózku trzy roczniki tej gazety. Usiadł przy jednym ze stolików i zaczął wertować pierwszy egzemplarz.

Pracował w bibliotece aż do wczesnego wieczoru. Gdy oddawał gazety kobiecie o siwych włosach, na kartce formatu A4 miał zanotowane cztery nazwiska. Szukał publikacji, które dotyczyły mieszkańców Gündlingen, a którzy ukończyli 75, 80, 85 lub nawet 90 lat.

W swoim biurze otworzył w Internecie książkę telefoniczną i odnalazł nazwiska wszystkich osób, których dane wpisał w polu edycji „Dane adresowe”.

Następnego dnia złoży im wizytę.

27. Blackmore opuścił miejsce upadku maszyny

Blackmore opuścił miejsce upadku maszyny. Obaj chłopcy na pewno powiadomią Wehrmacht lub niemiecką policję. Wkrótce pojawią się tutaj Szkopy i będą węszyć. Musiał

znaleźć spokojne miejsce, żeby dokładnie przestudiować mapę.

Poza tym powoli robiło się ciemno. Chociaż 1 marca 1945 roku był ciepłym, wiosennym dniem, w nocy będzie zimno i musiał znaleźć jakieś miejsce do spania. Ruszył truchtem przez las, z powrotem w kierunku rzeki.

Przykucnął na piętach za krzewem jeżyn i zaczął studiować mapę.

Bruchsal leżało w południowej części Niemiec, między dwoma większymi miastami: Mannheim oraz Karlsruhe. Był to ważny węzeł kolejowy, tutaj krzyżowały się szlaki biegnące w kierunkach północ-południe oraz wschód-zachód. Szyny, które widział przy końcu łąki, biegły w kierunku zachodzącego słońca, musiała to być zatem linia wschód-zachód. On musiał

kierować się w kierunku zachodnim. Gdyby przedostał się do Renu i udało mu się przejść na drugą stronę, wtedy amerykańskie oddziały znajdowałyby się o jakieś 100 km w kierunku zachodnim, w pobliżu miasta Saarbrücken.

Szwaby z pewnością będą jednak szukać go właśnie na tym odcinku szlaku kolejowego albo w jego pobliżu. Będzie więc musiał przemieszczać się nocami, w pobliżu torów i modlić się do Boga, żeby Niemcy go nie schwytali. Była to niebezpieczna trasa. Wehrmacht transportował nocą oddziały oraz zaopatrzenie. Być może wówczas maszerowali również ucieki-nierzy i uchodźcy. Jak długo będzie znajdował się w drodze? Tydzień? Może dwa? Być może nieco dłużej. Chociaż przez ten czas oddziały lądowe aliantów z pewnością dotrą aż tutaj.

Być może byłoby lepiej, gdyby ukrył się gdzieś w pobliżu? W lesie? Był jednak dopiero przednówek i nie znalazłby pożywienia. Być może znajdzie jakąś stodołę, a tam z pewnością byłoby coś przydatnego do jedzenia. Ten plan wydał mu się lepszy.

Blackmore sprawdził broń. Miał rewolwer typu Browning oraz pięćdziesiąt nabojów.

Być może będzie w stanie coś upolować, ten pomysł szybko jednak odrzucił. Nie chciał ściągać na siebie uwagi Niemców odgłosami wystrzałów. Ostrożnie przemykał skrajem lasu, w pobliżu łąki.

28. *Krótko po dziesiątej*

Krótko po dziesiątej Dengler zaparkował przed domem starców w Gündlingen. Na portierni zasięgnął informacji na temat Hedwig Weisskopf i poprowadzono go przez jasne podwórze. Tam znajdowały się trzy fotele obite zielonym materiałem, ustawione wokół okrąg-

łego stołu. Kilka wysokich roślin stało w białych donicach i nadawało pomieszczeniu charakter zbliżony do tropikalnej cieplarni. Dengler usiadł i czekał.

Hedwig Weisskopf była starszą, dystygowaną damą ubraną w beżową, elegancko wyprasowaną bluzkę, do której przypięta była elegancka broszka z dużym kamieniem. Miała na sobie spódnicę z falbanami, a zza dużych okularów spoglądało ciekawie dwoje oczu.

- Czy jest pan z gazety? Dziennikarz? - zapytała po tym, jak usiadła i wygładziła spódnicę z falbanami.

- Tak - odparł Dengler. - Nazywam się Gerhard Beil. Piszę reportaż na temat zakończenia wojny w Bruchsal i w okolicy.

- Ach, wielki Boże - skomentowała. - Upłynęło już bardzo dużo czasu!

Złożyła razem dłonie.

- Tak - podjął Dengler. - Czy przypomina pani sobie tamte dni?

Spojrzała obok niego i zamyśliła się. Następnie zwróciła się do Denglera i przytaknęła.

- Byłam wówczas młodą dziewczyną - oznajmiła. - Do tego piękną.

Uśmiechnęła się.

- Czy przypomina pani sobie, co pani robiła, gdy nadeszli Amerykanie?

- Amerykanie?

Skierowała na niego pytający wzrok.

- Amerykanie zajęli Forster Wald ze swoimi jednostkami pancernymi - dodała po chwili. - Nie wjechali jednak do miasta. Nie wjechali również do Gündlingen. Pozwolili wejść jako pierwszym Francuzom.

- Francuzom? Przytaknęła.

- Według moich informacji, Francuzi nadeszli od strony Schwarzwald, obok Hotelu Zamkowego, w kierunku Gündlingen - wtrącił Dengler.

Potrząsnęła energicznie głową i zdecydowanym głosem zaprzeczyła słowom Denglera:

- Nie, nadeszli od strony Philipsburga. Amerykanie ruszyli w kierunku na północ od Bruchsal. Stacjonowali jednak pod Gündlingen, bezpośrednio na skraju miejscowości. Tam zaczęli na Francuzów. Francuzi weszli później do miasteczka. Na początku normalni Francuzi, wie pan?

Dengler spojrzał na nią.

- Potem nadeszli także Marokańczycy i Algierczycy - dodała. - Z nimi wcale nie było lekko.

Milczała przez chwilę.

- Nam, dziewczętom - wyjaśniła i skierowała wzrok na podłogę.

- Czy oni również przeszli przez Hotel Zamkowy? Czy wie pani, kto wówczas był właścicielem Hotelu Zamkowego?

- Tak, oczywiście. Volker Sternberg. On był właścicielem Hotelu Zamkowego.

- Czy znała go pani?

- Ależ oczywiście, każdy z Gündlingen go znał.

- Dlaczego?

Dengler odniósł wrażenie, że starsza pani jakby nagle zeszywniała. Siedziała teraz prosto naprzeciw niego w obitym zielonym materiałem fotelu. Spojrzała w jego kierunku, ale Dengler znów odniósł wrażenie, jakby była myślami gdzieś daleko.

- Czy znała go pani dobrze? - zapytał.

- Ach, upłynęło już tyle czasu.

- Czy zna również pani rodzinę Rothów? Hedwig Weisskopf przytaknęła.

- Hotel jest obecnie ich własnością - odezwał się Dengler.

- Kurta Rotha zna pani zapewne też od bardzo dawna?

- Małego Kurta nie widziałam już całe wieki - odparła.

- To on odziedziczył hotel w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku. Był

wtedy jeszcze dzieckiem - dodał Dengler niby przypadkowym tonem, jakby referował to, czego zdołał się dowiedzieć do tej pory.

Starsza pani milczała.

Dengler wyczuł, że leciwa dama zaczyna mu się wymykać z rąk.

- Wie pani, dlaczego hotel przeszedł w jego ręce? - zadał kolejne pytanie.

Kobieta spojrzała na niego i pokręciła przecząco głową.

- Chcę już iść - oznajmiła.

Wstała z miejsca i małymi kroczkami ruszyła w kierunku jednego z dwóch przęseł schodów, które wychodziły na zamknięty dziedziniec.

- Dziadku, ktoś z gazety przyszedł do ciebie! - wykrzyknął mniej więcej dziesięcioletni chłopiec, który stał przy głównych drzwiach prowadzących do wnętrza mieszkania. Niski, około osiemdziesięcioletni mężczyzna pojawił się w korytarzu. Prawą ręką opierał się na lasce, przy każdym kroku lewa noga drżała i zataczała niewielki półokrąg, po którym dopiero stawiał

ją na podłodze. W ten sposób mężczyzna szedł, odchylając się lekko na prawą stronę. Odsunął chłopaka na bok.

- O co chodzi? - zapytał.

Dengler opowiedział swoją historyjkę. Mężczyzna zastanawiał się przez moment, po czym obrócił się i zaprosił go gestem do środka.

- Niech pan wejdzie - odparł i ruszył w kierunku kuchni.

Dengler podążył za nim.

Na kuchennym stole leżała otwarta gazeta, na stronie z krzyżówką, której kratki były już w połowie wypełnione. Na stole leżał też długopis, a na środku przepełniona popielniczka.

Obok leżały dwie paczki papierosów marki Ernte 23.

Dengler usiadł.

- Petra! - zawołał mężczyzna.

Po chwili zawołał jeszcze raz, tym razem głośniejszym głosem. Dengler usłyszał, jak ktoś schodzi z hałasem po schodach pierwszego piętra, a po chwili do kuchni weszła kobieta. Dengler ocenił

jej wiek na trzydzieści kilka lat. Nie przywitała go. Opróżniła popielniczkę i starła stół wilgotną, zieloną szmatką. Dopiero wtedy dostrzegła Denglera i wymruczała pod nosem krótką formułę:

- Niech będzie pochwalony.

Następnie dołąła wody do ekspresu do kawy, zastąpiła zużyty filtr nowym, nasypała zmieloną kawę i włączyła maszynę. Z urządzenia natychmiast dobiegły syczące i bulgoczące szумы. Kobieta postawiła na stole dwie filiżanki z talerzykami. Otworzyła szufladę, wyjęła z niej dwie łyżeczki i położyła je obok filiżanek.

- Wracam na górę - oznajmiła szorstko. Dziesięcioletni chłopiec stał przez cały czas przy drzwiach i obserwował to, co działo się w kuchni. Gdy dostrzegł gest starszego mężczyzny, podszedł do niego i usiadł przy nim na kuchennej ławie. Starzec zapalił papierosa, czekał i obserwował, jak szklany dzbanek pod dyszą niewielkiego ekspresu szybko się napełnia.

Dengler zrobił się niespokojny. Wyciągnął z portfela listę z nazwiskami i postawił długopisem znaczek obok nazwiska Hedwig Weisskopf, po chwili postawił przy nim też znak zapytania.

- Co chciałby pan wiedzieć? - zapytał zniechęca starzec i równie niespodziewanie wykrzyknął w kierunku drzwi: - Petra!

Kobieta ponownie zeszła z tupotem po schodach. Napełniła filiżanki, a resztę kawy wlała do termosu, który z hałasem postawiła na stole. Wyjęła z szafy kuchennej kilka małych, okrągłych pojemniczków z tworzywa sztucznego ze śmietanką do kawy, postawiła je na stole i opuściła kuchnię.

Dengler oderwał folię z jednego z pojemniczków ze śmietanką i wlał jego zawartość do filiżanki. Były to te same pojemniczki, które Dengler widział na reklamie maszyn pakownych Gehringa, a jego matka podawała je w pensjonacie. Dzisiaj rano nie dzwonił jeszcze do kliniki...

Podniósł wzrok i spojrzał na starca. Postanowił zagrać w otwarte karty.

- Szukam informacji na temat Volkera Sternberga.

- Volkera Sternberga? - odezwał się starszy mężczyzna.

- Z pewnością pan go zna - podjął Dengler. - Czy pan go lubi?

Starzec wciąż mieszał łyżeczką w filiżance z kawą.

- Volker był dobrym gościem - odezwał się w końcu. - Bez względu na to, co inni o nim mówią. Był dobrym gościem.

Dengler wystrzelił strzałę w nieznanym kierunku.

- W tym właśnie tonie zamierzam napisać artykuł. Chciałbym w końcu przedstawić jego zasługi.

Starzec spojrzał na niego nad stolikiem.

- Uczynił bardzo dużo dla tego miasta. Dengler przytaknął.

- Mieszkał długo w mieście. Był członkiem Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej i zawsze brał naszą stronę.

- Czy był pan zatrudniony w jego firmie?

- Jako portier, aż do przejścia na emeryturę.

- Jedna rzecz jest dla mnie niejasna - odezwał się Dengler. - Dlaczego przekazał Hotel Zamkowy na rzecz Kurta Rotha?

Rozmówca detektywa nagle odstawił filiżankę. Kawa przelała się przez krawędź i utworzyła kałużę na spodku, starzec jednak tego nie zauważył. Chłopiec patrzył na swojego dziadka z przerażeniem.

Georg Dengler odniósł wrażenie, że gdzieś już kiedyś znalazł się w podobnej sytuacji.

Drażył przez chwilę zakamarki pamięci, jednak nic sobie nie przypomniał.

- Minęło już bardzo dużo czasu... - odezwał się starzec.

- Był to tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy rok, dlaczego hotel stał się przedmiotem darowizny?

Starszy mężczyzna wpatrywał się z uporem w swoją filiżankę z kawą.

- To były wtedy inne czasy. Kto nie przeżył tego na własnej skórze... - przerwał na moment - ten nie będzie w stanie wszystkiego zrozumieć.

- Niech pan jednak spróbuje, być może zdołam zrozumieć. Dlaczego Sternberg oddał

hotel?

- Gdybyśmy tylko wygrali wojnę, wszystko dzisiaj byłoby inaczej - nagle wyrwało się z piersi starego człowieka. - Wówczas żylibyśmy na wschodzie i bylibyśmy właścicielami...

- Wielkich folwarków - dokończył za niego Dengler. Starzec przytaknął, wykrzywając twarz w grymasie.

Wszystko to detektyw już słyszał. Teraz przypomniał sobie kiedy i gdzie.

Gdy jego ojciec jeszcze żył, w niedziele przychodziły do gospodarstwa Denglerów w gości trzy siostry matki, przyprawdzając z sobą mężów, a później także dzieci. Matka gotowała wówczas jedzenie w wielkich garach. Najczęściej były to proste dania, ale zawsze musiało być w tym jakieś mięso, na przykład duszona wieprzowa łopatka z sałatką z kartofli.

Wszystkie ciotki mieszkały we Freiburgu. Dengler ciągle pamiętał, jak chętnie siadał obok mężczyzn i przysłuchiwał się ich rozmowom. Jeden z nich, wujek Peter, jeździł ciężarówką, pracując dla francuskiej armii i zawsze podczas załadunku artykułów spożywczych odkładał

coś dla siebie. Wujek Bernhard pracował jako robotnik w firmie Rhodia, zakładach chemicznych, a trzeci z wujków był kierownikiem urzędu pracy. Mężczyźni pozwalali mu siedzieć z nimi i rozmawiali, pijąc piwo marki Rothaus. Georg miał wrażenie, że jest dorosły. Było to zresztą przyjemne uczucie.

Wszyscy trzej wujkowie byli na wojnie, nigdy nie opowiadali jednak o tamtych czasach. Tylko jeden raz przy stole zrobiło się dziwnie, kiedy wujek Peter powiedział: „Gdybyśmy tylko wygrali wojnę...”. W pokoju zapanowała nagle inna atmosfera, a mały Georg poczuł się nieswojo. Nie wiedział wtedy, dlaczego mężczyźni nie spoglądali na siebie, jeden z nich przytaknął zamyślony, inny roześmiał się gorzko.

- Wszyscy mielibyśmy wielkie bogactwa na wschodzie - dokończył kwestię wujek Peter. Zgorzknienie wujków, którzy nagle stali się starymi ludźmi, poruszyło Georga wówczas w bardzo niemiły sposób. Powiedział wtedy, że musi iść do toalety. Zrobił to tylko po to, żeby jak najszybciej opuścić pokój.

Folwarki na wschodzie. Znow to samo. Folwarki, które im obiecano i dla których po-parli Hitlera. Z powodu których do końca życia czuli się oszukani. Ta zła mieszanina brutalności i żalu nad samym sobą, chociaż sądzili, że dawno już o tym zapomnieli, siedziała w starym człowieku głęboko i znow dała o sobie znać.

- Dzięki Bogu, że jednak nie dostaliście tych folwarków - skomentował.

Starzec milczał, a Dengler wyszedł.

29. Postanowił zjeść obiad w Hotelu Zamkowym

Postanowił zjeść obiad w Hotelu Zamkowym. Ku swemu zaskoczeniu, dostrzegł Roberta Sternberga, który siedział przy jednym ze stolików obok okna. Pozdrowił go gestem, a Georg Dengler dosiadł się do niego.

- Ta pieczeń z rożna jest wyborna - odezwał się na powitanie Sternberg, wzrok jego śledził jednak Marię Roth, która właśnie stawiała dwa pełne jedzenia talerze na stoliku obok.

Lokal znow był prawie pełny gości. Tylko stolik tuż przy drzwiach pozostał wolny, a na jednym z sąsiednich Dengler dostrzegł tabliczkę z napisem „zarezerwowane”. Nad otwartym kominkiem obracały się dwa duże rożny z pieczenia. Kurt Roth stał za barem. Stary mężczyzna w czapce z daszkiem, najwyraźniej stały gość, siedział przy okrągłym stole, a butelka piwa znajdowała się jak zawsze w ciepłej kąpielii.

Sternberg wyprostował się.

- Prawdziwe odkrycie, ta knajpa. Aż trudno uwierzyć, że kiedyś należała do mojego dziadka.

- Być może wciąż należy do pana i do pana siostry - dodał Dengler.

- No tak, cała ta akcja z wynajęciem pana to właściwie inicjatywa Ilony - wyjaśnił

Robert Sternberg. - Prawdę mówiąc, nie mam zamiaru odbierać tym ludziom ich domu oraz ich restauracji.

W jego oczach pojawił się nagły błysk. Maria Roth przeszła obok ich stolika i zapytała Denglera o zamówienie. Zamówił porcję pieczeni i szklanę wody mineralnej. Kobieta zapisała i natychmiast odeszła.

- Nic dziwnego, że nie jest w humorze - podjął rozmowę Dengler. - Nasza obecność tutaj jest zapewne dla rodziny Rothów prowokacją.

Podczas jedzenia Sternberg nie odezwał się nawet słowem. Od czasu do czasu spoglądał tylko w stronę Marii Roth, która jednak ich najwyraźniej ignorowała.

- Ja płacę - odezwał się Sternberg, gdy Dengler odłożył na bok nóż i widelec, po czym przywołał Marię do stolika. Wzięła należność za rachunek i nagle przysiadła się do nich.

- Dlaczego nie zostawi nas pan w końcu w spokoju? - zapytała.

30. Na drabiniastym wozie

Na drabiniastym wozie Albert Roth przewiózł ciała swoich teściów do Gündlingen.

Nakrył zwłoki starannie dwoma kocami. Dwa razy musiał ukrywać się przed nurkującymi samolotami. Po czterech godzinach dotarł w końcu do Gündlingen.

Trzy dni później pochował wraz z żoną oboje starszych ludzi na przykościelnym cmentarzu. Musiał sam zbić trumny z desek, które wyrwał z płotu w ogrodzie. Od czasu zniszczenia Bruchsal w trakcie dywanowego nalotu trumny stały się towarem bardzo poszukiwanym. Zona trzymała syna za rękę i głośno płakała z powodu utraty rodziców, ale także dlatego, że nie była w stanie urządzić im godnego pochówku.

Gdy proboszcz wygłaszał mowę o tym, że Królestwo Niebieskie należy do błogosławionych, nad ich głowami przeleciało kilkaset latających fortec w szerokim szyku, zmierzając w kierunku Stuttgartu. Odgłos amerykańskiej artylerii dochodził już z całkiem bliskiej linii frontu. Poprzedniego dnia Roth usłyszał w wiadomościach radiowych, że jak na razie Amerykanie zdobyli „tylko jeden wąski” przyczółek mostowy, na prawej stronie Renu, w miejscowości Remagen.

„Mam nadzieję, że ten koszmar wkrótce już minie” - pomyślał.

Wciąż jeszcze miał na sobie mundur Wehrmachtu. W trakcie walk w rejonie Eifel został

zraniony odłamkiem w prawą łydkę, mimo to za kilka dni miał się zgłosić ponownie do macierzystej jednostki.

Nie miał jednak zamiaru tego uczynić.

Nie rozmawiał o tym z Edith. W Palatynacie na pewno znalazłby się w pułapce.

„Nie mam zamiaru wracać na front”.

Mógł się zgłosić do służby w grupie taktycznej Kullmann, która stacjonowała na tyłach zamku i miała bronić miasteczka

Bruchsal, musiałby wtedy jednak walczyć z nadchodzącymi Amerykanami.

Nie miał wszakże zamiaru tego uczynić.

Być może powinien przystąpić do oddziału Volkssturmu sformowanego w Gündlingen i w jakiś sposób gdzieś przeczekać, aż będzie już po wszystkim. Przecież Volkssturm nie podejmie już walki. W jego szeregach było z pewnością co najmniej kilku ludzi, którzy myśleli podobnie jak on.

Kiedy proboszcz błogosławił umarłych i skrapiał wodą skromne trumny, Albert Roth podjął decyzję. Zgłosił się do oddziału Volkssturmu.

W 1931 roku Albert Roth ożenił się z Edith Bender, córką jubilera z Bruchsal. Roth pochodził z sąsiedniego miasta Idar-Oberstein, zajmował się obróbką kamieni szlachetnych i półszlachetnych, a zawodu nauczył się w pracowni Groß und Quenzer, jednej z większych szlifierni kamieni szlachetnych w rodzinnym miasteczku. Ponieważ najczęściej szlifował kamienie dla Benderów, dużo agatów, nieliczne topazy, a nawet szmaragdy, zdarzało się, że od czasu do czasu sam zawoził towar do Bruchsal. Przez dłuższy czas chodził też z pewną dziewczyną z tej miejscowości. Wyrzeźbił dla niej nawet przepiękną gemmę.

Kiedy przyjeżdżał do Bruchsal, Benderowie szykowali dla niego pokój na pierwszym piętrze w swoim domu. W trakcie tych wizyt poznał Edith - ich córkę.

Kiedy już się pobrali, znalazł w Idar małe mieszkanie przy Haupt-Strasse, która nosiła teraz nazwę Adolf-Hitler-Strasse. Tu przyszedł na świat ich syn, Kurt.

W czerwcu 1933 roku, niecały kwartał po przejęciu władzy przez Adolfa Hitlera, pewnego popołudnia przyszedł do niego jeden z majstrów i powiedział, żeby poszedł do gospody Drehera, ponieważ coś tam się dzieje. Ponieważ ten mistrz pracował dla szlifierni Groß

& Quenzer, Albert potraktował to jako polecenie służbowe.

Zaczął też się zastanawiać.

Albert Roth odsunął tarczę szlifierki i zdjął fartuch. Była dopiero druga po południu, przed chwilą skończyła się przerwa obiadowa, zatem musiało się dziać rzeczywiście coś nadzwyczajnego.

Każdy wiedział, że w gospodzie Drehera spotykali się ludzie z SS, ale było to także miejsce spotkań grupy branżowej szlifierów zaliczanych do struktur NSDAP.

Miał do pokonania krótki dystans, kiedy jednak wyszedł za próg firmy, dostrzegł innych ludzi, którzy pośpiesznie szli ulicą. Przed siedzibą lokalu trwało spotkanie przypominające wiec. Krążyły dzbany z piwem. Zebrała się ponad setka ludzi, którzy stali wokoło.

- Mają Aronheima-powiedział ktoś do niego i wskazał drzwi wejściowe. Przed nimi stało dwóch ludzi w mundurach SS.

- Effgena też schwytali - odezwał się inny głos. Roth zrozumiał.

Walter Aronheim był Żydem. Richard Effgen był z kolei socjaldemokratą i członkiem organizacji Sztandary Rzeszy. Obaj prowadzili wspólnie niewielką szlifiernię, podobnie jak wielu innych mieszkańców miasteczka Idar.

- Wyprowadźcie Żydów!

Pierwsi krzykacze zaczęli tworzyć uformowane grupy.

- P owiesić go! - krzyknął ktoś inny w tłumie. Ktoś odepchnął Alberta Rotha na bok.

Zobaczył zaczerwienioną twarz pełną piwnego upojenia.

- Schwytali Żyda - powiedziała ta błoga twarz, śmiejąc się, i wskazała na drzwi wejściowe do karczmy.

- Socjalistę też! - odezwał się mężczyzna obok, którego twarz promieniowała radością.

Albert Roth odwrócił się.

Być może powinien poszukać pracy w Oberstein. W Idar już od dawna we władzach lokalnych naziści mieli większość.

W regionie Oldenburga, do którego należały miasteczka Idar oraz Oberstein, partia NSDAP zdobyła większość już po wyborach do Landtagu, które odbyły się 25 maja 1932 roku po raz pierwszy w Niemczech.

Roth wychował się w Oberstein. W odróżnieniu od Idar, w którym pełno było małych szlifierni, w tym mieście znajdowały się średnie i większe zakłady jubilerskie. Takie zakłady jak Groß & Quenzer. Robotnicy wybierali głównie socjaldemokratów i komunistów. Naziści nie zdobyli w Oberstein nawet piędzi ziemi.

Za dwa miesiące Roth będzie obchodził dwudzieste trzecie urodziny. Dwa razy uczestniczył już w wyborach do Reichstagu i za każdym razem wybierał kandydatów lewicy, w obu wypadkach byli to socjaldemokraci. Przypomniawszy sobie dobrze, jak przed dwoma laty we wrześniu 1931 roku naziści świętowali w jego rodzinnym miasteczku Gautagung. Nie udali się do Idar, gdzie już mieli większość, bo chcieli złamać „czerwone” Oberstein.

Przez ulicę miasteczka, liczącego jedenaście tysięcy mieszkańców, przeciągnął wówczas pochód pięciu tysięcy umundurowanych nazistów. Kogo ta horda dopadła na ulicy, ten musiał wykrzykiwać „Heil Hitler” albo dostawał solidne baty. Tego dnia większość mieszkańców zamknęła się w domach. Nieliczni naziści z Idar utworzyli ze swoimi kumplami w brązowych koszulach grupy uderzeniowe i przeszukiwali restauracje. W gospodzie Wenzela, gdzie najczęściej spotykali się komuniści, obecni tam goście odmówili patrolowi SA wzniesienia okrzyku „Heil Hitler”. Wówczas naziści rzucili się na ludzi siedzących przy stolikach i zdemolowali lokal.

„Brązowe koszule czuły się silne zawsze wtedy, kiedy miały liczebną przewagę - po-myślał Roth. - Właściwie tylko wtedy”. Obserwował dalej z odrazą wiwatującą tłuszcę, zgromadzoną przed gospodą Drehera.

31. Dengler uważnie patrzył w twarz Sternberga

Dengler uważnie patrzył w twarz Sternberga. Mężczyzna otworzył usta, ale je zamknął, nie odzywając się nawet słowem.

- Dlaczego nie zostawi nas pan w spokoju? - powtórzyła pytanie Maria Roth.

Patrzyła teraz tylko na Sternberga. Uznała, że detektyw nie jest wart jej spojrzenia.

- Chcecie nam zabrać nasz dom. Mam rację? - dodała. Sternberg wykonał nieokreślony ruch ręką, zrobił się na twarzy czerwony jak burak i najwyraźniej szukał słów.

- Nie - zdołał w końcu z siebie wydusić. Upłynęła chwila, zanim zdobył się na kolejne słowa.

- Chcemy przecież tylko...

- Zapłacić - wtrącił Dengler i wstał.

Maria wciąż jeszcze wpatrywała się w Roberta Sternberga, a Dengler zrozumiał, że ten nie jest w stanie podnieść się od stolika. Pociągnął go więc za ramię.

- Pani nas źle rozumiała - odezwał się Sternberg do Marii, która wciąż jeszcze siedziała.

- Doprawdy?

Dengler ciągnął go w stronę wyjścia i wypchnął przez drzwi. Na zewnątrz Sternberg usiłował złapać dech. Ruszyli w stronę samochodu. Po drodze Sternberg grzązł w śnieżnych zaspach, a Dengler dalej go ciągnął.

- Niech pan idzie. Jedziemy do firmy. Musimy porozmawiać.

Trzy kwadransy później siedzieli w gabinecie Ilony Sternberg. Sekretarka, pani Howling, miała dziś na sobie granatowy kostium. Uśmiechnęła się do Denglera, kiedy stawiała przed nim na stole podwójne espresso. Obok umieściła srebrny dzbanuszek z ciepłym mlekiem.

Odwzajemnił jej uśmiech. Postawiła też duży półmisek z pięcioma maślanymi preclami i do-

łożyła kilka serwetek. Kiedy opuściła pomieszczenie, Robert Sternberg odezwał się:

- Ilona, do czego potrzebny ci ten hotel? Siostra spojrzała na brata.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała i uniosła brwi zdziwiona.

On zaczął się pocić.

- Chodzi mi o to, że... Tam mieszkają ludzie, od bardzo dawna. Dlaczego nie zostawimy spraw tak, jak są?

- Żartujesz sobie? - tym razem jej głos był donośny i ostry.

Robert Sternberg wziął serwetkę ze stołu i otarł pot z twarzy.

- Czy chociaż raz nie możemy zrobić tak, jak ja sobie tego życzę? - zapytał.

Roześmiała się, a jej śmiech był odpychający.

- Za każdym razem, kiedy dzieje się coś zgodnie z twoją wolą, nic nie idzie tak jak trzeba.

Jej brat ponownie otarł pot z czoła.

- Czy sztabki są już gotowe do produkcji seryjnej? Sternberg skierował wzrok na podłogę.

- Nie, jeszcze nie, ale wkrótce będą.

- Kiedy, Robercie, kiedy? Kiedy to się stanie?

W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy Denglera. Zrobił przeproszający gest i odebrał rozmowę.

- Witam! Mówi Leopold Harder.

Był to dziennikarz zajmujący się sprawami gospodarczymi. - Tak, słucham - odpowiedział Dengler. - Czy dowiedział się pan czegoś?

- Owszem, ale nic szczególnego.

- Proszę mówić.

Dengler wstał i opuścił gabinet. Raz jeszcze uśmiechnął się do sekretarki, która siedziała za komputerem i z zapierającą dech prędkością wystukiwała liczby na klawiaturze.

- Hotel Zamkowy nie jest obciążony długami ani hipoteką, właściciele nie mają zbyt wysokich obrotów, ale wystarczy to, żeby trzy generacje mogły sobie żyć w spokoju. Powta-rzam: żadnych kokosów, ale także żadnych problemów.

- Trzy generacje?

- Hotel należy do niejakiego Kurta Rotha. On mieszka tam ze swoją żoną i córką.

- To dopiero dwa pokolenia.

- Jest jeszcze dziadek. Ojciec Kurta Rotha. Nazywa się Albert Roth i mieszka w tym samym domu.

„Czy to ten stary człowiek w czapce z daszkiem, siedzący przy grzanym piwie?” - w myślach zadał sobie pytanie detektyw. Podziękował za informację.

- Należy się panu piwo. Tak jak obiecałem. Dzisiaj wieczorem? Tak. Niech pan przyjdzie do baru Basta.

- Czy interesują też pana dodatkowe informacje?

- Jasne - odparł Dengler, uśmiechając się.

- W takim razie zabiorę pana z baru o ósmej wieczór. Dengler wszedł ponownie do gabinetu Ilony Sternberg.

Rodzeństwo siedziało w fotelach, zachowując milczenie.

- Informacje o hotelu - powiedział Dengler. - Nie wiszą na nim długi, a obroty są na tyle duże, żeby rodzina Rothów żyła spokojnie. Nie są to żadne kokosy, ale też nie trapią ich problemy. Tak twierdzi mój informator.

- Chcemy, aby kontynuował pan zleconą przez nas pracę - oznajmiła Ilona Sternberg.

- Tymczasowo i tylko... - odezwał się Robert Sternberg, ale surowy wzrok jego siostry zmusił go do przerwania wypowiedzi.

Dengler spojrzał na niego. Wynalazca ociekał teraz potem i wpatrywał się w podłogę.

Detektyw poczuł dla niego litość.

- Dokumenty, które sobie pan zażyczył, otrzyma pan jutro pocztą elektroniczną - dodała Ilona Sternberg.

Odchyliła się na oparcie fotela. Szary kosmyk jej włosów znów błysnął.

Dengler pożegnał się.

Kiedy siedział w samochodzie, wyciągnął telefon komórkowy i wyświetlił numer, z którego ostatnio do niego dzwoniono. Wybrał ten numer. Po pierwszym sygnale odezwał się Harder.

- Mówi Georg Dengler, raz jeszcze. Panie Harder, czy chce pan zapracować na drugie piwo?

Mężczyzna po drugiej stronie łącza roześmiał się.

- Przyjaciel Martina Kleina jest także moim przyjacielem - odparł.

- Potrzebne mi są informacje na temat pewnej firmy.

- Nazwa?

- Sternberg Systemy Mocujące.

- Siedziba?

- Gündlingen.

To popołudnie Dengler spędził w Gündlingen, rozmawiając z dwiema starszymi paniami. Opowiadały mu o ciężkich czasach tuż po wojnie. Jedna z nich straciła męża w Rosji i później nigdy

już nie wyszła za mąż. Małżonek drugiej powrócił z sowieckiej niewoli w 1953 roku. Nigdy jednak nie było już między nimi tak jak wcześniej, przyznała. Mimo to ich związek przetrwał aż do jego śmierci szesnaście lat później.

Z chwilą jednak, kiedy temat rozmowy schodził na osobę Volkera Sternberga, obie starsze panie milkły jak kamień.

Dengler odniósł wrażenie, jakby trafił na mur.

Nie posunął się do przodu ani trochę.

32. Kiedy zamierzał odejść

Kiedy zamierzał odejść, drzwi gospody Drehera otworzyły się na oścież. Dwóch esesmanów wypchnęło na zewnątrz Waltera Aronheima i Richarda Effgena.

Zebrany motłoch wzniósł głośne okrzyki.

- Powiesić Żyda! - wykrzyknął ktoś, a wielu innych przyklasnęło temu wyzwaniu.

Albert Roth pozostał na miejscu.

Znał tych esesmanów. Jeden z nich był szlifierzem, drugi handlarzem kamieni szlachetnych w Idar. Obaj prowadzili niewielkie warsztaty przy końcu Adolf-Hitler-Strasse.

Walter Aronheim był blady jak kreda. Spojrzał na zebrany tłum, a kąciki jego ust wykrzywiły się, nadając jego twarzy wyraz pogardy. Roth zobaczył, że ktoś zawiesił mu na szyi tabliczkę z napisem „Rycynowy Indianin”. Napis wykonano koślawym, ręcznym pismem.

Wzrok Effgena rzucał gromy. Jemu również esesmani zawiesili szyld: „Przemysłowy szkodnik”.

Trzeci z mężczyzn wychylił się zza esesmanów i popchnął mocno Aronheima w plecy.

Ten poleciał do przodu i zatrzymał się dopiero przy pierwszym stopniu schodów, o mały włos by się przewrócił. Roth wstrzymał oddech.

Jednak Walter Aronheim zdołał chwycić się prawą ręką za poręcz. Przyklęknął, ale trzymał się mocno. Effgen zrobił krok do przodu, wziął go pod rękę i pomógł mu wstać na nogi.

Esesmani wrzasnęli coś do Effgena, Roth nie był jednak w stanie zrozumieć ich słów wśród wrzawy zebranej cizby.

Obaj mężczyźni zeszli schodami w dół. Tłum utworzył szpaler. Pojawili się kolejni esesmani. W sumie było ich ośmiu. Wśród zebranych zapadła cisza.

Aronheim i Effgen ruszyli środkiem szpaleru. Czterech esesmanów szło przed nimi, a druga czwórka zamykała pochód. Ciszy nie zakłócał nawet jeden głos.

Esesman idący z przodu nagle dał znak ręką.

Zebrani znowu zawyli. Ludzie obsypywali przekleństwami dwóch prowadzonych mężczyzn. Najpierw nieliczni, później coraz liczniejsi zaczęli pluć na nich.

Jedna z kobiet, stojąca obok, zapytała kogoś:

- Co to znaczy rycynowy Indianin?

Odpowiedział jej mężczyzna z zaczerwienioną twarzą o tępych wyrazie:

- Dali im do wypicia olej rycynowy.

Wszyscy, którzy to słyszeli, wybuchnęli głośnym i szyderczym śmiechem.

Nagle wśród tłumu rozeszła się pogłoska: „Na dworzec, zaprowadzą ich na dworzec”.

Procesja ruszyła w drogę. Środkiem ulicy W centrum tego pochodu nie niesiono jednak monstrancji, ale szli dwaj mężczyźni z zawieszonymi na szyi tabliczkami o absurdalnej treści.

Towarzyszili im wierni, którzy nie byli jednak pogrążeni w religijnej zadumie, ale wykrzykiwali obelgi i pluli.

Albert Roth podążył za procesją. Nie szedł środkiem drogi, tylko chodnikiem. Wiedział, że powinien jakoś zareagować. Powinien wziąć tego Żyda za rękę i wyprowadzić go z tego tłumu. Dla Aronheima musi to być prawdziwy koszmar. Jego twarz miała wyraz, jak gdyby wciąż nie wierzył w to, co mu się przydarzyło. Effen spoglądał przed siebie stalowym wzrokiem i zgrzytał zębami.

„Nie poradzę sobie przecież sam z tyloma esesmanami!”.

Esesmani prowadzili obu mężczyzn główną ulicą, która nosiła teraz nazwę Adolf-Hitler-Strasse. Szli obok ratusza w kierunku Oberstein.

„Być może tam ktoś im pomoże - pomyślał Roth. - Jeśli tak się stanie, natychmiast się dołączę”. Ta myśl dodała mu odwagi.

Nikt jednak nie pomógł.

Gdy dotarli do poczty, dwóch esesmanów chciało skrócić w prawo. Obok kawiarni zamkowej, czyli najkrótszą drogą w stronę dworca. Prowadzący więźniów naradzali się jednak przez chwilę.

Po czym skręcili w lewo.

„Mój Boże, zamierzają przejść przez Oberstein. Zorganizowali triumfalny pochód przez nasze miasteczko!”.

Do pochodu dołączyła horda szkolnych dzieciaków. Chłopcy biegali wokół dorosłych i

umundurowanych, pluli na obu mężczyzn i szybko uciekali. Zrobili to raz, drugi, potem trzeci, aż zauważyli, że zyskiwali w ten sposób aplauz, teraz dawali z siebie zatem wszystko. Niektóre kobiety również występowały do przodu i pluły. Opluwany był przede wszystkim Aronheim.

Ci, którzy pluli, robili to z uroczystą powagą. Z pejsów Żyda na marynarkę sphywała ślina.

Effgen wykonał ruch ręką, jak gdyby chciał schwytać jednego z chłopaków. Dwóch esesmanów uderzyło go w żołądek. Zgiął się do przodu z bólu, po czym upadł na kolana, ale natychmiast zerwał się ponownie na nogi. Otrzeptał się. Aronheim wyciągnął rękę i dopomógł

mu. Po raz pierwszy Roth dostrzegł, że Effgen uśmiechnął się na moment.

Dwóch nieszczęśników doprowadzono do rynku. W tym momencie rycyna zaczęła działać.

Roth widział, jak Aronheim chwycił się prawą ręką za brzuch. Widział też, jak jego twarz ściągnęła się w grymasie bólu. Jak zaciskał zęby i nie chciał pokazać po sobie, co się z nim dzieje. Nagle Roth poczuł głęboką bezsilność. Gdzie jest policja? Dlaczego nikt się temu nie przeciwstawi? Dlaczego on sam niczego nie uczyni? Podszedł do pobliskiego mostu i spojrział w wodę.

Tłuszcza przeszła obok niego i skręciła w Wasen-Strasse. Kiedy Roth obrócił się, zobaczył, że również twarz Effgena jest wykrzywiona grymasem bólu.

Rycyna.

Zebrany tłum dostrzegł, że obaj mężczyźni zaczynają mieć skurcze. To tylko rozbu-dziło entuzjazm tłuszczy. Motłoch zaczął wrzeszczeć i krzyczeć jeszcze głośniej. Kilka kobiet zapiszczało przenikliwie.

- Żyd, Żyd! - rozległy się krzyki w powietrzu. Pierwszy nie wytrzymał Effgen. Kał

przebarwił jego spodnie na ciemny kolor. Najpierw prawą nogawką, potem lewą wypadł na ulicę w pobliżu jego butów.

Rozległy się wiwaty i odgłosy zachwytu. Złośliwy rechot. Wszyscy się przeciskali.

Każdy chciał zobaczyć.

Oczy Effgena miały gromy. Szedł przed siebie, jakby nic się nie stało.

- Żydowi nie powiedzie się wcale lepiej - powiedział ktoś do Rotha. Każdy chciał to widzieć.

Aronheim nie mógł już dłużej wytrzymać. Tuż przed dworcem jego spodnie również się przebarwiły, a kał wylatywał obiema nogawkami.

- Oni powinni wyczyścić ulicę! - wykrzyknął ktoś. Z oczu Effgena płynęły teraz łzy.

Aronheim szedł dalej jak w transie.

Na placu przy dworcu stało kilku uśmiechniętych głupawo policjantów.

Nagle przez tłum zaczął przepychać się jakiś człowiek. Roth go znał. To Karl Weyand, kierownik zakładu w firmie Elias Neuhauser, podobno jest surowym przełożonym. Weyand chce wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny, trzeba przecież obu tych mężczyzn umyć.

Pijany członek SA podchodzi do niego, wykrzykuje, że on jest przecież socjalistą i dlatego jest jeszcze gorszy niż Żyd, po czym uderza go w twarz. Weyand chwiejnym krokiem cofa się. Esesmani wpychają Aronheima i Effgena do hali dworca. Zamierzają ich zawieźć do Birkenfeld, do tamtejszego więzienia. Kreisleiter Herbert Wild już będzie tam na nich czekał.

Ktoś powiedział, że ten się nimi zajmie, aż będzie się im paliło pod tyłkiem.

Roth widzi, że ktoś ze zgromadzonych podbiega do esesmana i mówi, że Weyand nazwał ludzi z SS i SA lumpami. Esesman melduje to innemu esesmanowi, a później jeszcze jednemu. Potem podchodzą do Weyanda. Z jego ust i nosa sączy się krew. Chwytają go i wciągają broniącego się rozpaczliwie nieszczęśnika do hali dworca.

Następnym pociągiem trzej mężczyźni zostaną zawiezieni do Birkenfeld.

Roth wraca do domu.

Jeszcze tego samego wieczoru napisał list do swoich teściów mieszkających w Bruchsal. Odpowiedź przyszła szybko. Powinien przenieść się do nich, dopomogą mu. Niech przyjeżdża najszybciej, jak tylko zdoła.

A teraz stał nad ich grobem.

33. Gdy Georg Dengler na krótko przed ósmą wszedł do lokalu Basta

Gdy Georg Dengler na krótko przed ósmą wszedł do lokalu Basta, Martin Klein i Leopold Harder stali już przy barze z kieliszkami grauburgunda. Ruszył w ich kierunku. Obaj mężczyźni dopili resztkę wina, po czym wszyscy wyszli.

Na dworze znowu padało. Temperatura spadła poniżej zera. Harder zaprowadził ich do restauracji Cantina Toskana. Na rogu Rosenstrasse Martin Klein zatrzymał się przed małym sklepem z modą męską. W oknie wystawowym stało kilka manekinów ubranych w białe spodnie, czarne koszule i czarne marynarki.

- Tu zatem kupujesz swoje ciuchy - odezwał się Harder.

Klein przytaknął. Skręcili w Olgastrasse i przeszli na drugą stronę szerokiej Hochenheimer Straße, szybko minęli Gericht-sviertel w stronę ulicy Urbanstrasse i znaleźli się przed restauracją, która nosiła nazwę Becher.

W środku panował nieopisany tłok. Harder wyjaśnił im, że tutaj przychodzą aktorzy z pobliskiego teatru coś przegryźć po zakończonym przedstawieniu, a także studenci z akademii muzycznej.

Restauracja Becher była jednym z nielicznych lokali w Stuttgarcie, w którym jedzenie było nie tylko dobre, ale także w przystępnych cenach, dla ludzi o normalnych za-robkach, studentów, a nawet dla artystów. Harder wskazał na stolik obok, przy którym czterech mężczyzn grało w skata. Gość po lewej był emerytowanym prezesem izby sądowej, który zapewne w swoim życiu wydał wyroki, jakie łącznie dawały dobrych kilkaset lat. Teraz gra w towarzystwie innych w skata.

Atrakcyjna kobieta o ciemnym włosach przyniosła im kartę dań. Rzeczywiście - podawano tutaj dania typowe dla Szwabii. Pierogi z nadzieniem ze szpinaku i cebuli, pieczeń z rusztu z cebulą i soczewicę z kluskami oraz szwabskie kielbaski podobne do wiedeńskich.

Kartę win ze szwabskich winnic uzupełniał doskonały wybór trunków francuskich.

Każdy z nich zamówił pilznera.

Przyjazny człowiek o wyglądzie południowca, z włosami zawiązanymi w krótki koński ogon, przyniósł im piwo i odebrał zamówienie. Harder polecił im soczewicę z kluskami.

- W Stuttgarcie niemal we wszystkich restauracjach są bardzo wysokie ceny, rzadko jednak oferowana jest w nich odpowiednia jakość dań - podjął rozmowę Harder. - Lokale o niewygórowanych cenach każdego dnia pękają z kolei w szwach, ale rzadko są promowane w gazetach.

Dengler nie miał zamiaru wdawać się w pogawędki na temat gastronomii Szwabii.

Podziękował Harderowi za informacje na temat Hotelu Zamkowego w Gündlingen.

- Nie miałem najmniejszego pojęcia, że w okolicach Bruchsal znajduje się miejscowość o nazwie Gündlingen - odparł Harder. - Nie wspominając już o restauracji w Hotelu Zamkowym. Czy podają tam dobre potrawy?

- To mój ukryty typ - przytaknął Dengler. - Na pewno godny polecenia. Naprawdę niezły i poza tym niesamowicie tani. Ma też swoją specjalność: pieczeń z rożna. Smakuje wybornie. O ile wiem, nie jest to jednak specjalność pochodząca ze Szwabii.

- Pochodzi z Idar-Oberstein - wmieszał się do rozmowy Martin Klein. - Kiedyś miałem tam przyjemność raz spożyć ten posiłek.

Dengler odchylił się do tyłu i spojrzał na Hardera.

- Czy zdobył pan już jakieś informacje na temat firmy Sternberg Systemy Mocujące?

Harder przytaknął.

- Firma z długimi tradycjami - zaczął mówić. - Produkuje specjalne śruby oraz specjalne kołki rozporowe, a także zabawki z tworzyw sztucznych. Wyrabiane z tego samego tworzywa co kołki. Jedno i drugie do siebie pasuje. Zarabiają spore pieniądze na kole do chodzenia dla małych dzieci, w kolorze niebieskim, które można kupić w każdym sklepie z zabawkami. Od wielu lat jest to rynkowy

przebój.

- Firma trzyma się zatem nieźle i wszystko jest w porządku?

- Na to wygląda - potwierdził Harder.

W tym momencie mężczyzna z włosami zawiązanymi w koński ogon przyniósł im jedzenie. Soczewica z kluskami smakowała Denglerowi wybornie. Również Klein i Harder chwalili potrawę, przytakując z pełnymi ustami.

W końcu Harder upił łyk piwa.

- Jak słyszałem, firma Sternberg Systemy Mocujące szykuje się do wprowadzenia na rynek nowego produktu. To duży projekt. W branży zabawkarskiej tak się o nim mówi.

„Sztabki” - pomyślał Dengler.

- Zaangażowali w to duże fundusze - kontynuował Harder. - Dla przedsiębiorstwa średniej wielkości wprowadzenie na rynek nowego produktu oznacza znacznie większe ryzyko niż dla dużej firmy.

- Jak wysoko ocenia pan to ryzyko?

- Tego dokładnie jeszcze nie wiem. Potrzebuję dzień lub dwa.

- W porządku - wtrącił Martin Klein. - Spotkamy się zatem tutaj raz jeszcze.

Mężczyźni znów zajęli się jedzeniem.

34. Między dwoma tunelami

Między dwoma tunelami, na lewo od mostu przerzuconego przez rzekę, Blackmore odkrył stojące samotnie gospodarstwo. Składało się z domu mieszkalnego, obory z klepiskiem na siano oraz z szopy na narzędzia. Trzy budynki były zwrócone do siebie, po środku podwórza było wyraźnie widać dużą psią budę z pokaznym psem przypiętym do łańcucha. Był to owczarek niemiecki.

Pies zaczął szczekać, gdy tylko Blackmore podszedł bliżej. Pilot wycofał się w pobliskie zarośla i odczekał, aż zapadnie zmrok.

Tej nocy nie zrobiło się jednak ciemno. Horyzont rozświetlała pożoga płonącego Bruchsal. Płomienie rysowały pomarańczowe wzory na wieczornym niebie, które wyglądało zupełnie inaczej niż zachody słońca, jakie Blackmore znał. Światło wymieszane z ciemnym dymem. Ten kolor tchnął grozą.

Pies zaczął szczekać, gdy Blackmore ponownie się zbliżył w mroku. Tym razem pilot nie wycofał się. Wyciągnął pistolet z kabury i czekał.

Z budynku mieszkalnego wyszedł jakiś mężczyzna. Powiedział coś uspokajającym tonem do psa na

łańcuchu. Owczarek nie przestawał jednak szczekać. Ujadał niczym opętany.

Blackmore wycofał się ponownie do pobliskich zarośli, a pies w końcu się uspokoił. Na łące, tonącej w zabarwionym na pomarańczowo półmroku dostrzegł sylwetkę kota czatującego cierpliwie nad mysią dziurą.

Zawołał kota. Zwierzę obróciło głowę w jego kierunku tylko na moment i bez specjalnego zainteresowania, po czym znów skoncentrowało uwagę na mysiej dziurze. Blackmore zaczął nucić zwierzakowi bluesa, który często śpiewał w dzieciństwie.

I'm broke and I'm hungry.

Czołgał się na brzuchu w stronę kota.

Kiedy ponownie podniósł głowę, zatrzymał się na moment, ale nie przestawał śpiewać.

Uwaga kota cały czas była skoncentrowana na otworze mysiej norki, a Blackmore posuwał się dalej w jego kierunku. Kiedy znajdował się w odległości zaledwie trzech metrów od zwierzę-

cia, zaczął posuwać się bardzo wolno, centymetr po centymetrze. W końcu zwierzę znalazło się już w jego zasięgu. Wyciągnął lewą dłoń, jak gdyby chciał kota pogłaskać. Ten nie zareagował.

Człowiek chwycił zwierzaka i prawą ręką uderzył go z całej siły w kark. Zwierzę natychmiast było martwe.

Tym razem zbliżył się do gospodarstwa szybkimi susami, wykorzystując szopę na narzędzia jako zasłonę.

Pies nie próbował nawet pohamować wściekłości, ujadał jak szalony i chciał do niego podbiec, łańcuch odciągał go jednak do tyłu. Blackmore zorientował się, jaki był promień ruchu, na który pozwalała owczarkowi długość łańcucha. Tuż przed szczekającym zwierzę-

ciem rzucił kawał mięsa. Hałas ucichł. Dobiegał jedynie odgłos mlaskania i łapczywego połykania.

Rzucił drugi kawałek.

Znów mlaskanie i łapczywe połykanie.

Amerykanin poczekał chwilę.

Owczarek spojrzał na niego z oczekiwaniem w oczach i cicho zapiszczał.

- Cicho! - Blackmore przyłożył palec wskazujący do warg.

„Musiało minąć dużo czasu, odkąd ten pies po raz ostatni był karmiony mięsem” -

pomyślał. Rzucił psu trzeci kawał mięsa.

Po czym przemknął się do obory.

Pies zachowywał się cicho.

Pilot ostrożnie wszedł do obory. Krowy stały w środku, z ich ciał unosiła się para. Z

zainteresowaniem zwróciły głowę w jego kierunku. Rozejrzał się po ciemku po oborze i dostrzegł drabinę, wszedł po niej na stryszek, na którym znajdowało się siano. Resztę kocich zwłok ukrył między dwiema drewnianymi belkami. Później wsunął się do kąta i przykrył się całkowite sianem.

Jego myśli pobiegły ku Chicago.

Ku Koko i jego synowi.

Wystarczy, że tutaj zaczeka, aż nadejdzie piechota. Później zasnął.

Rankiem obudził się, kiedy gospodyni doiła krowy. Zwierzęta muczały i poruszały się niespokojnie od czasu do czasu, po godzinie znów zapadła cisza.

Około dziesiątej usłyszał, jak pies szczeka, a na podwórzu rozległy się głosy. Podkrał

się do przeciwległej strony dachu szopy i wyjrzał przez szczelinę w drewnianej ścianie. Na dole stało czterech żołnierzy z karabinami na ramionach, którzy rozmawiali z gospodarzem i jego żoną. Obok nich stali dwaj chłopcy w krótkich spodniach, których spotkał wczoraj w lesie przy kokpicie rozbitego samolotu.

Szukali go zatem.

Powoli wycofał się do narożnika po drugiej stronie stryszku z sianem. Położył pistolet przed sobą i czekał. Po kilku minutach w gospodarstwie znów zapanowała cisza. Żołnierze odeszli.

35. Rano zadzwonił do szpitala

Rano zadzwonił do szpitala. Jego matka już się obudziła, ale nie mogła z nim rozmawiać, bo właśnie ją badano. Dengler poprosił więc siostrę, żeby przekazała informację, że jutro przyjedzie w odwiedziny. Siostra obiecała. Detektyw ledwie zdołał odłożyć słuchawkę, kiedy telefon znów zadzwonił. Usłyszał głos Ilony Sternberg.

- Chciał pan rozmawiać z moim ojcem - powiedziała.

- Tak - potwierdził Dengler.

- Czy może pan być o godzinie szesnastej w siedzibie firmy? Później pojedziemy do niego.

Ponownie przytaknął, a Ilona Sternberg odłożyła słuchawkę.

Dengler zastanowił się przez moment i zaczął wertować w swoim notesie. Co właściwie wiedział o całej tej sprawie?

Tuż po wojnie hotel zmienił właściciela. Nikt nie chce nic mówić na ten temat. Może jednak? Poprzedni właściciel tego obiektu przekazał go na własność piętnastoletniemu chłopcu i nie powiedział o tym nawet słowa swojej rodzinie. Nie puścił pary z ust wobec ukochanych wnuków, swojego syna ani też szwagra.

Czy otrzymał coś w zamian od rodziny Rothów? Gdzie znajdował się ten przekłety, dodatkowy aneks do umowy? Czy Volker Sternberg miał jakieś długi wobec Rothów?

Nikt z mieszkańców miejscowości nie chciał mu wyjawić czegokolwiek na ten temat.

Drażył sprawę w myślach.

Był jednak ktoś, kto powinien wiedzieć, co właściwie się wydarzyło - ojciec Kurta Rotha.

Harder mówił o trzech pokoleniach, które mieszkały w Hotelu Zamkowym. Był więc jeszcze dziadek, ojciec Kurta Rotha. Nazywał się Albert Roth i mieszkał w tym samym domu co reszta jego rodziny. Tak przynajmniej stwierdził Harder.

Stary człowiek w czapce z daszkiem.

Dzisiaj na obiad Dengler znowu będzie miał okazję skosztować wybornej pieczeni z rożna.

Maria Roth odebrała od niego zamówienie z obojętnym wyrazem twarzy. Porcja pieczeni z rożna. Proszę bardzo. Z sałatką chrzanową. Proszę bardzo. I butelka wody mineralnej.

Gazowanej czy nie? Gazowaną poproszę. Zaraz podam.

Dengler rozejrzał się wokół siebie. Kurt Roth stał za barem i nalewał piwo do kufła.

Detektyw skinął głową w jego kierunku, ale gospodarz udał, że go nie widzi. Jego żona niosła właśnie dwa talerze do stolika przy oknie. Starego człowieka w czapce z daszkiem nie było.

- Czy nie ma dziś pani dziadka? - zapytał Marię Roth, kiedy przyniosła mu wodę mineralną.

- Nie - odparła i poszła do ojca przy barze. Przez chwilę coś oboje szeptali do siebie.

Dengler upił łyk wody.

Zjawił się przy nim Kurt Roth.

- Czy mogę się dosiąść?

Dengler wskazał dłonią krzesło. Roth usiadł. Jego córka przyniosła mu filiżankę kawy.

- Nasza pieczeń z różna wydaje się panu smakować - zaczął rozmowę Roth.

- Jest wyborna - odparł Dengler. - Czy kryje się w tym jakaś tajemnica? W jaki sposób uzyskuje pan ten szczególny smak?

- Tajemnica! Tajemnice to zapewne pańska specjalność, czyż nie? - odparł Roth. -

Czasami jednak wbrew pozorom nie ma żadnego sekretu.

- Nawet jeśli chodzi o pieczeń z różna?

- Nie ma tu żadnego sekretu. Mięso musi dobrze odcieknąć, żeby nie zawierało wody.

Jeśli pozostanie w nim woda, pieczeń nigdy nie będzie miała smaku czystego mięsa.

- Jakież szczególne dodatki?

- Tylko cebula. Cebulę należy pokroić w plastry, poczym natrzeć nią mięso. Sok z cebuli powinien spłynąć po mięsie, dzięki czemu zostanie wchłonięty.

- Hm.

- Sól i pieprz wzmacniają działanie cebuli. To wszystkie składniki pieczeni z różna.

Dengler był zaskoczony.

- Nie ma więc żadnej tajemnicy - podjął Roth. - Dobre mięso, cebula, sól i pieprz.

Wszystko bardzo proste.

- Jak długo piecze pan mięso?

- Mięso należy zrolować i nasunąć na rożen, po czym obracać je nad żarem. Palić trzeba wyłącznie drewnem bukowym, nadaje ono pieczeni z różna dymną, korzenną, aromatyczną skórkę, a w środku pozostaje czyste mięso. Wszystko to jest zatem bardzo proste. Recepturę przywiózł z sobą mój ojciec z rodzinnego miasta.

- Pieczeń z różna jest specjalnością miast Idar-Oberstein, jak słyszałem.

- Tylko Oberstein - sprostował Roth. - Mój ojciec pochodzi z Oberstein.

Obaj mężczyźni zmierzyli się wzrokiem.

Z bliska Roth wyglądał na starszego niż gdy patrzyło się na niego z daleka. Z pewnością osiągnął już

dawno wiek emerytalny. Był jednak szczupły, a zata za bufetu sprawiał wrażenie młodszego niż był w rzeczywistości.

- Jak to się stało, że hotel został własnością pana rodziny? - zapytał Dengler.

Roth odchylił się do tyłu.

- Zna pan przecież umowę - odparł Roth. - Jest ważna. Istnieje stosowny wpis w księdze wieczystej. Po tym, jak pan się pojawił, udaliśmy się raz jeszcze do notariusza, by zasięgnąć informacji.

- Skoro wszystko jest w porządku, może mi pan pokazać kopię dodatkowego aneksu.

- Nie mam go. Nawet gdybym go jednak miał, i tak bym go panu nie pokazał. Chcemy tylko, żeby naszego spokoju nikt już nie zakłócał...

Dengler zobaczył przez okno, że na zewnątrz podjeżdża taksówka. Kierowca pomógł

wysiąść starszemu mężczyźnie i poprowadził go do drzwi lokalu. Stary człowiek miał na głowie czapkę z daszkiem - musiał to być więc ojciec Kurta Rotha.

Gdy drzwi się otworzyły, Maria Roth natychmiast podbiegła do dziadka. Wzięła go pod ramię i zaprowadziła do okrągłego stolika ustawionego tuż obok baru. Stary człowiek usiadł, oddychając ciężko. Już siedząc, zdjął z siebie płaszcz i oddał go Marii razem z laską. Kobieta zaniósła jedno i drugie do szatni, po czym wróciła i przyniosła dziadkowi butelkę piwa, ogrzaną w ciepłej kąpieli.

Kurt Roth podniósł się z miejsca.

- Pragniemy tylko, żeby zostawiono nas w spokoju. Żyjemy tutaj od...

- Od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku - dokończył Dengler.

- Właśnie. Zarabiamy tu na chleb, a Hotel Zamkowy powinien zapewnić mojej córce życie bez trosk i zmartwień. Niczego więcej nie pragnę.

Odwrócił się i przysiadł się do stolika, przy którym siedział jego ojciec. Obaj mężczyźni rozmawiali po cichu, od czasu do czasu starszy z nich kiwał potakująco głową.

Wkrótce Maria przyniosła parujący talerz. Kurt Roth miał rację - pieczeń z rozna ukrywała pod mocną i pachnącą skorupką smak czystego mięsa.

Kiedy Maria zabrała naczynie po posiłku, Dengler wstał i podszedł do okrągłego stolika przy barze.

- Czy mogę się przysiąść? - zapytał Alberta Rotha. Starzec zaprosił go gestem ręki.

- Jak pan wie, usiłuję się dowiedzieć, jak doszło do spisania umowy, na mocy której pana syn uzyskał w darowiźnie ten hotel. Z pewnością może mi pan opowiedzieć ze szczegó-

łami to, co chciałybym wiedzieć. Poza tym w tej miejscowości nikt nie chce puścić pary z ust na temat spraw z tamtych czasów.

Starzec spojrzał na niego posepnym wzrokiem znad oprawki okularów.

- Przysłały pana dzieci Sternberga - odezwał się. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Tak.

- Niech pan im powie, żeby przestały grzebać w starych sprawach. Skutki tego będą dla nich znacznie gorsze niż dla nas. Będą żałować tego, że wyciągną na wierzch stare gówna. Mi zaś nie będzie przykro, to jest ich gówno.

Dengler natychmiast wyostrzył słuch.

- Jakie gówno, panie Roth? O jakim gównie pan mówi? Starszy mężczyzna zajął się jednak grzaniem piwem i nie odezwał się już więcej ani słowem.

Dengler wrócił na swoje miejsce i usiadł. Gestem przywołał Marię Roth.

- Chciałybym zapłacić.

- Razem będzie czternaście euro i osiemdziesiąt centów. Wręczył jej banknot o nominale dwudziestu euro.

- Niech pani zatrzyma resztę i powie mi, jaka tajemnica wiąże się z tym hotelem.

Przysiadła się.

- Nie wiem nic o żadnej tajemnicy - oznajmiła. - Odkąd tu mieszkam, są tu mój ojciec i mój dziadek, nie ma natomiast żadnej tajemnicy. Pojawiła się dopiero z chwilą, kiedy pan się tutaj pokazał.

- Zamierza pani prowadzić dalej ten lokal i kontynuować rodzinną tradycję, prawda?

Maria zastanowiła się przez chwilę.

- Tego jeszcze nie wiem - odparła. - Być może niekoniecznie. Nie chciałabym jednak sprzeciwiać się woli dziadka. On jest bardzo związany z Hotelem Zamkowym. Złamałabym mu serce, gdybym stąd odeszła. Chociaż, zapewne kiedyś...

Wstała i wykonała ruch, który Denglerowi wydał się niczym krok taneczny.

- Któż to wie? - dodała i odeszła.

W tym momencie w drzwiach stanął Robert Sternberg.

36. Trzy tygodnie po wydarzeniach, w których spore znaczenie miał olej rycy-

nowy

Trzy tygodnie po wydarzeniach, w których spore znaczenie miał olej rycynowy, Albert Roth wymówił posadę w firmie jubilerskiej Groß & Quenzer i zaczął pracę w firmie swoich teściów w Bruchsal. Pożyczyli mu pieniądze na zakup maszyny do obróbki i do szlifowania. W

pokoju na tyłach domu urządził mały warsztat i zaczął teraz szlifować kamienie na własny rachunek. Udało mu się pozyskać czterech jubilerów z Karlsruhe oraz trzech w Mannheim, dzięki czemu zaczął powoli spłacać kredyt udzielony przez teściów. W Gündlingen teściowie wynaleźli dla Edith i niego niewielkie mieszkanie.

Później w katolickim Bruchsal władzę przejęli naziści. On otrzymał powołanie do Wehrmachtu i bez najmniejszego zapału udał się do wojska, znalazł się w południowej Francji.

Następnie jego jednostka została wyparta przez Amerykanów oraz francuskich partyzantów. W

trakcie walk na pogórzu Eifel odłamek ranił go w prawą łydkę. Rana zagoiła się, musiał więc wkrótce zjawić się ponownie w swojej jednostce. Zamierzał jednak przeżyć wojnę. W tej sytuacji postanowił zgłosić się do miejscowej jednostki Volkssturmu i odczekać, aż ten obłęd w końcu minie.

W poprzednim roku, 25 września 1944 roku, Hitler wydał zarządzenie na temat utworzenia jednostek niemieckiego Volkssturmu. 20 października zarządzenie to zostało opublikowane w monitorze rządowym niemieckiej Rzeszy i tym samym nabrało mocy prawnej.

Wszyscy mężczyźni narodowości niemieckiej, w wieku od 16 do 60 lat byli objęci obowiązkiem służby W tej formacji, co stanowiło w liczbach 6 milionów mężczyzn urodzonych od 1884 do 1928 roku. W 1944 roku na obszarze Rzeszy było też 5 milionów mężczyzn, którzy byli niezbędni do wykonywania prac cywilnych. Jednostki frontowe liczyły 4,4 miliona ludzi, odwody i rezerwy 2,5 miliona. Biorąc pod uwagę właściwie beznadziejną sytuację militarną, naziści postanowili wykorzystać jeszcze w tej wojnie rezerwy tych właśnie ludzi, zwanych *Cywilistami*.

Ponieważ nie wszyscy mężczyźni mogli w jednym czasie zrezygnować z cywilnych posad, całą rezerwę ludzką podzielono na cztery terminy poboru. Pierwszy pobór obejmował

wszystkich mężczyzn w wieku od 20 do 60 lat, którzy nie byli absolutnie niezbędni na stanowiskach cywilnych. Przeciętny wiek tej grupy wynosił 52 lata.

Drugi pobór obejmował mężczyzn, którzy pełnili ważne funkcje cywilne i powinni pozostać na swoich stanowiskach aż do, jak to określono, nadejścia wroga.

Trzeci pobór - młodzi mężczyźni w wieku od 16 do 19 lat - w większości już znajdowali się na froncie.

Czwarty pobór obejmował wszystkich mężczyzn, którzy nie byli zdolni do służby wojskowej. Mieli oni pełnić funkcje obserwacyjne i wypełniać zadania związane z zabezpieczeniem działań.

W Bruchsal sformowano batalion Volkssturmu 21/43, co oznaczało 43 batalion w 21

powiecie. Komendantem był Phillip Streib.

Albert Roth liczył na to, że oddziały tych służb rozformują się jeszcze przed nadejściem nieprzyjaciela. Zastanawiał się, czy powinien przystąpić do jednostki Volkssturmu w Bruchsal, końcu odrzucił jednak ten pomysł. Obawiał się ludzi z punktu rekrutacyjnego do armii czy komendy uzupełnień Wehrmachtu, którą w mowie potocznej nazywano dekownikami. Peł-

niący służbę w tym biurze ludzie przeczesywali szpitale, zakłady oraz urzędy w poszukiwaniu chłopców i mężczyzn tylko częściowo zdolnych do walki. Celem poszukiwań byli przede wszystkim ranni żołnierze, którzy nie chcieli podjąć przegranej już walki.

Tacy żołnierze jak on.

Jesienią 1944 roku jego syn wraz z innymi dziećmi z organizacji Hitlerjugend w Bruchsal zostali zabrani do sypania szańców w fortach na terenie Burgundii. W rejonie między Belfort i Delie musieli kopać doły przeciwczołgowe. Miesiąc później jego teść został zmu-szony - wraz z tysiącem innych starszych ludzi z Bruchsal, Karlsruhe i Pforzheim - do budo-wania okopów w rejonie Senones i St. Dič w lasach na obszarze zachodnich Wogezów.

Wiedział, że jeśli przyłączy się do oddziału Volkssturmu w Gündlingen, uniknie tego typu perypetii.

37. Sternberg nie dostrzegł Denglera

Sternberg nie dostrzegł Denglera. Minał go i usiadł przy sąsiednim stoliku, zwrócony plecami do detektywa. Georg, który właśnie zamierzał wyjść, pozostał na miejscu. Zobaczył, że Maria podchodzi do stolika Sternberga. Dosiadła się.

- Czego pan tu jeszcze chce? - zadała pytanie.

- Porozmawiać z panią.

Maria coś odpowiedziała, jednak Dengler nie zdołał jej zrozumieć.

- Nie wiem, co wydarzyło się między naszymi rodzinami. Ale nie mam zamiaru kontynuować tego sporu.

Maria natychmiast skierowała wzrok na Denglera.

- Co on więc tu robi? - powiedziała i wskazała kciukiem na Denglera.

Sternberg odwrócił się i zobaczył go. W pierwszej chwili przeraził się, po czym przez chwilę zastanawiał, a następnie podszedł do stolika detektywa.

- Panie Dengler, pana zadanie dobiegło końca - oznajmił.

- Niniejszym kwituję to zlecenie.

Dengler nie poruszył się jednak.

- Koniec, kropka. Czy pan nie zrozumiał? - nie pozostawił wątpliwości Sternberg.

- Jesteśmy umówieni o szesnastej - odparł Dengler.

- W biurze pańskiej siostry. Zamierzamy złożyć wizytę pańskiemu milczącemu ojcu.

Potem wstał i opuścił Hotel Zamkowy.

38. Kobieta w przeszklonej recepcji

Kobieta w przeszklonej recepcji dała mu zapraszający znak gestem. Dużymi krokami wszedł schodami na górę. Również pani Howling, sekretarka Ilony Sternberg, już na niego czekała. Bez słowa wprowadziła go do gabinetu szefowej.

Rodzeństwo siedziało przy stole konferencyjnym. Sprawiali wrażenie wyczerpanych, jakby właśnie skończyli gorącą kłótnię. Na blacie stołu znajdowały się koślawe konstrukcje zestawione ze sztabek wymyślonych przez Roberta Sternberga.

- Wyglądają na nieco zmęczone - skomentował Dengler i wskazał na wieżę ze sztabek.

Ilona Sternberg wstała i podała mu dłoń. Na jej szary kosmyk padł promyk słońca, dzięki czemu jej włosy zdawały się błyszczeć. Robert Sternberg siedział i najwyraźniej go zignorował.

Dengler usiadł.

- Czego się pan dowiedział? - zapytała Ilona Sternberg. Dengler zdał relację z rozmowy przeprowadzonej z Albertem Rothem.

- Roth powiedział, że jeśli wyciągnę na światło dzienne okoliczności związane z pod-pisaniem umowy darowizny, wylezie z tego gówno, które dotyczy waszej rodziny. Najprawdopodobniej waszego dziadka. Nie wiem jeszcze, co miał konkretnie na myśli, ale powinniście przygotować się na to, że nie będzie to nic przyjemnego.

- Dla mnie przyjemnością byłoby unieważnienie umowy - stwierdziła Ilona Sternberg i spojrzała na niego. Dengler zauważył, że zaciska kurczowo szczęki.

- Ilona, ja tego nie chcę. Dlaczego mamy odbierać tym ludziom ich dom? Mamy przecież dostatecznie dużo, firmę i...

- wykonał szeroki gest prawą ręką.

Ilona Sternberg obdarzyła brata pogardliwym spojrzeniem.

- Lepiej żebyś się zamknął oświadczyła lodowatym tonem

- Nie zamierzam milczeć - Robert Sternberg zerwał się z miejsca. - Nie chcę tego.

Zwrócił się do Denglera:

- Anuluję swój podpis na umowie ze zleceniem.

- Podpiszę tę umowę jeszcze raz - oznajmiła Ilona Sternberg.

- Nie zrobisz tego! - wykrzyknął Sternberg.

- Zatrósz się lepiej o to, by te twoje gówniane sztabki wreszcie działały! - odpowiedziała również krzykiem.

Robert Sternberg spojrział żalonym wzrokiem na wykrzywione konstrukcje ustawione na stole.

- Musimy wzmocnić je zaledwie o dziesięć procent - wyznał. - Zaledwie o dziesięć procent.

- Czy zdajesz sobie sprawę, ile to będzie kosztowało? - opadła ponownie na fotel.

- Czy pokazała pani umowę dotyczącą darowizny waszemu prawnikowi? - zapytał

Dengler, chcąc zakończyć spór, jaki toczyło z sobą rodzeństwo.

- Nie, najpierw chcemy wiedzieć, co się wydarzyło w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku - odpowiedziała Ilona Sternberg. - Gdyby udało się to wszystko odkręcić, by-

łyoby dobrze.

- Nie przyłożę do tego ręki, Ilona - oznajmił Robert.

- W takim razie zatrósz się o to, żeby... - parsknęła jego siostra. Powstrzymała się jednak, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że Dengler jest w pomieszczeniu.

- Chciał pan porozmawiać z moim ojcem - odezwała się już uspokojona.

Dengler przytaknął.

- Poza tym... Potrzebna jest mi wreszcie ta lista, o której rozmawialiśmy przez telefon.

Sąsiedzi, współpracownicy, ludzie z rodzinnych stron pani dziadka.

- Nikt już niemal nie pozostał - odparła Ilona Sternberg. - Żyje tylko wdowa po księgowym.

Zaczęła wertować stertę papierów, która leżała przed nią na stole, wyciągnęła z niej kartkę i dała ją

Denglerowi, który podziękował, złożył kartkę i wsunął do kieszeni marynarki.

- Chodźmy - powiedziała Ilona.

- Jesteś dokładnie taka jak dziadek - wyrzucił z siebie Robert Sternberg, po czym wybiegł z gabinetu, daremnie usiłując trzasnąć grubo obitymi drzwiami.

Ojciec Ilony i Roberta Sternbergów mieszkał na skraju Gündlingen w dużym domu jednorodzinnym. Nazywał się Fritz Sternberg, urodził się w 1933 roku i w lecie miał skończyć 72 lata. Przynajmniej tyle powiedziała Denglerowi Ilona, gdy tam jechali.

Jechali samochodem Ilony Sternberg marki Porsche Boxter. Silnik pracował głośno, nie mogli więc swobodnie rozmawiać.

Dengler zapytał ją o jej stosunki z dziadkiem.

- Był bohaterem mojej młodości - wykrzyknęła, chcąc przekrzyczeć odgłos silnika. -

Troszczył się o mnie. Jeszcze gdy byłam dzieckiem, zabierał mnie do firmy. Dopilnował też, żebym studiowała ekonomię produkcji w Mannheim.

- Czy to nie pani brat powinien pójść w jego ślady?

- Tak, najprawdopodobniej. Mój dziadek miał bardzo konserwatywne podejście do kobiet. Dzieci, kościół i tak dalej. Sam pan wie. Ale nie darzył Roberta zbyt ciepłymi uczuciami. Uważał, że mój brat jest nieudacznikiem, pozostałam mu zatem tylko ja.

Roześmiała się, ten śmiech nie był jednak radosny.

- Jak traktowała to pani matka? Przecież to ona decydowała o wychowywaniu swoich dzieci?

Kobieta za kierownicą zamyśliła się.

- Moi rodzice pobrali się późno. Matka pochodziła z niższych sfer. Dla niej małżeństwo z moim ojcem było przejściem do innej ligi.

- Nigdy nie sprzeciwiła się pani dziadkowi?

- To było nie do pomyślenia.

Zaparkowała porsche przy krawężniku w bocznej uliczce.

- Tam u góry stoi mój ojciec.

Wskazała dłonią okno dużego domu. Widoczna była w nim stojąca bez ruchu sylwetka mężczyzny,

który spoglądał na ulicę.

- On tak stoi już od czterdziestu lat - dodała Ilona Sternberg. - W kuchennym oknie, dzień po dniu. Każdą mysz na ulicy zna po imieniu.

Włożyła klucz do zamka drzwi wejściowych.

- Niejeden raz nienawidziłam go za to - wyznała.

- W tym roku skończy siedemdziesiąt dwa lata - odezwał się Dengler.

Przytaknęła.

- W jaki sposób będzie pani obchodziła urodziny człowieka, który w ogóle się nie odzywa? - zapytał Dengler, gdy zamknęła drzwi wejściowe.

- Tato, to ja. Przyprowadziłam gościa! - zawołała Ilona Sternberg głośno i radośnie, wchodząc do mieszkania. Otworzyła drzwi do kuchni.

Georg Dengler zobaczył pochylone plecy starego człowieka.

- Dzień dobry, panie Sternberg - powiedział na powitanie. Postać przy oknie nie poruszyła się.

- Mam dla pana serdeczne pozdrowienia od Kurta. Pozdrowienia od Kurta Rotha.

Mężczyzna w oknie odwrócił się. Powoli, małymi ruchami na palcach nóg niczym marionetka.

- Od Kurta Rotha, zna go pan przecież - kontynuował Dengler.

Mężczyzna spojrział na niego, ale nie odezwał się nawet słowem.

39. Rankiem owczarek dostał do jedzenia

Rankiem owczarek dostał do jedzenia gotowane kartofle. Gospodarz wyszedł z domu i postawił przed zwierzęciem stary, emaliowany garnek. Blackmore widział, jak z garnka unosiło się jeszcze nieco pary.

Pilot był głodny.

Pies zaczął jeść natychmiast i zachłannie.

„Jutro będę jadł kartofle”.

Kiedy gospodyni nakarmiła krowy, zeskoczył na klepisko w oborze i sprawdził, co znajduje się w korycie dla bydła. Zwierzęta jadły mieszankę słomy i siekanych buraków pastewnych. Blackmore wyciągnął kawałek buraka z koryta i włożył do ust, krowy okazały się jednak szybsze. Zanim zdążył zjeść garść buraków, zwierzęta wylizywały już koryto wielkimi, szorstkimi jęzorami.

Blackmore wszedł ponownie na stryzzek z sianem. W rogu leżało kilka snopków ze słomą, w kilku miejscach leżały jeszcze kłosa, które ocalały z omłotów. Poza tym na ziemi pod słomą zobaczył pojedyncze ziarna pszenicy.

„Zrobię myszom konkurencję”.

Resztę dnia spędził na wyszukiwaniu ziaren pszenicy i wkładaniu ich do ust. Jeszcze wieczorem, zanim zasnął, pomyślał o ciepłych kartoflach.

Gdy następnego ranka chłop wyniósł na podwórze garnek z parującymi kartoflami, Blackmore czekał w kącie obory. W dłoni trzymał tylne udo zabitego kota. W nocy ściągnął z kociej nóżki resztę futra.

Kiedy tylko chłop zniknął w domu, pilot zawołał psa, który pożerał już łapczywie kartofle.

Blackmore pomachał ochłapem mięsa.

Owczarek podniósł głowę znad rondla i ruszył biegiem w jego stronę. Pilot położył

kocie mięso na ziemi. Pies rzucił się na nie i chwycił je zębami. Wówczas Blackmore ruszył pędem, chwycił garnek i zaniósł go do stodoły.

Miał wrażenie, że nigdy w życiu nie jadł tak smakowitych kartofli. Później wymknął się ponownie na podwórze i odstawił garnek. Pies, którego w duchu ochrzcił imieniem Billy, natychmiast zerwał się na równe nogi i zaczął węszyć, po chwili rozczarowany wrócił jednak na miejsce.

Następnego dnia pies zwlekał przez chwilę, zanim zdecydował się na kartoflany posi-

łek. Kocie mięso zaczynało już trącić przykrym zapachem, chociaż Blackmore w nocy obmył

je kilka razy zimną wodą w korycie dla krów. Amerykanin zaczął się denerwować. Im dłużej będzie przebywał na zewnątrz, tym większe jest niebezpieczeństwo, że w końcu zostanie od-kryty. Tego jednak ranka Billy zdecydował się na danie z kociego mięsa, a po chwili nic nie zostało z zaoferowanego mu ochłapu.

40. Oczy starego człowieka rozbłysły

Oczy starego człowieka rozbłysły.

- Kurt Roth, przecież pan go zna - powtórzył Georg Dengler. Stary mężczyzna spoglądał na niego z zainteresowaniem i jednocześnie czujnymi oczyma.

„Ten człowiek rozumie każde słowo” - pomyślał detektyw.

- Mam przekazać panu gorące pozdrowienia od Kurta - powtórzył Dengler.

Fritz Sternberg spoglądał na niego tak jakby czekał na coś. „On chce żeby kontynuował”.

- Jestem prywatnym detektywem - podjął Dengler. Mężczyzna spojrział na niego kolejny raz oczyma, w których pojawiły się błyski.

- Pracuję na zlecenie pana córki i pana syna.

Żadnej reakcji, ale wciąż dało się dostrzec zainteresowanie. Nagle, pod wpływem impulsu, Dengler dodał:

- Czy przypomina pan sobie jeszcze Hotel Zamkowy? Jako dziecko bawił się pan przecież w tej okolicy z przyjaciółmi, przecież pan pamięta?

Twarz Fritza Sternberga pojaśniała, po czym na jego obliczu pojawił się uśmiech.

Później przytaknął.

- Mój Boże! - Dengler usłyszał obok siebie cichy głos Ilony Sternberg.

- To były dobre czasy, prawda? - kontynuował Dengler. Starzec ponownie kiwnął głową.

- Pana dzieci pragną się dowiedzieć, dlaczego pana ojciec przepisał własność Hotelu Zamkowego na rzecz rodziny Rothów.

Na twarzy starego człowieka natychmiast pojawił się cień, przestał się uśmiechać.

„On wie. On wie wszystko”.

- Proszę, niech nam pan pomoże. Co się wtedy wydarzyło? Twarz starca wyrażała teraz wyłącznie przygnębienie.

- Panie Sternberg. Czy pan mnie słyszy?

Stary człowiek wyciągnął prawą rękę w stronę oparcia krzesła i chwycił je mocno. Ilona Sternberg, która stała za Denglerem, wysunęła się naprzód.

- Tato - powiedziała cicho. - Proszę, pomóż nam ten jeden raz. Tylko ten jeden jedyny raz. Dlaczego dziadek oddał hotel?

Fritz Sternberg spojrział na córkę tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

Nie odezwał się jednak nawet słowem.

„Ona wszystko zepsuje”.

- Do jasnej cholery, tato, czy nie możesz pomóc nam ten jeden, jedyny raz?!

Starzec nie odrywał wzroku od córki. Później obrócił się i małymi kroczkami ruszył

ponownie w stronę okna.

„Koniec audiencji”.

Dengler usłyszał, jak Ilona Sternberg wciąga powietrze ze wściekłością. Za chwilę obrzuci starca obelgami. Położył rękę na jej ramieniu w uspokajającym geście. Oddychała, głośno charcząc. W tym momencie w drzwiach wejściowych zachrobotał klucz. Dengler odwrócił się. Robert Sternberg stał w progu, zlany potem, z trudem oddychając. Wszedł do kuchni i rozejrzał się. Nie zważając na siostrę i Denglera, podbiegł do ojca, który stał przy oknie. Wziął

starego człowieka w ramiona.

- Tato, co oni ci zrobili?

Fritz Sternberg pozwolił na to, co się stało, zupełnie nie reagując.

- Natychmiast wynoście się stąd! - wykrzyknął Robert Sternberg. - Oboje!

Ilona Sternberg obróciła się i opuściła szybkim krokiem mieszkanie. Robert Sternberg spojrzał na Denglera.

- Pana praca dla nas dobiegła końca. Niech pan wystawi nam ostateczny rachunek, ale teraz proszę stąd wyjść.

Georg Dengler obrócił się i wyszedł na ulicę.

Ilona Sternberg odjechała już swoim porsche. Dengler ruszył piechotą wzdłuż głównej ulicy Gündlingen do siedziby firmy Sternbergów. Kluczyki oraz papiery wozu oddał kobiecie na recepcji.

Brnąc w śniegu dotarł do dworca kolejowego i wrócił do Stuttgartu.

41. Czwartej nocy

Czwartej nocy Steven Blackmore zastrzelił młodego lisa, który kręcił się w pobliżu rzeki. Zaniósł upolowane zwierzę w zarośla i odczekał wieczność, sprawdzając, czy pojawi się ktoś, kto mógł usłyszeć strzał. Ściągnął skórę z lisa i zakopał ją w leśnej ściółce. Potem podzielił tuszkę zwierzęcia. Lisie mięso. Być może on sam mógłby to...? Odrzucił jednak tę myśl natychmiast. Ogień w środku lasu natychmiast by go zdradził. Jednak Billy z pewnością się ucieszy.

Billy, oczywiście, bardzo się ucieszył. Rondla z ziemniakami nie ruszył w ogóle, gdyż już wcześniej zwiertzył zapach, który zdradził mu, że jego czarnoskóry przyjaciel przyniósł mu dzisiaj coś specjalnego. Merdając ogonem i nie ruszając się z miejsca, czekał na Blackmore'a, który rzucił mu duży ochłap mięsa.

Piątego dnia - Billy zajął się właśnie kolejną dużą porcją lisiej padliny - Steven Blackmore usłyszał za sobą krzyk. Gospodarz biegł w jego stronę. Z widłami w ręku.

Mężczyzna był niski, krępej budowy, miał zaokrągloną twarz, kartoflany nos, na któ-

rego czubku widać było siatkę czerwonych i niebieskich żyłek. W pierwszej chwili jego wygląd skojarzył się Amerykaninowi z *Red Necks* - mieszkańcami wiosek z południa Stanów Zjednoczonych, którzy nienawidzili czarnoskórych. Blackmore przeraził się i instynktownie zachował się w taki sposób, jak zrobiłby to na Południu - wyciągnął lewą rękę, chcąc zademonstrować pokojowe zamiary. Chłop był jednak przekonany, że to on jest silniejszy i uniósł widły.

Wtedy Blackmore wyjął pistolet, odbezpieczył i wycelował w głowę mężczyzny. Gospodarz zatrzymał się i stanął jak wryty.

Krótkim ruchem pistoletu Blackmore dał znak ciężko oddychającemu Niemcowi, żeby odłożył widły. Mężczyzna upuścił narzędzie. Billy w tym czasie zeżarł także ziemniaki i podszedł, machając ogonem, do czarnoskórego pilota. Blackmore rzucił mu ostatni kawałek mięsa tuż przed pysk, a pies chwycił go z wyrazem błogostanu na pysku.

Powoli, krok po kroku, Blackmore cofał się. Trzęsącego się ze strachu chłopca nie spuszczał z oka.

„Ta kryjówka jest już spalona” - stwierdził ze smutkiem.

Gdy znalazł się za stodołą, ruszył biegiem tak szybko, jak mógł. Przebiegł przez wiejską drogę, później podbiegł w górę skarpy ku zaroślom. Pędził do chwili, kiedy jego płuca niemal rozrywały się ze zmęczenia, gdy po prostu nie mógł gnać już dalej. Wtedy się zatrzymał.

Dopiero w tym momencie zaczął się zastanawiać. Oparł się plecami o pień drzewa.

Kaszlał. Szwaby wkrótce zaczną go szukać. Usłyszał z dala ciężkie dudnienie artylerii. Front był coraz bliżej. Za kilka dni będą już tu amerykańskie wojska. Do tego czasu musiał się gdzieś ukryć.

Ale gdzie?

Sójka rozpoczęła alarm i usiadła na gałęzi świerka zaledwie kilka metrów od niego.

Czy mięso tego ptaka można jeść?

Ostrożnie uniósł pistolet. Sójka odleciała jednak skrzecząc, zanim Blackmore zdążył wycelować.

„Na drzewie. Ukryję się na drzewie”.

Zdyszany podbiegł do świerka i chwycił najniższe gałęzie.

Podciągnął się do góry, po czym przeciskał się przez gęsto rosnące konary drzewa, którego igły wkrótce go skryły. Wszedł niemal na sam czubek.

Usiłował zwalczyć gnębiący go głód, żując igły świerka do chwili, gdy w ustach robiła się z nich gorzka breja. Wtedy połykał przezutą papkę.

Wczesnym popołudniem usłyszał szczekanie psa. Odniósł wrażenie, że szczekanie dobiegło z daleka. Później znów zapadła cisza. Blackmore zastanawiał się, czy powinien spędzić noc na ziemi. Przez chwilę myślał nawet o tym, żeby na nocleg wrócić do stodoły.

Przecież tam już nikt nie będzie go szukał.

Wtedy znów rozległo się szczekanie psa. Tym razem dużo bliżej.

Cisza.

Zwierzę ponownie zaszczekało. Całkiem blisko. Na ziemi, przy pniu drzewa stanął pies i zaczął skamleć.

Blackmore powoli schodził w dół. Gałęzie wyrastały blisko pnia i zejście zajęło mu więcej czasu niż zakładał. W końcu zobaczył psa.

Billy.

Blackmore wyciągnął pistolet, położył lufę na rękę i wycelował w głowę zwierzęcia.

Zawahał się.

Po czym zeskoczył na ziemię.

Billy nie wiedział, co robić z radości. Wydawał się cieszyć, że odnalazł człowieka, który dostarczał mu mięso. Blackmore próbował chwycić go za pysk, ale pies wyrwał się i szczekał głośno z radości.

„Nie ma już więcej mięsa, Billy!”.

- *Hands up!* - usłyszał jakiś głos.

Steven Blackmore podniósł wzrok i zobaczył wylot lufy niemieckiego karabinu. Młody mężczyzna w mundurze powtórzył polecenie:

- *Hands up!*

Później żołnierz zawołał coś głośno po niemiecku i pojawili się kolejni żołnierze z bronią wycelowaną w Blackmore'a. Podniósł ręce do góry.

„OK, jestem zatem jeńcem wojennym”.

Żołnierzy, którzy prowadzili go przez las, było pięciu. Odebrali mu pistolet oraz nóż.

Miał przeciw sobie pięć karabinów.

„Nie mam najmniejszej szansy na ucieczkę”.

Zaprowadzili go z powrotem na drogę, potem do gospodarstwa. Zawołali gospodarza.

Ten spojrział na czarnoskórego pilota i przytaknął bez cienia wrogości. Jak ktoś, kto stwierdza, że tego kurczaka zaszlachtujemy dzisiaj.

Młodszy ze Szwabów chyba dowodził pozostałym. Coś krzyknął, a oni natężyli uwagę.

- *Go on* - powiedział do Blackmore'a i wylotem lufy karabinu wskazał tory kolejowe.

Blackmore ruszył powoli. Rozejrzał się wokół siebie. Pozostali czterej żołnierze poszli za nim. Weszli na kolejowy most.

- *Go on!* - ponownie wykrzyknął młody Niemiec, wskazując bronią wejście do tunelu.

„Może uda mi się uciec w tunelu?” - pomyślał więzień.

Ruszył przed siebie.

Kiedy zbliżyli się już do wejścia do tunelu, Blackmore usłyszał niski buczący odgłos.

Silniki. W tym samym momencie jego strażnicy coś krzyknęli i rozbiegli się, szukając schronienia we wnętrzu tunelu. Blackmore stał w miejscu.

Zobaczył trzy myśliwce typu Lightning w locie nurkowym, które sunęły ponad doliną.

Samoloty właśnie skręcały w lewo. Leciały dokładnie w stronę mostu.

Blackmore podniósł ręce do góry. Zaczął wiwatować. Machał do swoich towarzyszy broni.

Eleganckie dwukadłubowe myśliwce zeszły nieco niżej. Kątem oka Blackmore dostrzegł niemieckich

żołnierzy stojących przy wejściu do tunelu. Młody żołnierz, który mówił

łamaną angielszczyzną, dawał mu znaki, żeby ruszył biegiem i skrył się przy moście.

Myśliwce dotarły już na miejsce. Otworzyły ogień w jego stronę zaledwie niecałe sto metrów od mostu.

Blackmore dostrzegł ogień w wylocie luf dziewięciu karabinów maszynowych i rzucił

się na ziemię między torami. Po lewej i po prawej zaczęły uderzać pociski. Kiedy trzy maszyny minęły go w locie, spadł na niego deszcz pustych łusek.

Zerwał się na równe nogi i natychmiast poczuł piekielny ból. W prawej łydce. Przyklęknął i upadł na szyny. Spojrzał na nogę. Spodnie na łydce i kolanie zabarwiły się na czerwono. Mocno krwawił. Kula utkwiała w nodze.

Zobaczył teraz, jak trzy myśliwce znów wykonują ostry zakręt w lewo, po czym piloci poprowadzili maszyny w górę. Znał dobrze ten manewr.

Za chwilę znowu tu będą.

Z trudem podniósł się na nogi. Zrobił krok prawą nogą i znów upadł. Uderzył głową o szynę i na kilka sekund stracił przytomność. Kiedy się ocknął, widział wyraźnie nadlatujące samoloty. Ponawiały atak.

„Czyż oni nie widzą, że strzelają do swojego?! Do mnie, do czarnego?”.

Nagle młody niemiecki żołnierz znalazł się przy nim. Chwycił go prawą ręką za barki i podniósł, wlokąc w stronę tunelu. Za nimi rozległy się metaliczne odgłosy kul odbijających się od szyn.

Obaj upadli na ziemię. Ból w łydce był nie do wytrzymania. Pulsujący ogień. Krew z nogi zabarwiła na ciemno kolorowy żwir. Teraz dostrzegł, że w tunelu znajdowali się nie tylko jego strażnicy i on. Niedaleko zobaczył kobiety z dziećmi przytulone do wilgotnych ścian.

Żadne z dzieci nie wydało z siebie głosu. Wszyscy zdawali się spoglądać nienaturalnie wielkimi oczyma. Patrzyli na niego, jednak nikt nie odezwał się nawet słowem.

Jakiś chłopiec, który pełnił straż przy wejściu przy tunelu, zawołał coś po niemiecku.

Kobiety chwyciły mocniej dzieci i przyciągnęły je do ściany. Również żołnierze z jego patrolu przylgnęli do ściany.

Blackmore spojrział w stronę wyjścia z tunelu. Zobaczył dwa myśliwce lecące bezpo-

średnio nad szynami tak nisko, że pilot przez chwilę pomyślał, że zamierzają wlecieć do tunelu.

Samoloty oddały salwę w kierunku wlotu do tunelu, po czym maszyny zostały pode-rwane do góry i

zniknęły.

Wewnątrz nikt nie został ranny. Żołnierze odczekali kilka minut i wyszli, nie odzywając się nawet słowem. Młody przywódca wydał kilka rozkazów podległym sobie towarzyszom broni. Dwóch mężczyzn chwyciło Blackmore'a pod ramiona. Pozostali wycelowali w niego broń. Potem, kuśtykając, wyszedł razem ze strażnikami z tunelu. Poprowadzili go teraz krótkim odcinkiem wzdłuż torów, a później zeszli bokiem skarpy na drogę i ruszyli w stronę Gündlingen. Zaprowadzili amerykańskiego jeńca do strażackiej remizy. Miejscowa straż wciąż jeszcze była zajęta w Bruchsal, gdzie cały czas miała mnóstwo roboty.

W remizie przywiązali go do kraty, na której wisiało kilka starych sikawek oraz inne elementy strażackiego wyposażenia. Młody żołnierz mocno przywiązał Blackmore'a, wykonując wydany rozkaz, po czym zniknął. Po chwili pojawił się lekarz, który oczyścił i opatrzył

ranę Amerykanina. Żaden z nich nie odezwał się do niego nawet słowem.

Gdy obaj mężczyźni odeszli, Blackmore pozostał sam w strażackiej remizie. Rozejrzał

się dookoła. Jego więzieniem była stara drewniana szopa z udeptanym klepiskiem z piaszczystej gleby zmieszanej z gliną.

Próbował targnąć więzami, były jednak mocno zaciągnięte. Nie będzie w stanie się uwolnić.

Nagle drzwi otworzyły się i do środka remizy wbiegli dwaj chłopcy. Spoglądali ze strachem na związanego Amerykanina. Blackmore natychmiast ich rozpoznał, widział ich wtedy przy kokpicie zestrzelonego mustanga.

- *Help me* - powiedział do podrostków i znów szarpnął pętami.

W tym momencie przestraszeni chłopcy natychmiast wybiegli z pomieszczenia.

Na zewnątrz na placu przed remizą dało się słyszeć komendę.

42. To przecież nie jest sprawa kryminalna

- To przecież nie jest sprawa kryminalna - skomentował Martin Klein, gdy Dengler opowiedział im, jak dla niego zakończyła się sprawa Sternbergów. Siedzieli w barze Becher: Georg Dengler, Olga, Martin Klein, nieco później dołączył do nich także Leopold Harder.

Wprawił zebranych w osłupienie, wygłaszając swoje tezy na temat polityki i gospodarki.

- W Niemczech wcale nie ma kryzysu - oznajmił. Po czym przystąpił do uzasadnienia tej tezy.

- Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku produkt narodowy Republiki Federalnej, czyli suma wszystkich wyprodukowanych towarów oraz wyświadczonych usług, zwiększył się ponad dwukrotnie, ale gdy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku liczba bezrobotnych była niewielka, to w dwa tysiące drugim roku przekroczyła już cztery miliony i to w całych Niemczech. W tysiąc

dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku liczba osób od-bierających pomoc socjalną wynosiła mniej więcej półtora miliona, a w roku dwutysięcznym w całych Niemczech takich osób było już ponad cztery i pół miliona. Cóż to za gospodarka, w której podwojenie wielkości obrotów powoduje wzrost nędzy i ubóstwa w społeczeństwie?

- Hm, ale nie chcesz chyba podawać w wątpliwość tego, że gospodarka jednak znajduje się w kryzysie? - zapytał Martin Klein, kiwając głową.

- Cóż... - podjął Harder. - Tylko dlatego, że wszystkie gazety o tym piszą, że wszystkie wiadomości to powtarzają, że wszyscy politycy o tym mówią, nie musi to wcale być prawda.

Liczyby bezwzględne pokazują zupełnie coś innego. Nasuwa się całkiem inne pytanie.

- Gdzie jest kasa? - wtrącił Dengler.

- Obaj wiemy, gdzie jest forsa - dodał Klein i wskazał na Denglera.

- W kieszeniach miliarderów - odparł Georg.

- Właśnie.

Olga odciągnęła Georga na stronę.

- Wyglądasz na bardzo wyczerpanego - zauważyła. - Może powinieneś pojechać na urlop? - Przez moment jakby się nad czymś zastanawiała. - Co z twoimi planami podróży do Chicago?

- Potrzebuję jeszcze kilku zleceń, dzięki którym zarobię nieco więcej niż w przerwanej sprawie Sternbergów - odparł.

Na słowo „Sternberg” Harder spojrzał w jego stronę.

- Właśnie, słuchaj - zwrócił się do detektywa. - Zdobyłem dodatkowe informacje na temat firmy produkującej systemy mocujące.

- To już go nie interesuje - wtrącił Martin Klein. - Zleceniodawcy podziękowali mu za współpracę.

- Wciąż jednak mnie to interesuje - sprostował Georg.

- Oni wprowadzają nowy produkt.

- Tak, zabawkę. Montuje się razem sztabki, podobnie jak klocki Lego - powiedział

Dengler.

„Niestety, te sztabki jakoś nie chcą działać prawidłowo” - dodał w myślach.

- Koszty wprowadzenia na rynek są ogromne. Nie tylko produkcja, maszyny, opako-wania, ale także

telewizyjny spot, prospekty oraz budowa sieci dystrybucji. Są niestety na granicy zdolności kredytowej. Firma postawiła wszystko na tę kartę. Jeśli coś się nie powiedzie, będą bankrutami.

„Dlatego Ilona Sternberg tak pilnie chce przejąć Hotel Zamkowy!”

- To już nie jest moja sprawa, ale dzięki za wysiłek - podjął Dengler. - Obawiam się, że jestem ci winien jeszcze kilka piw.

Harder roześmiał się i przyjaźnie machnął ręką w jego stronę.

- Nie ma problemu.

Dengler znów zwrócił się w stronę Olgi. Spojrzał w jej oczy.

Hoodoo, hoodoo Man

Make this woman understand.

Gdzieś w tyle głowy usłyszał śpiew Juniora Wellsa.

Spojrzała na niego i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Kiedyś przyjdą także duże zlecenia - pocieszyła go. - Wiem to, ale na urlop powinieneś wybrać się teraz. Pożyczę ci pieniądze. Oddasz mi, kiedy dostaniesz te dobrze płatne sprawy.

Georg roześmiał się i pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Któż wie, czy w ogóle kiedykolwiek takie się zdarzą? Jej propozycja bardzo go jednak ucieszyła.

43. Następnego dnia

Następnego dnia wyruszył porannym pociągiem. W Karlsruhe wsiadł do ekspresu, a we Freiburgu miał natychmiast połączenie do Neustadt.

Tym razem również prawie jej nie rozpoznał, gdy wszedł do pokoju z czterema łózkami i zobaczył znajdujące się tam kobiety. Matka leżała na najdalszym łóżku przy ścianie. Naprzeciwko łóżek, na ścianie, wisały trzy telewizory. Były włączone, dźwięk był jednak wy-ciszony.

Matka miała zamknięte oczy i wydawało się, że śpi. Jej twarz była blada, a usta zapadnięte jak u staruszki, która wyciągnęła sztuczną szczękę. Czyjego matka nosiła protezę?

Tego nie wiedział.

Miała na sobie jasnobezową koszulę nocną. Kiedy po raz ostatni widziałem matkę w koszuli nocnej? Nie mógł sobie przypomnieć. Nigdy. Zawsze wstawała pierwsza. Później ojciec, po czym ona przychodziła go obudzić. Energicznie.

Wchodziła do pokoju, otwierała okno, odsuwała okiennice i wpuszczała do środka światło oraz zimne powietrze.

- Wstawaj, Georg, Bóg podarował ci nowy dzień - te słowa powtarzała każdego dnia.

Później nie mógł po prostu znieść tego zdania.

Kiedy przychodziła budzić go, zdążyła już wydoić krowy i przygotować kawę.

„Wpoila we mnie nawyk wczesnego wstawania”.

Po śmierci ojca każdego ranka jadał śniadanie razem z matką. Opowiadała mu o krowach, o wydarzeniach ostatnich dni. Każdego ranka Georg milczał.

„Także dzisiaj nie jestem zbyt rozmowny rano”.

Każdego ranka chciała wiedzieć, co powinna ugotować na obiad. Także to pytanie w końcu zniecierpliwiła. Przecież zawsze gotowała to, co sama sobie wymyśliła. Chcąc uniknąć potoku słów, Georg uciekał do świata wyobraźni. Przeistaczał się w pilota i latał po całym świecie. Jako pirat rabował statki na morzach i oceanach całego globu.

Nauczył się też czytać.

Żeby uniknąć konieczności rozmawiania przy śniadaniu, wpatrywał się w litery na puszcze z kawą marki Caro tak długo, aż nauczył się ich na pamięć. Później zapytał matkę o znaczenie poszczególnych liter. Nie mówił nic więcej.

„Moja pierwsza poranna lektura: puszka kawy Caro lub puszka kawy Kathreiners.

Tylko po to, by uniknąć wymuszonej rozmowy”.

Wkrótce też nauczył się czytać informacje znajdujące się na opakowaniu kilońskich płatków zbożowych.

Później, kiedy siostry matki przychodziły z wizytą wraz z mężami i zasiadały do kawy lub gdy po obiedzie wypijano pierwszy kieliszek ziołowego likieru Underberg, matka nieraz go prosiła:

- Przynies puskę kawy Kathreiners.

Biegł wtedy do kuchni i wracał z puszką.

- Teraz przeczytaj nam na głos.

- Dzieci, które piją Kathreiners, są zdrowe i silne.

Georg odwrócił nieco puszkę, by móc wygodniej czytać.

- Kawa zbożowa Kathreiners firmy Kneipp.

Wujek Peter nie dawał temu wiary, wziął puszkę, nałożył okulary i przeczytał na głos osobiście całe zdanie.

- Rzeczywiście.

Spojrzał na siostrzeńca i pokiwał z niedowierzaniem głową.

- On zostanie proboszczem, skoro jest takim zmyslnym brzdącem.

Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął portmonetkę. Najczęściej dawał mu wtedy dziesiątaka. Po czym zwracał się do pozostałych wujków:

- Teraz wy dajcie chłopakowi także jakiś grosik. On przecież musi ćwiczyć zbieranie na tacę, jeśli kiedyś ma zostać proboszczem.

Matka promieniała z dumy.

Teraz leżała przed nim z zamkniętymi oczami i w nocnej koszuli, która wyglądała niczym żałobna szata. Prawie nie oddychała. „Tak bardzo się cieszyła, kiedy zostałem policjantem”.

- Georg, czy to ty? - stęknęła cicho, nie otwierając oczu.

- Tak, mamó. To ja.

- Muszę pójść do ubikacji.

- Zawołam siostrę. Poczekaj chwilę.

- Nie.

- Jesteś w stanie pójść sama?

- Zaprowadzisz mnie. Nie znoszę obcych ludzi. „Jak cicho brzmi jej głos”.

Do prawej ręki przyczepiono jej kroplówkę, dlatego lewą powoli zsunęła kołdrę na bok.

Koszula nocna była podciągnięta do góry niemal aż po same biodra. Odniósł wrażenie, jakby po raz pierwszy widział jej nogi. Są chude, a białozółta skóra budzi w nim odpychające od-czucie. Pomarszczone ciało zwisa, odchodząc od kości udowej. Gdy zsuwa się z łóżka, koszula przez moment podsuwa się jeszcze wyżej, odsłaniając pozbawione włosów łono.

Dengler czuje w sobie nagły impuls, by natychmiast uciec z pokoju. Ona stoi już jednak obok niego i trzyma się lewą dłoni stojaka na kroplówkę. Kroplówkę z bezbarwnym płynem.

Drugą dłonią szuka jego ramienia.

„To jest twoja matka” - słyszy nagle szept Olgi.

Bierze ostrożnie jej lewą dłoń, ona zaś trzyma się go kurczowo. Powoli prowadzi ją dookoła łóżka, po czym na korytarz i do drzwi toalety.

Tych kilka kroków zupełnie ją wyczerpało.

Przy muszli klozetowej matka podnosi koszulę do góry, jakby była zupełnie sama, potem siada. Kiedy się załatwia, jej twarz wykrzywia się w grymasie bólu. Georg nie wie, co sprawia jej ból, ale wciąż trzyma jej dłoń.

Pragnie stąd uciec. Nie chce widzieć nagiej matki, jej starego, zmęczonego pracą ciała, mimo to idzie obok niej do toalety, rozmawia z nią słowami, które wydają mu się absurdalne.

Ta prosta i całkiem naturalna czynność jego matce sprawia ogromne cierpienie, które jest tak silne, że zapomina o wstydzie wobec własnego syna - ból jest tak dojmujący, że w ogóle zapomina o wstydzie.

Kiedy wreszcie skończyła, podmył ją wilgotną szmatką i zaprowadził z powrotem do łóżka. Wydała z siebie głośne stęknienie, kiedy wyciągnęła się na łóżku.

Georg Dengler został w Altglashütten przez tydzień. Wstawał wcześnie, pomagał pani Willmann w prowadzeniu pensjonatu. Dwa razy dziennie jeździł pociągiem do szpitala, a wieczorem kładł się wcześnie do łóżka. W telewizji widział, że partie, które zwołały szczyt w sprawie bezrobocia, wykorzystają to zjawisko do obniżenia podatku dla przedsiębiorstw do-kładnie tak, jak przewidział Leopold Harder. Czasami dzwonił wieczorami do Olgi. Zachęcała go do pozostania przy matce i opiekowania się nią. Mówił o swoim wstydzie, o wychudzonym i nagim ciele matki. Fakt, że go słuchała, pomagał mu w tych dniach bardziej niż sobie to uświadamiał.

Dopiero kiedy matkę przewieziono do kliniki rehabilitacyjnej w Radolfzell, wyjechał z Altglashütten. Kiedy we Freiburgu wsiadał do ekspresu INTERCITY, zauważył, że na dworze nie ma już śniegu. Słońce świeciło. Nadeszła wiosna.

44. Wieczorem

Wieczorem wszyscy jego przyjaciele zebrali się w barze Basta. Martin Klein zajął

miejsce u szczytu dużego stołu, Olga siedziała między nim a Leopoldem Herderem, który, wykonując zamaszyste gesty, wyjaśniał jej treść jakichś kolorowych tabel. Olga przyglądała się im bardzo skoncentrowana i od czasu do czasu przerywała mu, zadając dodatkowe pytania.

Klein co jakiś czas kiwał z niedowierzaniem głową i napełniał kieliszki.

Georg Dengler został przy barze i spoglądał w ich stronę.

„Teraz to moja rodzina” - pomyślał i poczuł, jak przepelnia go głęboka wdzięczność.

Olga wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Kiedy na moment podniosła wzrok, dostrzegła go siedzącego przy barze. Uśmiechnęła się i pomachała w jego stronę. Zerwała się na równe nogi, podeszła do niego i cmoknęła go w policzek. Następnie wzięła go za rękę i zaprowadziła do stolika, przy którym siedzieli jego przyjaciele. Łysy kelner przyniósł już dodatkowy kieliszek, a Klein napełnił go winem Grauburgunder.

Dengler usiadł, upił łyk wina, po czym opowiedział o swojej matce. Ze owszem, czuje się już lepiej. Jest w tej chwili w klinice rehabilitacyjnej. Zostanie tam co najmniej cztery tygodnie, być może nawet sześć.

- To się dobrze składa - oświadczył Martin Klein.

- Mamy dla ciebie niespodziankę - wyrwało się Oldze.

- Coś, co ma termin ważności - dodał Leopold Harder tajemniczym głosem.

Dengler spoglądał na przyjaciół zdumionym wzrokiem.

- Hokus pokus fidybus - dodała Olga. - Zajrzyj do wewnętrznej kieszeni swojej marynarki.

- Mojej marynarki?

Georg Dengler sięgnął zdumiony do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął białą kopertę, nie miał pojęcia, w jaki sposób tam się znalazła.

- No, otwórz ją! - wykrzyknęła podekscytowana Olga. Dengler rozerwał kopertę i wyciągnął z niej bilet lotniczy.

Stuttgart-Chicago. Ważny dziesięć dni.

- Tego... Tego nie mogę przyjąć - wydusił z siebie, jednak przyjaciele wyśmiali go, a Martin Klein wznosił kieliszek.

- Za Chicago!

- Za party u miliarderów też - wyszeptała Olga tak cichym głosem, że Georg nie mógł jej usłyszeć.

45. Sweet Home Chicago

Sweet Home Chicago

Come on, baby don't you want to go

Come on, baby don't you want to go

To the same old place, sweet home Chicago.

Now, one and one is two, two and two is four

I'm heavy loaded baby, I'm booked, I gotta go

Cryin' baby, honey, don't you want to go

Back to the same old place, my sweet home Chicago.

Come on, baby don't you want to go

Come on, baby don't you want to go

To the same old place, sweet home Chicago.

Airbus wykonał szeroki łuk nad wodami jeziora Michigan i wziął kurs na międzyna-rodowy port lotniczy O'Hare, nieco na północ od Chicago.

Wielki wieżowiec, który stał nad samym jeziorem, to zapewne Hancock Tower. Dalej z tyłu, jeszcze wyższy - to mógł być tylko Sears Tower. Chicago Downtown leżało w dole. Z

imponującymi wieżowcami, stanowiło zaledwie drobną cząstkę ogromnego miasta. W rzeczywistości składało się ono ze zbiorowiska osad i małych miasteczek, z których każde miało własny, etniczny charakter, własne centrum oraz własne życie.

Spojrzał na jezioro, wielkie niczym morze, do którego przytulone było miasto. Dostrzegł też pasek piaszczystej plaży, który ciągnął się z białą łachą wzdłuż drapaczy chmur i niknął gdzieś na linii horyzontu. Z tyłu, niemal bez końca, barwy niebieskoszarej, ciągnęła się dzielnica South Side, murzyńskie getto. Gdzieś tam znajdował się bluesowy klub Therasas Lounge. Być może dotrze tam jeszcze tego wieczoru.

Samolot wylądował łagodnie i zaczął kołować po płycie lotniska. Upłynęło jednak prawie pół godziny, zanim wreszcie dotarł do wyznaczonego miejsca. Kontrola paszportowa przebiegła zdumiewająco szybko i sprawnie. Dengler ustawił się w ogonku czekających, który utworzył się przy niebieskiej linii wymalowanej na posadzce. W końcu stanął przed roslym, czarnym celnikiem, który zapytał go o powód jego pobytu w Stanach Zjednoczonych.

- Chcę posłuchać bluesa.

Celnik spojrział na niego zaskoczony i upewnił się, czy rzeczywiście był to powód, dla którego przyleciał zza oceanu. Dengler natychmiast dostał pozwolenie przejścia dalej, ponieważ odpowiedział na to pytanie twierdzącym skinieniem głowy.

Dengler wyszedł przez drzwi hali przylotów i natychmiast ogarnęła go fala ciepła.

Przez chwilę stał w miejscu, a wyjście z hali lotniska zamknęło się za nim z sykiem.

Letni upał zaskoczył go. Oceniał temperaturę na 28 stopni Celsjusza. Z przewodnika turystycznego wiedział, że lotnisko O'Hare łączyła z centrum miasta linia kolejowa. Rzeczywiście, znalazł niewielką kolejkę, zdziwił się jednak, że nie trzeba było kasować biletów. Gdy jednak przejechał dwie rundy, stwierdził, że była to linia łącząca poszczególne części ogromnego lotniska. Wsiadł więc na następnym przystanku i zupełnie stracił orientację - nie znalazł

właściwej linii kolejowej i w końcu wsiadł do taksówki.

Ogromny, pomalowany na zielono wóz kolebał nim, gdy jechał niekończącą się auto-stradą i w końcu dotarł do hotelu, który zamówił jeszcze w Stuttgarcie przez Internet. W recepcji pokazał formularz rezerwacji, jaki wydrukował w swoim biurze, i natychmiast otrzymał

niewielką kartę chipową, która służyła za klucz do pokoju. Wkrótce znalazł się w niewielkim apartamencie na dziewiątym piętrze hotelu i spoglądał przez panoramiczne okno.

Krótko po ósmej złapał na ulicy przed hotelem dużą, zieloną taksówkę. Zanim zdążył

wyjaśnić kierowcy, młodemu Pakistańczykowi, dokąd chce jechać, ten już ruszył z miejsca.

- Niech mnie pan zawiezie na Indiana Avenue, róg Czterdziestej Siódmej - powiedział

do kierowcy. Pakistańczyk zjechał natychmiast na pobocze jezdni, zatrzymał się i odwrócił do Denglera.

- Sir, ta okolica jest zbyt niebezpieczna dla turysty. Czego pan tam szuka?

Dengler się zdziwił.

- Zamierzam pójść do bluesowego klubu.

- Tamta okolica jest zbyt niebezpieczna. Zawiozę pana do klubu tutaj, bliżej, gdzie jest całkiem bezpiecznie.

Dengler roześmiał się.

- Nie, chcę pojechać do tamtego klubu.

- Przykro mi, ale nie pojedę na Indiana Avenue. Dengler wysiadł. Zatrzymał następną taksówkę.

- Indiana Avenue, róg Czterdziestej Siódmej - powiedział, zanim wsiadł.

Kierowca bez słowa nacisnął gaz i zostawił go stojącego na poboczu jezdni. Dengler zdumiony spojrzął za znikającym samochodem. Dopiero trzecia taksówka zabrała go tam, gdzie chciał. Kierowca wiózł go przez gmatwaninę ulic i w końcu dojechali do szerokiej promenady nad jeziorem.

Lake Shore Drive.

Dengler znał tę słynną ulicę z powieści Sary Paretsky. Jej bohaterka, prywatny detektyw o nazwisku Warshawsky, często jeździła tą ulicą w poszukiwaniu ciemnych typów, któ-

rymi najczęściej bywali oszuści i hochsztaplerzy ze świata gospodarki. Dengler lubił przygody swojej słynnej na cały świat koleżanki. Kiedyś wchłonął wszystkie powieści Sary Paretsky, później jednak autorka najwyraźniej straciła zainteresowanie swoją bohaterką. Powieści uka-zywały się rzadziej, ale Dengler zapamiętał dwa istotne miejsca akcji: Lake Shore Drive oraz Loop.

Wyrzał przez okno. Po lewej stronie biegła promenada, znajdował się tutaj też port dla jachtów, a po prawej wznosił się ku niebu wieżowiec Hancock Tower, ulokowany między budynkami Sea Side. Zobaczył Shedd Aquarium, Field Museum po lewej stronie oraz niezliczone linie kolejowe po prawej, które uczyniły kiedyś z Chicago stację węzłową łączącą rol-nicze stany wschodu z wielkimi miastami zachodu. Taksówka przejechała obok Station Soldier Field, a Dengler przypomniał sobie płytę koncertową rockowego zespołu Grateful Dead, która została kiedyś nagrana właśnie w tym miejscu.

Później wygląd ulic uległ zmianie. Promenada nie była już oświetlona. Jezioro znajdowało się w półmroku po lewej stronie, a po prawej ciągnęły się tereny przemysłowe. W

pewnym momencie taksówka skręciła w prawo w szerszą ulicę, później w lewo, w wąską.

Taksówkarz zasunął szyby i z metalicznym odgłosem włączyła się automatyczna blokada drzwi.

Na ulicy prawie nie było świecących latarni. Na chodnikach przesiadywały grupy mężczyzn. Dengler dostrzegł oświetlony Liquer Shop. Przed nim zgromadził się tłum czarnych. Duże bloki mieszkalne ciągnęły się teraz wzdłuż ulicy. Niektóre z budynków były czę-

ściowo zniszczone, okna wybite lub wyrwane z ramami. Inne budynki wyglądały jak zgliszcza po pożodze.

Dengler odniósł wrażenie, że jada przez obszary, na których toczy się wojna, które znalazły się pod ciężkim ostrzałem artylerii. Teraz taksówkarz skręcił w South Indiana Avenue.

Georg Dengler skupił się. Przy następnym skrzyżowaniu była już Czterdziesta Pierwsza. Tu, o czym wiedział, bo przygotowywał się wcześniej do tej wizyty, kończyły się opisy większości przewodników po Chicago, jakby getto nie należało do miasta.

W końcu taksówkarz zatrzymał się, Dengler zapłacił i poprosił, aby zaczekał jeszcze kilka minut na wypadek, gdyby nie znalazł klubu Theresas Lounge, ale gdy tylko zamknął

drzwi, kierowca nacisnął pedał gazu i odjechał.

Dengler rozejrzał się.

Ulica tętniła życiem.

Był tu jedynym białym.

Grupki czarnych przechodziły obok niego. Dwóch mężczyzn zapytało go o coś, używając angielskiego slangu, którego nie zrozumiał. Ogarnął go strach.

Czy wyjdzie stąd cało?

Przeszedł na drugą stronę ulicy. Wtedy dostrzegł szyld: „Theresa’s Lounge - Live Entertainment. Fri. - Sat. - Sun. - Mon.: Featuring Junior Wells Band”.

Dotarł na miejsce.

46. Oddział Volkssturmu ustawił się w szeregu

Oddział Volkssturmu ustawił się w szeregu.

Około trzydziestu osób stało w szyku przed strażacką remizą w Gündlingen. Albertowi Rothowi wystarczyło tylko jedno spojrzenie: nikt z tu obecnych nie zamierzał walczyć dalej na wojnie. Dwóch dekowników uchylających się od służby wojskowej, pracujących w administracji gminy, kilku emerytów filii zakładów VEW, ulokowanej w Bruchsal, jeszcze jeden lekko ranny żołnierz oraz inni mężczyźni, którzy nie pragnęli nic poza tym, żeby zachować życie w ciągu tych mających nadejść kilku dni.

Obok Alberta Rotha stał jego syn, który obserwował z zaciekawieniem to, co się działo.

W jego oczach wszystko to było przygodą. Także kilku innych mężczyzn przyprowadziło z sobą synów, chociaż nie byli oni jeszcze w wieku poboru do Volkssturmu. Z tego samego powodu co Roth. Pragnęli, żeby oni sami oraz ich synowie przeżyli ostatnie dni wojny.

„Tutaj nie dopadnie nas pobór do Wehrmachtu”.

Już samo ich uzbrojenie wzbudzało czyści śmiech. Mieli kilka karabinów, w tym dwa czeskie zdobyczne, pięć włoskich Fucile Modello 41, trzy karabiny szturmowe MP44, z któ-

rych jeden przypadł jemu, oraz kilka granatów i trzy pancerfausty.

Roth był zdania, że poszczęściło mu się, od kiedy dowiedział się, kto jest dowódcą Volkssturmu w Gündlingen. Był nim właściciel niewielkiej fabryki, którego syn Fritz przyjaźnił się z Kurtem, synem

Alberta Rotha. Obaj chłopcy widzieli lądującego na spadochronie amerykańskiego pilota i zgłosili o tym na policji. Obiecano im nawet nagrodę. Kurt, starszy i odważniejszy z nich, zapytał, kiedy otrzymają nagrodę. Burmistrz burknął coś pod nosem „po końcowym zwycięstwie” - i po tych słowach odwrócił się bezceremonialnie.

- Baczność!

Dowódca wydał komendę bardzo energicznym głosem. W szeregu ludzi zgromadzonych w oddziale Volkssturmu z Gündlingen zapanowało lekko zauważalne napięcie. Dwaj chłopcy, którzy stali obok siebie, śmiali się głupawo. Kurt trzymał nogę uniesioną w górę, a Fritz salutował, nie mógł jednak powstrzymać się od śmiechu.

- Cisza! - krzyknął dowódca.

Wydawało się, że traktuje on swoją misję poważniej niż niemal wszyscy pozostali.

Spojrzał na ustawionych w szeregu i wściekłym wzrokiem zmierzył obu chłopców.

- Ustawić się według wzrostu! - wydał kolejną komendę. Zebrana hałastrą przegrupowała się z mozołem.

- Szybciej. Nie guzdrać się!

Chłopcy stali teraz na samym czele szeregu, Roth z kolei stał jako drugi od końca.

- Przywitamy Amerykanów zaporą czołgową. Albert Roth sądził, że się przesłyszał.

47. Dengler spojrzał zdumiony na niewielkie schodki

Dengler spojrzał zdumiony na niewielkie schodki. Za ledwie cztery stopnie prowadziły w dół, do prostych drewnianych drzwi. Wyglądały jak wejście do szwabskiego mieszkania w suterenie. Dengler nie był w stanie wyobrazić sobie, że prowadziły do jednego z najważniejszych w całym świecie klubów muzycznych. Zszedł ostrożnie czterema stopniami, gdy drzwi nagle otworzyły się. Dwóch mężczyzn wywalało trzeciego przez próg.

Prosto na Denglera.

Przewrócił się na posadzkę. Czuł, jak pada na niego jakieś ciało. Mężczyzna wionął

alkoholem. Leżał na nim ciężko i nie ruszał się. Nagle ktoś ściągnął pijanego człowieka z Georga. Jeden z dwóch mężczyzn, ubrany w podrabiany z fantazją mundur policyjny, pomógł

Denglerowi wstać i przeprosił go. Po czym zaprosił go do klubu. Kątem oka detektyw zdołał

jeszcze dostrzec, jak drugi z mężczyzn chwycił pijanego za kołnierz i wywlókł go po schodach na ulicę.

Ten w uniformie wciąż przeproszał Denglera, wyrzucając z siebie potok słów. Weszli teraz do niewielkiego holu, a później Georg znalazł się wreszcie w Theresas Lounge.

Jakaż ta knajpa była mała!

Po prawej stronie dostrzegł bar z nie więcej niż sześcioma stołkami barowymi z oparciami, po lewej stało zaś kilka stolików. Z tyłu za barem znajdowały się jeszcze trzy dodatkowe stoliki. Wszystkie miejsca były zajęte. W pomieszczeniu unosił się gęsty dym.

Dengler przeszedł obok baru. Z tyłu znajdowało się sześć kolejnych stolików, na których siedzieli gęsto obok siebie goście. Na drewnianych belkach sufitu wisiało, jak zauważył zdumiony, coś w rodzaju bożonarodzeniowych ozdób - złota lameta.

W najdalszym kącie znajdowało się niewielkie podium.

„Przecież to właściwie tylko kąt z kilkoma gniazdkami elektrycznymi”.

Perkusja stała już gotowa, obok niej kilka wzmacniaczy, dwa mikrofony oraz elektryczne pianino.

Zgromadzona publiczność była czarna. Tylko przy stoliku tuż obok baru siedziała grupa japońskich turystów, a przy samym barze stało dwóch białych Amerykanów. Jeden z nich zawiesił sobie na szyi kilka aparatów fotograficznych.

W końcu Georg dotarł do celu. Mimo to czuł się zagubiony. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Czarna kobieta uśmiechnęła się w jego kierunku. Mogła mieć z pięćdziesiąt lat. Była korpulentna, a całe jej ciało sprawiało wrażenie, że utrzymuje kształt wyłącznie dzięki białej, wąskiej spódnicy. Na głowę założyła czarny kapelusz z białym stroikiem z piór.

Dengler odwzajemnił uśmiech. Uczucie zagubienia nieco zmalowało.

Od stolika przed sceną, której tak naprawdę nie było, podniosło się czterech mężczyzn.

Weszli na podest. Mniejszy z nich, w tyrolskim kapeluszu, zasiadł za klawiszami. Rosły Murzyn klapnął na taboret ustawiony za perkusją. Pozostali dwaj sięgnęli po gitary.

- *Ladiies and Gentlemeen!* - wykrzyknął do mikrofonu muzyk przy elektronicznym pianinie.

- *Williie Keeeeeent!* - wskazał przy tym na olbrzymiego czarnoskórego muzyka, który trzymał w rękach gitarę basową. Perkusista uderzył dwa razy w werble, po czym zagrał zespół.

Dengler czytał kiedyś, że gitary elektryczne wynaleziono w Chicago, ponieważ czarnoskórzy muzycy, grający jeszcze na Południu na akustycznych gitarach, nigdy nie mieli okazji występować, pokonując knajpiany hałas. Zespół Williego Kenta nie musiał zupełnie tym się martwić, był dostatecznie głośny, by zagłuszyć z miejsca każdą rozmowę. Dengler natychmiast rozpoznał ten utwór. Zespół grał *One More Mile*, bluesa skomponowanego przez Muddyego Watersa.

Oh you know it has been such a hard hard journey.

I don't have to cry no more

Keep your life up burni', so I can know the score

I got one more mile, oh you know I only got one more mile to go.

Głos Kenta miał siłę wulkanu. Blues wręcz eksplodował z niego.

Oh you know my journey was so hard.

But I don't have to worry 'bout you no more

Kilka par pośpiesznie ruszyło ku niewielkiej powierzchni przed zespołem, a Dengler pomyślał, że stoi im na drodze. Rozejrzał się i stanął obok dwóch białych mężczyzn przy barze.

Młoda kobieta za ladą zapytała go, czego się napije, on zaś zamówił piwo.

Willie Kent zaczął już grać kolejny utwór.

Then the Blues is good, not always sad, The Blues is feeling

Kobieta za barem podała mu piwo. Na niewielkim parkiecie tańczyło kilka par...

Ain't nothing but a good man Good man feeling bad

Młody, biały Amerykanin z aparatami zawieszonymi na piersi zbliżył się do rogu parkietu i zrobił kilka zdjęć zespołu oraz publiczności, po czym wrócił do baru. Zapytał Denglera, skąd pochodzi.

- Ach, z Niemiec - zdziwił się, gdy Dengler mu odpowiedział.

Przedstawił się, podając swoje imię. Nazywał się Mark i był fotografem. Od wielu lat fotografował bluesowe kluby w Chicago.

- Ale tymi zdjęciami nie interesuje się nikt w mieście - skomentował i roześmiał się.

- Kiedy zagra Junior Wells? - zapytał Dengler i opowiedział Markowi, że przyleciał zza oceanu głównie z powodu Juniora.

- O jedenastej - odparł Mark. - On nigdy nie gra przed jedenastą.

Za barem pojawiła się roślą, starsza, czarnoskóra kobieta o czarnoszarych włosach, upiętych do góry w rodzaj koka. Miała na nosie okulary, zza których dwoje czarnych jak smoła oczu przyjaźnie spoglądało na gości. Z kobiety emanowało coś tajemniczego, co natychmiast ujęło Denglera.

- Theresa, tu jest gość, który przyleciał Atlantyk z powodu twojej knajpy! - zawołał do niej Mark.

Murzynka spojrziała na niego przyjaźnie i powolnym krokiem podeszła. Podała Georgowi Denglerowi dłoń.

- Niech się pan czuje jak w domu.

Dengler zamierzał coś powiedzieć, ale nie wydusił z siebie słowa. Czuł się jak pielgrzym, który dotarł do celu podróży. Zagubienie minęło całkowicie.

Willi Kent grał teraz bluesa autorstwa Howlina, Wolfa *The Red Rooster*, który to utwór The Rolling Stones uczynili kiedyś słynnym, nadając mu tytuł *Little Red Rooster*. Dengler przez długi czas sądził, że ten utwór, jeden z pierwszych numerów w wykonaniu Stonesów, był

kompozycją spółki Jagger-Richards. Dopiero później na jednej z wcześniejszych płyt odkrył, że zespół wykonywał songi Dixona, Howlin Wolfa oraz Chucka Berryego. Przypomniał sobie też pewne wydanie magazynu muzycznego „Rolling Stone”, które kupił na dworcu w Stuttgarcie tylko dlatego, że w środku znajdował się wywiad z Keithem Richardsem. Opowiadał w nim tak: *Nasza pierwsza podróż do Chicago wiązała się z pierwszym tournée w Stanach Zjednoczonych, gdyż nagrywaliśmy w Chess Studios i spotkaliśmy tam wszystkich wielkich bluesmanów, których muzyki nieustannie słuchaliśmy. Okazali się prawdziwymi dżentelme-nami. Co oczywiste, darzyliśmy ich ogromnym szacunkiem. Chociaż mogło się zdarzyć, że jeden z nich powiedziałby: „Czy te białe żółtodzioby myślą sobie, że mogą po prostu śpiewać nasze songi?”. Poza tym przyjechaliśmy z Anglii. Oni potraktowali nas jednak przyjaźnie, zachowywali się wspaniale i nawet dodawali nam otuchy.*

Theresa przyniosła mu drugie piwo. Stuknął się z Markiem. Amerykanin chciał wiedzieć, czy Dengler zna Delta Fish Market. Detektyw zaprzeczył.

- Tam również jest grywany prawdziwy, chicagowski blues - wyjaśnił Mark. - Pośrodku getta któregoś z mieszkańców dopadła tęsknota za deltą Missisipi, którą opuścił przed wieloma laty. Dlatego też często w weekendy jeździł na Południe i kupował świeżego suma, którego później jego żona w ciągu tygodnia gotowała albo piekła. Od czasu do czasu kupował też ryby dla sąsiadów i przywoził do Chicago. Na początku był to tylko dodatkowy zarobek, ale w pewnym momencie człowiek ten zrezygnował z pracy jako kierowca ciężarówki w stalowni i stał się handlarzem ryb. Dzisiaj raz na tydzień jeździ dużą ciężarówką do delty, kupuje tam ryby i sprzedaje je w ciągu tygodnia na parkingu. W weekendy grają na jego ciężarówce nie tylko kapele bluesowe z sąsiedztwa, ale również sławni muzycy. Na pudle sama słyszałam już i Sunnyland Slima jak też i Little Littlejohna.

- Przyjdź tam jutro - zasugerował Mark i zapisał mu adres na karteczce: róg Kensington i Kedzie Street.

Dengler przyrzekł.

48. Krótco po jedenastej na scenie pojawił się Junior Wells

Krótko po jedenastej na scenie pojawił się Junior Wells. Muzyk siedzący przy klawi-szach dał się porwać euforii:

- Laaaaaadies aaaaand Geeeeeeentlemen, Goooooodfa-aaaather of Bluuuuuuuuues, Miiiiiister
Juuuuuuuuuuunio-oooooor Weeeeeeeells!

Zapowiedź tę wykrzyczał kilka razy do mikrofonu. Zespół zaczął grać temat z utworu *Broke And Hungry*.

Buum - uderzenie w perkusję.

Zespół przestał grać.

Junior stał przed mikrofonem z zamkniętymi oczyma. Miał na sobie białe, dopasowane dżinsowe spodnie z szerokim pasem oraz białą, dżinsową kurtkę, ozdobioną srebrzystymi nitami w kształcie księżyców i gwiazdek. Na jego głowie tkwił, również biały, kowbojski stetson. Na jego palcach pobłyskiwały brylanty. Wells był zaskakująco mały i szczupły, a Dengler pojął teraz, dlaczego muzyka nazwano Little Junior Wells.

„Na scenie Royal Albert Hall sprawiał wrażenie większego”.

Przywołał w myślach czasy, kiedy jeszcze pracował w Federalnym Urzędzie Kryminalnym i polował na terrorystę Romana Greschbacha.

„Za bilet na mój pierwszy koncert Juniora Wellsa zapłacił Federalny Urząd Kryminalny!”.

Jednak tamte czasy dawno minęły. Dengler czuł się, jakby działo się to w innym życiu.

Członkowie zespołu skoncentrowali się całkowicie na Juniorze. Powtórzył kilka taktów wejścia, a wszyscy patrzyli teraz na tego niewielkiego mężczyznę, który wciąż stał przed mikrofonem. Skupienie muzyka udzieliło się publiczności. Tańczący stali nieruchomo i wpatrywali się w Juniora. W klubie Therasas Lounge zrobiło się cicho, niemal uroczyście.

Także Mark, fotograf, wyglądał, jakby zapomniał o całym świecie. Stał przy barze pochylony i spoglądał na człowieka w białym stroju.

Junior otworzył oczy.

I'm broke and I'm hungry

Nagle kapela zagrała ostro, szybko, głośno i precyzyjnie. Junior odśpiewał jedną zwrotkę, potem dał zespołowi znak gestem i muzycy przestali grać. Basista podał mu małą harmonijkę ustną, Wells przez moment ważył jej ciężar w dłoni, po czym zagrał krótką, srebrzystą melodię, która przebiła się przez rytm zespołu i przez moment utrzymywała się w wysokiej tonacji, by znów opaść niżej, robiąc miejsce dla solówki gitarzysty. Następnie temat znów przejęła harmonijka ustna i przez krótką chwilę Dengler nie był w stanie odróżnić od siebie brzmienia obu instrumentów, ale po chwili ich brzmienia oddzieliły się, a harmonijka Blues Harp wspinała się i opadała, raz głośno, raz znowu bardzo cicho, ale przez cały czas ten mały instrument nadawał charakter brzmieniu zespołu. W końcu Junior Wells zaśpiewał kolejną strofę i zakończył bluesowy song.

Ludzie zebrani w barze Therasas Lounge zerwali się na równe nogi i bili brawo. Ale artyści grali już następny utwór.

Hoodoo Man.

Hoodoo

I buzzed your bell this morning, elevator running slow

I buzzed your bell this morning, take me up to your third floor.

But I'm holding my hand, Lord, I'm trying to take my baby understand.

Teraz nikt już nie stał na swoim miejscu, wszyscy tłoczyli się na niewielkim parkiecie tanecznym przed sceną i wszyscy tańczyli.

Jakaś smukła, czarna ręka sięgnęła po dłoń Denglera, chwyciła go i pociągnęła w stronę parkietu. Wysoka, młoda kobieta w białej spódnicy i z długimi, kolorowymi kolczykami uśmiechała się do niego. Georg odwzajemnił się uśmiechem od ucha do ucha. Ktoś go popchnął. Tłok był duży. To było jakby wpadanie w otchłań, które zelżało dopiero wtedy, gdy zespół na chwilę przerwał grę. Młoda kobieta uśmiechnęła się raz jeszcze przyjaźnie, po czym zniknęła, a Dengler ruszył z powrotem do swojego miejsca przy barze, gdzie znów znalazł

Marka, równie spoconego jak on. Obaj mężczyźni uśmiechnęli się szeroko do siebie.

Dengler szukał wzrokiem młodej kobiety, która pociągnęła go na taneczny parkiet i dostrzegł ją po drugiej stronie baru. Była pogrążona w rozmowie z młodym mężczyzną w czarnej, raperskiej czapce.

Czy ona zatańczy z nim jeszcze raz?

Mark postawił mu piwo, po czym stuknęli się szklankami i wypili.

Gdy zespół znowu zaczął grać, Dengler poszedł na drugi koniec baru, ale kobieta pociągnęła już na parkiet młodego mężczyznę w raperskiej czapce. Kiedy dostrzegła rozczarowaną twarz Georga, zaśmiała się głośno, a jej usta posłały mu całusa. Wrócił więc na swoje miejsce przy barze. Mark, który obserwował scenę, klepnął go w ramię.

- To jest blues! - krzyknął mu do ucha i zamówił u The-resy butelkę whisky Jim Beam.

49. Następnego ranka

Następnego ranka Georg Dengler nie bardzo był w stanie sobie przypomnieć, w jaki sposób trafił z powrotem do hotelu i do łóżka. Wiedział tylko, że około drugiej nad ranem opróżnili butelkę whisky, gdy zespół Juniora Wellsa zakończył występ, a goście opuścili lokal.

Większość z nich wracała piechotą, gdyż mieszkała w pobliżu, a dla Marka i dla niego Theresa zamówiła taksówkę. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, był ogromny zielony pojazd, który wolno do nich

podjechał.

Spojrzał na zegarek.

Jedenasta.

Tak późno! Jednym susem zeskoczył z łóżka. Nie czuł żadnego bólu głowy. Tylko ogromne pragnienie.

Wziął prysznic, ubrał się i zjechał na dół do sali na parterze hotelu, w której podawano śniadanie. Wypił butelkę wody mineralnej, jedzenia nie ruszył, po czym wyszedł z hotelu na ulicę. Słońce oślepiło go i upłynęła chwila, zanim jego oczy przyzwyczyły się do jaskrawego światła dnia.

Udał się do słynnej giełdy przy La Salle Street, potem przemykał się krętymi uliczkami aż do fontanny Buckingham w Grant Parku, którą znał z czołówki serialu filmowego *Świat według Bundych*, w której Ed O'Neill grał postać Ala Bundy'ego. Po południu zwiedził Art Institute of Chicago. Zdumiało go to, że w tym mieście mógł zobaczyć dzieła najlepszych europejskich impresjonistów, a nie było żadnego muzeum poświęconego sztuce Czarnego Łądu. Po dwóch godzinach zwiedzania muzealnej kolekcji poczuł ból w nogach. Opuścił Art Institute. Minał jeszcze kilka przecznic i zatrzymał się w końcu w chińskiej restauracji. Gdy sprawdzał, ile pieniędzy mu zostało, znalazł karteczkę, którą poprzedniego wieczoru wręczył

mu Mark.

„Róg Kensington i Kedzie Street”, przeczytał. Delta Fish Market.

Umówione spotkanie na ten wieczór.

„Nie wpadaj w panikę” - powiedział do siebie, chcąc stłumić rodzący się w nim lęk.

Znów widział wypalone mieszkania i wybite szyby w oknach bloków, które najwyraźniej sprawiały wrażenie zamieszkanym. Słabo oświetlone ulice, na których prawie w ogóle nie było samochodów i tylko nieliczni przechodnie. Przez ponad godzinę tłukł się dużą, zieloną taksówką przez getto chicagowskiej West Side. „Sam nigdy się stąd już nie wydostaniesz” - po-myślał, a fakt, że kierowca posługiwał się starą i zupełnie już postrzępioną mapą, by zorientować się w okolicy, nie dodawał mu jakoś otuchy.

W końcu taksówkarz zatrzymał się przy skrzyżowaniu pod nadgryzioną zębem czasu latarnią rzucającą mdłe światło. Kierowca zrobił gest ręką, który trudno było źle zinterpretować: „Płać szybko i szybko wysiadaj”. Dengler stwierdził, że po drugiej stronie ulicy, w ciemności, dostrzega grupki idących mężczyzn. Uprzejmie poprosił kierowcę, żeby zaczekał na niego trzy minuty, po czym wysiadł, zapłaciwszy taksówkarzowi 30 dolarów. Gdy tylko jednak zamknął za sobą drzwiczki wozu, taksówkarz nacisnął gaz, a jego zielony chevrolet zniknął

błyskawicznie w ciemności.

„Nigdy się stąd nie wydostanę.”

Powoli przeszedł na drugą stronę ulicy i wkroczył na parking, na którym leżało mnó-

stwo odłamków szkła. Dopiero teraz, gdy stał dokładnie przed sztyldem, dostrzegł ręcznie zrobiony napis: „Delta Fish Market”. Później zobaczył szkielet dawnej stacji benzynowej, przed którą rzeczywiście stał - tak jak mówił Mark - stary samochód ciężarowy, na którego pace widać było już rozstawioną perkusję.

Plac w ogóle nie był oświetlony, jedynymi źródłami światła były słabe latarnie, które tu i tam stały na ulicy, a także poświata dochodząca z tylnych okien słabo oświetlonego baru. Z

tęgo właśnie powodu Dengler nie był w stanie rozpoznać stojących w małych grupach czarnoskórych, których zauważył dopiero teraz, kiedy znalazł się na środku placu. Mężczyźni, kobiety i dzieci stali blisko obok siebie i rozmawiali. Od czasu do czasu słychać było kobiecy śmiech. Na terenie dawnej stacji benzynowej panowała atmosfera pełnego napięcia wyczekiwania.

Mimo to czuł się obco. Z czasem jego wzrok przyzwyczaił się do półmroku i Dengler zauważył, że jest jedynym białym na tym placu. Pocieszał się jednak, że nie jest to powód do niepokoju. Atmosfera była przyjazna i jeśli coś mogło tutaj burzyć harmonię, to jego biała twarz, którą jednak najwyraźniej nikt się nie przejmował. Wciąż był jednak spięty. Przekonywał sam siebie, że to strach przed obcymi. Uznał to zachowanie za niedorzeczne, mimo to pozostał czujny.

Odetchnął z ulgą, kiedy dostrzegł Marka. Młody fotograf montował statyw obok sceny urządzonej na ciężarówce, przymocowując do niego lampę błyskową. Poprosił Denglera, by ten przez chwilę potrzymał jego torbę ze sprzętem, dzięki czemu mógł w tym czasie ustawić kolejny statyw po drugiej stronie sceny.

Nieco później na platformę ciężarówki wszedł tęgi mężczyzna. Gestem poprosił o uwagę. Następnie poinformował o tym, że władze najprawdopodobniej zabronią organizowania tu koncertów.

- Przed trzema tygodniami doszło tu do strzelaniny - wyjaśnił Mark, sprawdzając jednocześnie kabel oraz podłączenie. - Bezmyślne podrostki z młodocianych gangów... Nikt nie został ranny, ale może teraz się zdarzyć, że policja zabroni organizowania tutaj koncertów.

Gruby mężczyzna zszedł ostrożnie z ciężarówki. Jego ogromny brzuch tak bardzo mu przeszkadzał, że z trudem utrzymał się na platformie ciężarówki i zapewne upadłby, gdyby równie rosła kobieta go nie podparła. Podziękował jej, uśmiechając się szeroko.

Czterech muzyków wskoczyło na pakę samochodu i zaczęli natychmiast grać. Rozległy się dźwięki surowego bluesa. Wokalista śpiewał kilka tonów za wysoko, perkusja wybijała rytm o jedną dziesiątą za szybko, gitara brzmiała zbyt ostro, ale wszystko to nie w najmniejszym nawet stopniu nie zmniejszyło podziwu i entuzjazmu publiczności. Pojedyncze grupy przemieniły się w okamgnieniu w jedną zwartą, tańczącą masę. Dengler patrzył na to ze zdziwieniem.

Kobiety stanęły z nogami szeroko rozstawionymi i zaczęły kołysać się w biodrach.

Wiele z nich pochyliło się do przodu, a niektóre dotykały nawet ziemi wyciągniętymi rękami.

Przy tym bezceremonialnie kołysały zadkami w rytm muzyki. Mężczyźni stali z tyłu, niektórzy z nich trzymali kobiety poniżej pasa i poruszali biodrami dostosowując swoje ruchy do rytmu kobiecych ciał. Od czasu do czasu mężczyzna odchodził i wyszukiwał inną partnerkę lub któraś z tancerek obracała się i kierowała pośladki w stronę innego tancerza, który taką ofertę przyjmował natychmiast i z radością.

Dengler nigdy jeszcze nie widział tańca, który tak bardzo byłby przesycony klimatem seksu. Nie była to jedna para pogrążona w tym tańcu prezentującym rytuał kopulacji na za-pomnianym przez Boga parkingu. Była to zwarta masa ludzi, od których biła tak wielka energia, tak wielka siła, że zauroczyła natychmiast prywatnego detektywa ze Stuttgartu.

Dostrzegł chudą jak szczapa kobietę, która obróciła się ku niemu z głową odchyloną do tyłu, a po chwili zaczęła kręcić się dookoła. Przy każdym obrocie podciągała sukienkę wyżej na szerokość dłoni. Wokół niej powstał natychmiast krąg tańczących. Dwie inne kobiety poszły w jej ślady. Teraz krąg wokół kobiet zrobił się tak gęsty, że Dengler przestał już cokolwiek widzieć. W końcu tańczący rozeszli się wśród śmiechów i aplauzów.

Nagle poczuł, jak ktoś chwyta jego dłoń. W pierwszej chwili przeraził się, rozpoznał

jednak zaraz szczupłą kobietę, która poprzedniego wieczoru wyciągnęła go na parkiet w klubie Theresas Lounge. Miała na sobie dzisiaj czarne spodnie oraz bluzkę tego samego koloru. Nie puściła jego dłoni, ale ciągnęła go w stronę roztańczonej cizby pośrodku tego sabatu czarownic.

„Czy ona zażąda, bym tańczył w taki sam sposób razem z nią?” - pomyślał Dengler.

Spojrzał na jej biodra. Były znacznie węższe niż biodra większości zebranych tu kobiet. W jaki sposób będą się poruszać? Jednak nieznamiona oceniła go krótkim spojrzeniem, jakby chciała sprawdzić, czy nadaje się w ogóle do tego rodzaju tańca. Jeśli nawet tak było, nie zdał tego testu, ponieważ jego partnerka nie miała zamiaru obrócić się do niego tyłem, ale tańczyła wyprostowana naprzeciw niego, szybko i elegancko. Oglądanie jej sprawiło mu radość. Najwyraźniej to spostrzegła i się uśmiechnęła.

Później siedzieli we troje w mrocznym barze obok rybnego targu. Był to ten sam bar, którego okna rzucały wcześniej nieco światła na tańczących.

Marie-Louise, jego taneczna partnerka, pracowała na uniwersytecie w Chicago. Pisała książkę na temat bluesa, jak wyjaśniła.

- A ty?

Dengler opowiedział o swojej miłości do czarnej muzyki od momentu, kiedy po raz pierwszy w życiu widział występ Juniora Wellsa z Buddym Guyem na koncercie Erica Claptona w londyńskiej Albert Hall. Nie powiedział jednak, że pracował wówczas w Federalnym Urzędzie Kryminalnym i że po

koncercie aresztował terrorystę, na którego polował kilka lat.

Wiedział wtedy, że poszukiwany jest fanem Claptona. Musiał tylko się na niego zacząć, poznał więc bluesa - w pewnym sensie - podczas podróży służbowej.

Tego wszystkiego jednak jej nie zdradził.

- Bluesowy pielgrzym z Europy - powiedziała MarieLouise z podziwem i przyjrzała mu się. Potem opowiedziała, że wielki Muddy Waters w Europie zawsze zapełnia duże sale koncertowe, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych występuje tylko w małych klubach. Znani muzycy bluesowi i jazzowi nie mogliby chyba przeżyć, gdyby nie Europa. Tam są dobrze opłacani...

- Tam też traktuje się ich jak artystów, a nie jak przeklętych czarnuchów - odezwał się jakiś głos, który Denglerowi wydał się znajomy. Odwrócił się.

Za nimi stał Junior Wells.

- Junior, dosiądź się do nas. Mamy tutaj pielgrzymka z Europy.

- Tylko pod warunkiem, że macie butelkę whisky Jim Beam - odparł Junior i usiadł.

Kelner przyniósł w tym samym momencie butelkę whisky i cztery szklanki. Dengler spoglądał na muzyka z podziwem i szacunkiem.

„To jest człowiek, którego muzyka od dawna towarzyszy moim wszystkim wzlotom i upadkom. Przede wszystkim upadkom. Jego głos słyszę codziennie, zanim jeszcze zdążę porozmawiać z kimkolwiek. Po to, żeby posłuchać jego muzyki na żywo, przeleciałem pół świata.

Czy powinien opowiedzieć o tym Juniorowi Wellsowi?”

Dengler z lekkim niepokojem spojrział na butelkę whisky. Znowu Jim Beam!

Junior odkręcił butelkę i napełnił szklanki. Stuknęli się.

- To niemiecki zwyczaj - powiedział Dengler.

Później wyjaśnił im, że to stukanie się stanowiło środek ostrożności dawnych rycerzy.

Kiedy pili razem, stukali się tak mocno kielichami, że piwo lub wino przelewało się do są-

siednich naczyń. Jeśli zawartość któregoś z kielichów była zatruta, wtedy trucizna dostawała się do pozostałych. Trącanie się kielichami było zatem jedynie średniowiecznym sposobem uchronienia się przed próbami otrucia przez gości lub gospodarzy.

- Jim Beam nigdy nie jest zatruty - wymruczał pod nosem Junior Wells i wypił do dna.

50. Wszystkie następne dni

Wszystkie następne dni Dengler spędził w podobny, ekscytujący sposób. W ciągu dnia zwiedzał Chicago uzbrojony w przewodnik.

W południe siadał na piaszczystej plaży przed Hancock Tower, dwa razy nawet wykąpał się w wodach jeziora. Wieczory spędzał zaś razem z Markiem i Marie-Louise w klubie Therasas Lounge i słuchał bluesów Juniora Wellsa. Po jego występach Theresa zamykała klub, przynosiła butelkę whisky Jim Beam i dosiadała się do nich. Od czasu do czasu do towarzystwa dołączał też Junior Wells i opowiadał o sobie, o młodości spędzonej w młodocianych gangach w Chicago. O tym jak w 1970 roku wspólnie z Buddym Guyem wyruszył na światowe tournee jako *support* przed występami grupy The Rolling Stones, a także o swojej filmowej roli w *Blues Brothers II*.

Kiedy opuszczali lokal, Georg i Mark, który mieszkał w pobliżu końcowej stacji brą-

zowej linii metra, razem zamawiali taksówkę. Wcześniej zegnali gorącymi uściskami Marie-Louise, która brała taksówkę w kierunku uniwersytetu, gdzie wynajmowała mieszkanie stanowiące własność wyższej uczelni.

Gdy przedostatniego wieczoru pobytu Denglera czekali na taksówkę przed klubem Therasas Lounge, Marie-Louise powiedziała mu, że chce, żeby tym razem pojechał z nią.

Spojrzała przy tym na niego z zamyśleniem i z wyczekiwaniem. Zaproszenie to zaskoczyło Denglera. Gdy podjechała pierwsza zielona taksówka, Mark klepnął go w ramię, uśmiechając się, po czym otworzył drzwi. Marie-Louise wsunęła się na tylne siedzenie.

- No ruszaj, ty szczęściarzu - odezwał się Mark i wciąż trzymał otwarte drzwi.

Dengler usiadł ostrożnie obok Marie-Louise, ona zaś chwyciła go za rękę. Mark zamknął za nimi ostrożnie drzwi. Mieszkała w typowym, wąskim, trzypiętrowym chicagowskim domu komunalnym w pobliżu uniwersytetu.

- Psst! - położyła palec wskazujący na ustach.

Obróciła się do niego plecami i otworzyła drzwi. W korytarzu zdjęła buty i ostrożnie zaczęła wchodzić schodami do swojego mieszkania na pierwszym piętrze. Otworzyła drzwi mieszkania i wpuściła go do środka. Stali teraz w długim korytarzu. Na ścianach wisiały obrazy, grafiki, fotografie w ramkach przedstawiające muzyków oraz jeden obraz, na którym widać było Martina Luthera Kinga z rękoma uniesionymi ku niebu. Zaciągnęła go dalej do łazienki.

- Rozbieraj się - szepnęła w jego stronę.

Sama uwolniła się od spodni, bluzki oraz bielizny w tempie zapierającym dech w piersiach. Dengler nie zdążył nawet rozpiąć koszuli, kiedy ona już stała zupełnie naga. Oparła się o umywalkę.

- Czy ja ci się podobam?

Zdołał jedynie przytaknąć. Była wysoka i stała teraz niczym egipska bogini. Przez okno łazienki wpadała odrobina księżycowego światła, oświetlając ciemną skórę jej ramion i sprawiając, że miejsce to nabrało niezwyklej, srebrzystej poświaty. Jej piersi znajdowały się w cieniu tego światła, które pozwalało dostrzec jedynie ich zarys. Mimo to Dengler widział wyraźnie sutki, jeszcze ciemniejsze niż jej ciemna skóra, i wydawało mu się, że świeciły mimo niemal czarnej barwy.

Najwyraźniej rozkoszowała się jego zaskoczeniem. Chociaż przyglądała się mu, jej spojrzenie było jednocześnie zagubione w sobie, skierowane ku niemu, a zarazem ku niej samej.

Dengler nie ruszał się. Palcem wskazującym i środkowym wciąż trzymał dolny guzik koszuli. Rozładowała napięcie i wsunęła się do kabiny prysznic. Dostrzegł jej rękę, która zapraszała go, by w końcu wszedł. Po czym puściła wodę. Wciąż chciał odpiąć guzik koszuli, ten jednak opierał się i nie chciał przejść przez wąską dziurkę. Georg Dengler widział teraz sylwetkę Marie-Louise za mleczną szybą kabiny prysznic, wciąż ciągnąc i naciskając za guzik. W końcu wyrwał go, rozpiął pasek, stanął na jednej nodze, która drżała w kolanie, gdy zdejmował spodnie, po czym zrzucił z siebie t-shirt, ściągnął skarpetki i na końcu slipy.

Stała pod mocnymi strugami wody, gdy dołączył do niej. Ręce założyła za tył głowy, zamknęła oczy, by chronić je przed strumieniem. Kiedy stanął przed nią, sięgnęła po mydło i zaczęła sunąć nim po jego torsie. Nawet się nie ruszył. Nie ruszył się też, kiedy mydło zaczęło zataczać kręgi na jego plecach i łuki na jego nogach. Marie-Louise przysiadła przed nim i wzięła w dłoń przyrodzenie Georga. Dostrzegł, że przygląda się uważnie, niemal z zaciekawieniem.

Później wytarła go i zaprowadziła przez korytarz do sypialni. Łóżko było duże. Jednym szybkim ruchem ściągnęła białą kapę i popchnęła go ostrożnie na chłodne prześcieradło.

51. Wałęsali się razem po mieście

Wałęsali się razem po mieście cały następny ranek. Pokazała mu centrum, wieżowce, zabrała go czerwoną linią metra do getta w South Side, pokazała też Taylor Homes - wysokie bloki w dzielnicy West Side, opanowane przez gangi.

Pożegnała się z nim dopiero po południu, całując go czule.

- Muszę wracać na uniwersytet.

- Czy zobaczymy się jeszcze dziś wieczorem u Theresy? Pokręciła przecząco głową.

- Nie mogę.

- To mój ostatni wieczór.

- Wiem.

Po czym po prostu pobiegła, obróciła się jeszcze raz i pomachała w jego stronę, i znów ruszyła dużymi krokami, aż w końcu stracił ją z oczu. Gdy wieczorem stał przy barze obok Marka, daremnie czekał na nią. Słuchał Juniora, który był w doskonałej formie - śpiewał i grał

z bluesowym feelingiem. Gdy wybiła druga w nocy, przyszła do nich Theresa i postawiła na stole butelkę whisky Jim Beam. Junior dosiadł się do nich.

- Właściwie nie darzę Niemców specjalną sympatią - oznajmił czarnoskóry muzyk.

Dengler spojrział na niego pytającym wzrokiem.

- Mój ojciec tam zginął podczas wojny. Przy stoliku zapadło milczenie.

- Właściwie to nawet nie do końca zginął - podjął bluesman. - Zaginął.

- Czy armia Stanów Zjednoczonych nie próbowała wyjaśnić, co się z nim stało? - zapytał Mark.

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku armia miała głęboko w dupie to, co stało się z jakimś Murzynem. Ponieważ nie miał stopnia generała, także dzisiaj interesuje ich to tyle co zeszłoroczny śnieg.

Spojrzał na Denglera.

- Ty jesteś przecież *private eye*. Dengler przytaknął.

„Użył tego samego sformułowania co Martin Klein”.

- Czy podjąłbyś się poszukiwań?

- To mój zawód. Poza tym to właśnie potrafię robić najlepiej.

Junior Wells sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Ile dolarów wzięłbyś za to?

Dengler zastanowił się przez chwilę.

- Jeśli go znajdę, zagrasz koncert w Stuttgarcie. Junior roześmiał się.

- W porządku - odparł. - Ale tylko jeśli odnajdziesz mojego tatę. Poza tym nigdy sam nie płacę za przelot i hotel.

Podali sobie dłonie, a Wells napełnił szklanki kolejną porcją whisky Jim Beam. Georg Dengler spojrział w stronę drzwi. „Ona nie przyjdzie”. Zwrócił się do Juniora Wellsa:

- Potrzebuję jeszcze kilku informacji. Muszę koniecznie dowiedzieć się od ciebie paru rzeczy.

Wyciągnął notes z kieszeni.

- Nazwisko? - zapytał i sam sobie odpowiedział, wpisując do notesu. - Wells, to oczywiste, ale jak miał na imię twój ojciec?

- Nie - odparł Junior.

- Co znaczy „nie”?

- Nie nazywam się Wells. To zwykły pseudonim.

- Jak brzmi właściwe nazwisko?

- Blackmore. Amos Blackmore.

- Jak miał na imię twój ojciec?

- Steven. Steven Blackmore.

Georg Dengler zanotowawszy imię zadał kolejne pytania.

CZEŚĆ TRZECIA

52. Lot powrotny przebiegł spokojnie

Lot powrotny przebiegł spokojnie. Dengler siedział w ogromnym samolocie w środkowym rzędzie. Fotele na lewo i prawo od niego były wolne, podniósł zatem oparcia i rozciągnął się wygodnie na trzech miejscach. Zbudził się dopiero nad Anglią. Nieco oszołomiony, słaniając się na nogach, poszedł do małej pokładowej toalety, obmył twarz i wyszorował zęby.

W Paryżu się przesiadł. Trzy godziny później airbus linii Air France wylądował w Stuttgarcie. Kiedy wychodził, trzymając walizkę, przed wyjściem przywitali go Olga i Martin Klein butelką szampana Veuve Clicquot. Olga przytuliła go, on zaś poczuł, jak jej piersi przyciskają się do jego torsu. Martin od-korkował szampana i napełnił kieliszki. Troje przyjaciół wychyliło je do dna.

Pojechali kolejką miejską na dworzec. Gdy mijali Vaihin-gen, butelka była pusta.

Dengler opowiedział im o muzyce, o mieście, o dzielnicy Loop, o drapaczach chmur, o Juniorze Wellsie, Theresie oraz Marku.

- Ta kobieta... No powiedz, kim była ta piękna kobieta, z którą byłeś razem w Chicago?

- zapytała Olga cicho.

Dengler był zupełnie zaskoczony. Skąd mogła wiedzieć...?

„Cholera, robię się czerwony jak burak”.

Olga wciąż spoglądała na niego baczny wzrokiem. Jej prawa brew uniosła się do góry, po czym

dziewczyna roześmiała się cicho i poklepała go po policzku krótkim, delikatnym ruchem.

- Czy teraz już masz się lepiej? Dengler przytaknął.

- A Christiane już... Przebolełeś?

Przez krótką chwilę zwlekał z odpowiedzią, ale ponownie skinął głową.

- Tak, przebolełem już Christiane.

Na twarzy Olgi pojawił się wyraz powagi.

- To dobrze - powiedziała i wzięła jego dłoń.

Kolejka miejska zatrzymała się na dworcu głównym i wysiedli. Szli razem wzdłuż Königsstrasse. Martin Klein kupił po drodze powieść kryminalną w księgarni przy Klein Königsplatz.

- Muszę przestudiować to, co pisze konkurencja - uśmiechnął się szeroko. - Od ciebie bowiem nie dostanę żadnego materiału. Chyba że przywiozłeś z sobą jakąś nową sprawę z Ameryki?

- Tak, przywiozłem - oznajmił Dengler.

Gdy siedzieli już w barze Basta, opowiedział im, że rozpocznie poszukiwania ojca Juniora Wellsa, który od 1945 roku jest uznany za zaginionego na terenie Niemiec. Martin Klein otworzył szeroko oczy.

- Ale to przecież nie jest materiał na książkowy thriller - skomentował.

Po czym wszyscy stuknęli się kieliszkami.

W nocy Dengler śnił, że unosi się w powietrzu nad gmatwaną ulic Chicago. W dole pod nim poruszali się ludzie zajęci codzienną krzątaniem. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Latał między drapaczami chmur i przelatywał nad Oak Street Beach. Widział tych, którzy się opalali, a także tych, którzy biegali, właścicieli psów, ludzi biznesu, którzy zdejmowali buty i podciągali spodnie garniturów, żeby przez chwilę pobrodzić w płytkiej wodzie. Szukał Marie-Louise, ale nigdzie nie mógł jej odnaleźć. Powietrze było ciepłe, jego zaś ogarnęło osza-

łamiające poczucie szczęścia. Rozłożył ramiona. Jeszcze we śnie zastanawiał się, czy ten szczęśliwy lot okaże się tylko sennym marzeniem, jednak ciepło, widok jeziora oraz ludzie na plaży - wszystko wydawało się do tego stopnia rzeczywiste, że odrzucił tę wątpliwość.

Kiedy przelatywał nad mostem przerzuconym przez Chicago River, rozejrzał się i dostrzegł

nietoperza. Stworzenie, które jakby specjalnie na to czekało, nagle znalazło się obok niego i frunęło razem z nim tuż nad linią wody.

Zbudził się z lekkim rozczarowaniem. Jeszcze raz zamknął oczy, wywołując obrazy ze snu i wiedział, że ten dzień będzie dobry. Na bosaka poczłapał do odtwarzacza CD, a po chwili chropawy głos Juniora Wellsa wypełnił jego pokój:

You got to help me, Baby.

I cant do it all by myself

You know if you don't help me this mornin

FU have to fight myself somebody else

Zastanawiał się, co w tej chwili porabiał Junior. W Chicago była teraz noc. Stoi zatem na scenie i być może w tym momencie śpiewa ten sam song. Później Theresa postawi na barze butelkę whisky Jim Beam.

Georg Dengler położył się na podłodze na brzuchu i uniósł się na rękach. Raz, dwa, trzy. Po dwudziestu pompkach opuściły go siły. Jego kondycja dramatycznie się pogorszyła.

„Za dużo whisky Jim Beam piłem ostatnio”.

Zacisnął zęby, ale po czterdziestej pompce, dysząc, opadł na podłogę. Spojrzał na Madonnę, szukając u niej pomocy.

„Niech tak będzie” - pomyślał i poszedł do łazienki.

Śniadanie zjadł w barze Espresso. O dziewiątej wrócił do swojego mieszkania i zadzwonił do biura prasowego kwatery głównej wojsk Stanów Zjednoczonych w Europie, której siedziba znajdowała się w Stuttgarcie w dzielnicy Vaihingen.

Od młodej kobiety, która odebrała jego telefon, chciał się dowiedzieć, czy istnieje jakaś służbowa komórka, która zajmuje się żołnierzami zaginionymi w trakcie II wojny światowej.

Kobieta tego nie wiedziała. Obiecała, że do niego oddzwonią. Dengler podał swój numer telefonu.

Włączył komputer i zalogował się do Internetu. Do wyszukiwarki wpisał najpierw hasło

„Zaginionieni piloci”. Znalazł dwa odsyłacze. Wszedł na stronę książki pewnego autora, który własnym nakładem wydał publikację na temat miejscowości o nazwie Longuich-Kirsch.

Dengler przeczytał kilka stron, które autor opublikował w sieci. W trakcie walk powietrznych między myśliwcami aliantów i kilkoma niemieckimi FW 190 zginął amerykański pilot. Nazywał się James O. Baxter. Nie Blackmore.

„Błędny trop”.

Drugi wpis odsyłał do archiwalnego artykułu z gazety „Osnabrücker Zeitung”, opublikowanego w listopadzie 1944 roku. Bombowiec B 24 Liberator spadł na linię kolejową niedaleko miejscowości Erpen.

„To miejsce leży zbyt daleko na północy”.

Hasło „Zaginieni amerykańscy piloci” dało tylko jeden odsyłacz. Chodziło o audycję stacji telewizyjnej WDR, poświęconą amerykańskim pilotom zaginionym w wojnie z Irakiem.

Spróbował teraz wprowadzić angielskie hasło.

Po godzinie natrafił na amerykańską instytucję w miejscowości Landstuhl pod Kaiserslautern. Chodziło o komórkę armii amerykańskiej, która nosiła nazwę US Army Memorial Affairs Activities.

Zadzwoił telefon. Odezwał się męski głos.

- Mówi Foli. Czy dowiedział się pan już czegoś? Ponieważ Dengler nie zareagował, po krótkiej przerwie mężczyzna mu przypomniał.

- W sprawie tych prezerwatyw...

Anton Foli! Dengler złapał się za głowę. Cholera, zupełnie o nim zapomniał.

- Jeszcze nie - odparł pospiesznie. - Ale w ciągu dwóch do trzech dni powiem panu więcej. Pana żona, ona wciąż jeszcze pracuje w Powiatowej Komendzie Uzupełnień?

- Tak, wciąż tam pracuje - potwierdził Foli.

Jego głos brzmiał tak, jakby mężczyzna był bardzo przybity. Dengler poczuł wyrzuty sumienia. Zrobiło mu się żal tego człowieka.

- Przypuszczam jednak, że chodzi o nieporozumienie. Tak jak ostatnio - zaryzykował przypuszczenie.

- Tak jak ostatnim razem... - powtórzył mężczyzna łamiącym się głosem.

- Najczęściej takie rzeczy mają bardzo proste wyjaśnienie. Tak bywa z tym, co na początku wydaje się dziwne i niepokojące.

- Po cóż są jej potrzebne prezerwatywy, skoro my...

- Tego jeszcze nie wiem, ale wkrótce powiem to panu. Poczuł, jak mężczyzna po drugiej stronie łącza nabiera otuchy.

- Chce pan powiedzieć, że wszystko... że znajdzie się proste wytłumaczenie?

- Często tak jest - odparł Dengler. Po czym odłożył słuchawkę. Telefon natychmiast zadzwonił jeszcze raz.

Odezwało się Biuro Prasowe US Army.

53. Kobieta najpierw powiedziała mu to, co już wiedział

Kobieta najpierw powiedziała mu to, co już wiedział.

- Armia Stanów Zjednoczonych utrzymuje w Landstuhl komórkę o nazwie US Army Memorial Affairs Activities. Jej pracownicy prowadzą poszukiwania zaginionych amerykań-

skich żołnierzy na terenie całej Europy.

- Poszukuję pilota zestrzelonego pod koniec II wojny światowej.

Usłyszał, jak kobieta przewraca kartki.

- Tymi sprawami zajmuje się major Hooker - odpowiedziała w końcu i podała mu numer telefonu. Po czym odłożyła słuchawkę.

Dengler wybrał numer.

Zajęty.

Spróbował jeszcze kilka razy, ale linia wciąż była zajęta. Spojrzał na zegarek. Za pół

godziny urzędnicy Powiatowej Komendy Uzupełnień mieli przerwę obiadową.

Susanne Foli opuściła stanowisko pracy razem z koleżanką. Obie kobiety były ubrane w letnie sukienki i cieszyły się, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Stuttgartu, ciepłym, wiosennym dniem.

- Witaj, Susanne! - zawołał Dengler.

Susanne Foli podniosła na moment głowę, przez chwilę zastanawiała się, po czym go rozpoznała.

- Aha, fałszywy doktor - odezwała się z nutką szyderstwa. - Przykro mi, ale nie mam niestety dla ciebie teraz czasu.

Ruszyła dalej.

Dengler podbiegł do niej i wręczył jej swoją wizytówkę. Patrzył na nią, jak nie przestając iść, skierowała wzrok na kartonik. Kiedy doszła do linijki z nazwą zawodu, jej wzrok zatrzymał się.

- Ty... Jesteś prywatnym detektywem? - powiedziała z namysłem i zatrzymała się.

- Tak. Poza tym pracuję dla twojego męża.

Obróciła się do koleżanki, która również się zatrzymała.

- Idź dalej, za chwilę do ciebie dołączę - zwróciła się do niej. Susanne Foli odczekała, aż jej koleżanka zniknie w tłumie przechodniów.

- Powtórz to jeszcze raz.

- Pracuję dla twojego męża. Znalazł w twojej torebce trzy prezerwatywy i teraz niepokoi się kwestią twojej małżeńskiej wierności.

Przygryzła wargi.

- Masz mnie więc teraz na widelcu?

- Nie, chciałbym żebyś, jakby od niechcienia, przekazała mu rozsądne wyjaśnienie na temat tych trzech prezerwatyw i żebyś w przyszłości zachowywała większą ostrożność - zrobił

krótką pauzę, potem dodał: - On cię kocha i naprawdę bardzo się niepokoi.

- Nie zdradzisz mnie?

- Nie zrobiłem tego już za pierwszym razem.

- Biedak. Tyle musi znosić z powodu swojej niewiernej żony.

Podeszła do Denglera i cmoknęła go w policzek. Zapach słodkich perfum uderzył go w nozdrza.

- Dzięki. Wielkie dzięki. Odwróciła się i pobiegła za koleżanką.

54. Steven Blackmore siedział spętany w remizie strażackiej

Steven Blackmore siedział spętany w remizie strażackiej. Ręce związane mu na plecach, drugą liną przywiązany był do drewnianej kraty, która była zamontowana na całej tylnej ścianie szopy. Na jej szczeblach wisały na dużych hakach wiadra gaśnicze, stare strażackie płaszcze oraz kilka zapasowych sikawek. Blackmore nie widział jednak wozów strażackich.

Najprawdopodobniej wozy były jeszcze w Bruchsal, gdzie uczestniczyły w akcji gaszenia pożarów spowodowanych nalotami bombowców US Air Force.

Wcześniej jakiś lekarz bez słowa opatrzył mu ranę. Poza nim i dwoma podrostkami nie widział tu żadnych innych Niemców.

Ostrożnie potarł liną o kant drewnianej listwy. Być może uda mu się przy odrobinie mozołu i

cierpliwości przetrzeć sznur. Szarpnął więzami i poczuł, że cała drewniana krata wygięła się pod jego naciskiem. Gdyby jednak zdołał oderwać kratę od ściany, upadające wiadra i sikawki spowodowałyby piekielny hałas. Było to jego zdaniem zbyt ryzykowne.

Remiza strażacka w Gündlingen była pogrążona w półmroku. Jedyne przez duże okno w dachu do wnętrza szopy wpadało nieco światła. Promienie oświetlały dokładnie to miejsce, w którym Niemcy go związali.

Powoli i rytmicznie ocierał pęta o kant drewnianej listwy.

55. Po południu

Po południu Denglerowi się poszczęściło. Linia telefoniczna do majora Hookera była wreszcie wolna. Major odebrał po trzecim sygnale. Człowiek ten mówił po niemiecku z silnym amerykańskim akcentem. Dengler wyjaśnił, kim jest.

- Prowadzę poszukiwania amerykańskiego pilota, który został zestrzelony.

Major Hooker roześmiał się głośno.

- Dobrze sobie. To samo robię całymi dniami. Jak nazywa się ten pana człowiek?

- Steven Blackmore.

- Zaginiony 1 marca 1945 roku. Zestrzelony w trakcie ataku na dworzec kolejowy w miejscowości Bruchsal - głos Hookera brzmiał tak, jakby zdawał raport przełożonemu.

- Zna pan tę sprawę?

- Tak, oczywiście. Znam tę sprawę.

- Czy może mi pan opowiedzieć nieco więcej o niej?

- Najlepiej niech mnie pan odwiedzi.

- Jutro?

- *Fine.*

Amerykanie wycofali wprawdzie dwie duże jednostki z terenu Niemiec, wciąż jednak zachowali do swojej dyspozycji lotnisko w Ramstein pod Kaiserslautern i wykorzystywali je jako strategiczną bazę w trakcie wojny z Irakiem. Również poligon w Baumholder, zaledwie kilka kilometrów od lotniska, pozostał do ich dyspozycji. Wokół Ramstein skupiły się rozmaite placówki podległe armii Stanów Zjednoczonych. Wśród nich była też nieduża komórka o nazwie US Army Memorial Affairs Activities, która znajdowała się w smukłym dwupiętrowym budynku, położonym w parkowej

dzielnicy na skraju miejscowości Landstuhl. Major Hooker przesłał Denglerowi mailem precyzyjny plan dojazdu. Ulica nosiła nazwę George Washington Avenue. Georg Dengler pojechał pociągiem do Kaiserslautern, a stamtąd wziął taksówkę.

Kierowca zatrzymał się na parkingu przed budynkiem. Georg Dengler zapłacił i wysiadł.

W przedpokoju biura siedziała młoda kobieta, której wiek detektyw ocenił na dwadzieścia lat. Zapytała go w dialekcie typowym dla Palatynatu, w jakiej sprawie przychodzi, po czym zaprowadziła do biura majora.

Hooker miał na sobie mundur, który opinał jego zdumiewająco otyłe ciało. Siedział za biurkiem zasypanym papierzyskami i telefonował. Przywitał gestem Denglera i wskazał mu krzesło, na którym również znajdowała się sterta papierów. Szybkim ruchem nakazał Denglerowi uprzątnąć papiery i usiąść. Detektyw ostrożnie wziął kartki formatu A4, faksy i wydruki poczty elektronicznej. Zrobił z nich równy plik i położył ostrożnie na biurku. Kiedy major odłożył już słuchawkę na widelki, zerwał się równocześnie z miejsca, szybkim krokiem obiegł

biurko i wyciągnął dłoń w stronę Denglera. Detektyw uścisnął ją, a major potrząsnął nią, jakby byli przyjaciółmi, którzy nie widzieli się od bardzo dawna.

- Zamierza pan wykonywać moją robotę - zaczął major. Dengler roześmiał się.

- Nie, szukam tylko jednego zaginionego.

- Niczego pan nie znajdzie - zawyrokował Hooker i opadł na drewniane krzesło za swoim biurkiem. Krzesło zatrzeszczało.

- Otrzymałem zlecenie od jego syna, który przy okazji jest moim przyjacielem - wyjaśnił Dengler.

- Steven Blackmore, takie nazwisko wymienił pan przez telefon.

Hooker zerwał się z miejsca. Podbiegł do biurowej szafy i z głośnym stuknięciem otworzył rozsuwane drzwi na całą szerokość. Położył ręce na biodrach i przebiegał wzrokiem grzbiety niezliczonych segregatorów z dokumentami.

- O, mamy go! - zawołał i wyciągnął z szafy wąski segregator. Zaczął kartkować wpięte do niego dokumenty. Szybkim krokiem podszedł ponownie do biurka i raz jeszcze usiadł z impetem na krześle, które pod jego ciężarem ugięło się niczym nadmiernie obciążony osioł.

Gwałtownym ruchem rzucił segregator na biurko.

Dengler wziął segregator do ręki.

Duża fotografia. Zdjęcie czarno-białe. Portret. Młody czarnoskóry mężczyzna w czapce od munduru spogląda w obiektyw aparatu. Szerokie usta sugerowały uśmiech, jednak oczy spoglądały poważnie i z godnością w obiektyw.

„Zupełnie jak młodzieńcze zdjęcie Juniora”.

Dengler obserwował majora Hookera, który odchylił się do tyłu. Krzesło zareagowało na ten ruch ostrzegawczym trzeszczeniem. Twarz majora nagle spoważniała.

- To człowiek, którego szukam - potwierdził Dengler.

- Moi ludzie szukają tego żołnierza już ponad sześćdziesiąt lat. Przepraszam, ale nigdy nie przyzwyczaję się do „ü” w waszym języku... - roześmiał się Hooker. - Do waszego „ö” też się nigdy nie przyzwyczaję.

Wstał, krzesło uniosło się z ulgą do góry na sprężynie. Hooker obszedł biurko dookoła i oparł się pośladkami o kant blatu.

- Niech pan zobaczy - rzekł i wziął do ręki segregator. - Tu są kopie rozkazów bojowych, wydanych eskadrom bombowców trzysta siedemdziesiątej dziewiątej, trzysta czwartej oraz trzysta czterdziestej czwartej.

Zwrócił uwagę Georga Denglera na mapę, na której oddzielnymi liniami zaznaczono trasy przelotu trzech eskadr bombowców.

- Tu - mięsisty palec Hookera podążał za linią na mapie. - Samoloty zebrały się razem nad Strasburgiem. W sumie sto osiemnaście maszyn. Do tego doszło kilka mustangów z zadaniem ochrony. Wśród nich maszyna porucznika Blackmore'a Leciąły z południa na północ.

Później samoloty zawróciły, ale wiemy, że Blackmore poleciał dalej prosto na północ, gdyż tam na linii kolejowej stał pociąg z działkami obrony przeciwlotniczej, które ostrzeliwały nasze bombowce. Widziały to załogi bombowców. Gdy wykonywał ten manewr, został trafiony.

Potem katapultował się. Jego mustang leciał jeszcze przez chwilę i spadł na ziemię w pobliskim lesie.

Palec majora wskazał punkt na mapie. Później oficer prze-wertował znów strony w segregatorze i pokazał Denglerowi kilka czarno-białych fotografii.

- To miejsce, w którym maszyna się rozbiła, i szczątki mustanga.

Zdjęcie przedstawiało wrak samolotu, który aż po kokpit wrył się w ziemię. Na drugiej fotografii Dengler dostrzegł dziwacznie wygięte śmigło. Kolejne zdjęcie było ujęciem miejsca upadku z powietrza, wykonano je z niedużej wysokości. Dengler widział dobrze leśny dukt, który spadająca maszyna wyrąbała w lesie.

- Zdjęcia te zostały wykonane przez jedną z naszych błyskawic kilka godzin po ze-strzeleniu - dodał Hooker.

Ponownie wziął segregator z ręki Denglera i kartkował.

- To są kopie rozkazów bojowych przelotów, a tutaj plan lotu. Ponownie wręczył

Denglerowi segregator.

Georg Dengler nachylił się nad mapą. „Track Chart - Datę 1 March 1945” - przeczytał.

Na lotniczej mapie przedstawiono za pomocą precyzyjnych linii i strzałek trasę przelotu trzech eskadr bombowców. Start na południu Anglii, miejsce zbiórki w pobliżu wybrzeża, potem droga z Anglii nad kanałem La Manche. Punkt zborny na południe od Strasburga, gdzie do bombowców dołączył myśliwiec z ojcem Juniora. Później bombowce przeszły do mniej zwartego szyku i zaczęły tworzyć poszczególne bojowe skrzydła, kierując się na wyznaczone im cele.

Po skończonym nalocie na Bruchsal trzy eskadry bombowców zakreśliły na wschód, wykonały pętle i wzięły powrotny kurs na lotniska w południowej Anglii. W trakcie zadania bojowego żaden z bombowców nie został zestrzelony.

Hooker wciąż siedział na blacie biurka przed Denglerem. Po raz kolejny zabrał mu z rąk segregator i znów wertował papiery. Za każdym razem, gdy przewracał stronę, unosiła się niewielka chmurka kurzu.

- Tutaj - powiedział Hooker i zdmuchnął kurz na bok. - Tu znajdują się relacje do-wódców na temat zestrzelenia mustanga. Zostawię pana na chwilę samego. Są też materiały z dochodzenia prowadzonego przez niemiecką policję kryminalną bezpośrednio po wojnie. Tych akt jednak nie mamy. Ale zrobię panu kopie wszystkich najważniejszych dokumentów zwią-

zanych z tą sprawą, jakimi dysponujemy.

Wręczył Denglerowi segregator i opuścił pomieszczenie.

Kopie protokołów z przelotu dało się jeszcze odczytać, chociaż papier nabrał już koloru ciemnobrązowego, kolor czcionek zapisanych maszyną do pisania w niektórych miejscach nie dał się już jednak odróżnić. Papier był już zmurszały. Georg Dengler odwracał więc kartki bardzo ostrożnie.

Raporty dowódców bombowców były jednoznaczne i nie przeczyły sobie nawzajem.

Drugie skrzydło eskadry, które leciało na wysokim pułapie, nie mogło w pierwszym natarciu zrzucić bomb, gdyż znalazło się zbyt blisko pierwszego skrzydła. Maszyny musiały więc wykonać pełne koło i ustawić się za samolotami w trzeciej linii natarcia, by móc zrzucić śmiertelne ładunki. Pilot mustanga asekurował ten manewr. Później dostrzegł na północy stanowiska artylerii przeciwlotniczej i odleciał w tamtym kierunku.

Drzwi otworzyły się. Major Hooker przyniósł mu kawę.

- Niech pan spojrzy, majorze. W tym miejscu maszyna musiała zostać trafiona. Pilot wtedy się katapultował. Samolot leciał jeszcze jakiś czas i musiał spaść gdzieś w tym miejscu.

Hooker nachylił się nad mapą.

- Gündlingen - rzekł. - Ale z tym waszym przeklętym „ü”.

- Gündlingen - poprawił go Georg Dengler.

- Tak, Gündlingen. U was w Niemczech same tylko Nürnberg, Göttingen, Nördlingen i Gündlingen.

- Tę ostatnią miejscowość znam i to nawet całkiem dobrze.

56. Po powrocie do Stuttgartu

Po powrocie do Stuttgartu, Dengler zaczął od odsłuchania automatycznej sekretarki.

Pierwszy telefon był od Antona Folia.

- Halo, panie Dengler. Jego głos tryskał radością.

- Może pan wstrzymać dochodzenie - kontynuował głos. - Susanne opowiedziała mi wczoraj, że jeden z rekrutów położył prezerwatywy na jej biurku. W końcu pracuje w Komendzie Uzupełnień, przecież pan o tym wie. Był to więc tylko głupi łobuzerski dowcip, który tak bardzo mnie zaniepokoił. Przypadek jest zatem rozwiązany.

Foli roześmiał się, a potem odłożył słuchawkę.

- Security Services Nolte & Partners, dzień dobry, panie Dengler. Prosimy o oddzwonienie. Pan Nolte chciałby kontynuować współpracę z panem. Proszę zadzwonić do nas natychmiast. Dziękuję.

- Halo, mówi twój kolega, Gerd Rümmlin. Georg, muszę z tobą koniecznie...

Łasica.

Dengler nacisnął przycisk kasowania. Głos Łasicy zamilkł w połowie zdania...

Później dzwonił Mario, przyjaciel Denglera, który był z wizytą u ojca we Włoszech.

Zamierzał zostać tam kilka tygodni dłużej i przywieźć z sobą nowe kulinarne przepisy.

Później odezwał się głos jego matki - dzwoniła z kliniki rehabilitacyjnej i zostawiła numer do siebie. Georg oddzwonił do niej. Powiedziała mu, że czuje się już dobrze. Lekarze byli zadowoleni ze stanu jej serca. Zaczęła też robić plany. Wkrótce chciała powrócić do Altglashütten i dalej prowadzić pensjonat. Zamierzała zaproponować pani Willmann, matce Mario, by przeprowadziła się do gospodarstwa Denglerów. Planowała też kilka prac budowlanych w obrębie pensjonatu. Jej głos brzmiał mocno i była tak pewna siebie, że nie pamiętał

już, kiedy ostatnio słyszał, by wyrzuciła z siebie tyle słów.

Georg przejrzał pocztę. Reklama, rachunki, znowu reklama - nic ważnego. Nolte przelał

już honorarium za ochronę na przyjęciu u miliarderów.

Dengler usiadł za biurkiem i zastanowił się. Wiedział teraz, gdzie został zestrzelony ojciec Juniora. Będzie musiał odnaleźć to miejsce. Odwiedzi też komisariat policji kryminalnej w Bruchsal. Ucieszył się też na myśl o kolejnej porcji pieczeni z różną w Hotelu Zamkowym.

Wieczorem zaprosił Olgę i Martina Kleina na butelkę wina. Do odtwarzacza włożył

nagranie Juniora Wellsa na żywo.

- Podjąłem już decyzję. Napiszę kryminał o futbolowej mafii - oznajmił Klein. - Twoje sprawy zupełnie nie nadają się na moją książkę.

- Ty przecież w ogóle nie znasz się na piłce - wyraziła sceptycyzm Olga. - O mafii przypuszczalnie wiem więcej niż ty!

- W futbolu zawsze przegrywają dobrzy, a ci, których się nie lubi, zdobywają tytuł

mistrza Niemiec. To nie może być przypadek.

- Freiburg znowu spada w tabelach, sądzisz, że jest to sprawka mafii? W końcu wydaje się, że sami piłkarze tego chcą - skomentował Dengler.

- Moim zdaniem futbol to kwestia pieniędzy - wtrąciła Olga. - Gdyby ustawić kluby piłkarskie w szeregu według kwot, jakimi dysponują, wtedy najprawdopodobniej układ tabeli na koniec sezonu byłby identyczny.

Martin Klein zamierzał zaprotestować, ale Dengler napełnił już ich kieliszki. Potem zdał sprawę z rozmowy z amerykańskim majorem.

- W jaki sposób zamierzasz wyjaśnić losy ojca Juniora, skoro nie poradziła sobie z tym armia Stanów Zjednoczonych?

- zapytała Olga.

Georg wyjaśnił im swój plan.

- Policja kryminalna dysponuje pewnymi aktami. Poza tym muszą jeszcze żyć jacyś świadkowie. Wyobraź sobie całą sytuację. Podczas ostatnich tygodni wojny czarny żołnierz trafia do niewielkiego miasteczka albo ukrywa się gdzieś w pobliżu. Z pewnością ktoś musiał

to zauważyć i nawet jeśli był tylko jeden świadek, oczywiście komuś o tym opowiedział.

Przejdę szlakiem od Gündlingen do Bruchsal aż po Ren, podążając przypuszczalną drogą ucieczki Stevena Blackmore'a. Będę wypytywał starszych ludzi. Podczas dochodzenia zleco-nego przez rodzeństwo Sternbergów poznałem już kilku świadków, którzy żyli tam w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku.

- Czy znasz drogę ucieczki Blackmore'a? - zapytał Martin Klein i uniósł kieliszek. -

Być może nie zdołał przeżyć upadku maszyny.

- Nie można tego wykluczyć, w takim razie powinienem odnaleźć jego ciało. Nawet jeśli nie przeżył... Major Hooker stwierdził, że zestrzeleni piloci zawsze postępowali w ten sam sposób. Usiłowali dotrzeć najkrótszą drogą do własnych oddziałów.

- Kiedy dokładnie został zestrzelony Blackmore?
- Pierwszego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.
- Zatem front z pewnością nie znajdował się zbyt daleko. Być może musiał gdzieś się ukryć i zaczekać, aż nadejdą Amerykanie.
- Być może został ranny, a potem zmarł - dodała Olga.
- Wtedy zostałyby po nim tylko doczesne szczątki, zaledwie kilka kości w jego kryjówce.
- Być może macie rację. Muszę to wyjaśnić - skomentował Georg Dengler.
- Chciałabym uczestniczyć w twoich przesłuchaniach - zadeklarowała Olga.

Georg Dengler roześmiał się.

- Nie prowadzę przesłuchań, przecież nie jestem już policjantem. Po prostu rozmawiam z ludźmi. Zadaję pytania.
- Weźmiesz mnie z sobą?

Spojrzał na nią. Jej twarz była pełna ciekawości.

- Georg - kusila go. - Proszę, zabierz mnie z sobą!
- Ona zamierza tylko opróżniać portfele starych ludzi - skomentował z sarkazmem Martin Klein.

Olga skierowała na niego spojrzenie przesycone gniewem.

- No dobrze. Nie mam nic przeciwko temu. Będiesz moją asystentką - zakończył temat Georg Dengler. Olga aż klasnęła z radości.

57. Siedziba policji kryminalnej znajdowała się w nowym budynku

Siedziba policji kryminalnej znajdowała się w nowym budynku komendy policji.

Dengler przedstawił się jako były kolega, a pełniący służbę nadkomisarz bardzo chętnie pokazał mu nowe pomieszczenia, z których najwyraźniej był bardzo dumny.

Nadkomisarz Langenstein był uprzejmym urzędnikiem. Na jego policzkach i szyi widniały czerwone plamy, które pojawiały się najwyraźniej w chwilach zdenerwowania. Miał

około pięćdziesięciu lat, sprawiał wrażenie osoby doświadczonej i sumiennej.

- Nawet jeśli jest pan naszym byłym kolegą, nie mogę panu zapewnić wglądu w żadne akta - oznajmił, gdy Dengler wyłuszczył mu swoją prośbę.

- Sprawa jest tak stara, że prawdopodobnie nie będzie pan już w stanie znaleźć tych akt

- zasugerował Dengler.

Langenstein zmarszczył czoło.

- Chce pan przez to powiedzieć, że policja kryminalna w Bruchsal ma bałagan w pa-pierach? Czy to właśnie chce pan powiedzieć?

Dengler patrzył, jak kolejne partie jego twarzy pokrywały się purpurą. Nie ulegało wątpliwości, że człowiek ten był bardzo wrażliwy na punkcie honoru.

- To było bardzo dawno. Zanim przyszedł pan na świat. Poza tym, ta sprawa nie została rozwiązana.

- My tutaj nie gubimy żadnych akt!

Langenstein zerwał się na równe nogi. Podbiegł do telefonu, który stał na parapecie przy oknie. Wbił wściekle trzy liczby z klawiatury.

- Potrzebujemy akta z tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku lub krótko potem.

Muszą się znajdować wśród spraw nierozwiązanych, osoby zaginione. Teczka: Blackmore.

Rzucił słuchawkę na widełki z takim impetem, że aparat aż podskoczył. Langenstein uśmiechnął się z przekąsem w stronę Denglera.

- Teraz przekona się pan na własne oczy, że nasze archiwum jest prowadzone z właściwą starannością i skrupulatnością.

Czekali w milczeniu.

Po trzech minutach sekretarka w długiej bawełnianej spódnicy wniosła zakurzone akta i położyła je na biurku przed Langensteinem. Wziął je i otrzepał kurz z okładek. Powoli otworzył

teczkę i pogrążył się w lekturze.

Dengler wciąż czekał. Widział, że Langenstein od czasu do czasu marszczył czoło, wertował strony raz do przodu, raz do tyłu, kiwał z niedowierzaniem głową i w końcu zamknął

teczkę.

- Została powołana grupa dochodzeniowa. W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, dwa lata po wojnie - oznajmił. - Ale nie mogę panu wydać tych akt.

- Jeśli istniała grupa dochodzeniowa, musiał ktoś tą grupą kierować.

Langenstein otworzył okładkę teczki i znów zaczął ją kartkować.

- Altmeier. Hans Altmeier. To on kierował wtedy dochodzeniem.

- Mam nadzieję, że jeszcze żyje. Langenstein roześmiał się.

- To najbardziej dziarski i krzepki emeryt, jakiego znam. Podczas bożonarodzeniowego spotkania co roku czyta własne wiersze.

Napisał coś na kartce papieru i podał ją Denglerowi.

- Tu ma pan jego adres oraz numer telefonu. Dengler podziękował i wyszedł. Następnym pociągiem wrócił do Stuttgartu.

58. Wczesnym rankiem

Wczesnym rankiem zadzwonił pod numer, który otrzymał od nadkomisarza Langensteina. Hans Altmeier odebrał natychmiast, jakby czekał na ten telefon. Denglera zdziwił jego silny głos. Ten człowiek musiał mieć ponad osiemdziesiąt lat, mówił jednak przez telefon tak, jakby zamierzał komenderować całą kompanią policjantów. No i był gotów natychmiast odebrać telefon.

Dengler i Olga pojechali pociągiem do Bruchsal. Kiedy ich taksówka zaparkowała pod domem Altmeiera przy niewielkiej uliczce z willami, gospodarz czekał już na nich przed drzwiami wejściowymi i przywitał ich, machając przyjaźnie ręką. Następnie powitał Olgę, całując ją w dłoń i zaprosił oboje do pokoju gościnnego.

Hans Altmeier był roslym mężczyzną. Trzymał się prosto, nawet zbyt prosto, jak stwierdził Dengler. Niemal jak ktoś, kto całe życie spędził w wojsku. Miał rzadkie, siwe włosy, które starannie zaczesał do tyłu. Nosił też okulary w modnych srebrzystych oprawkach, a w uchu miał ukryty - co zauważył Dengler - nowoczesny, niemal niedostrzegalny aparat słu-chowy.

„Ten człowiek musi być bardzo samotny - pomyślał Dengler. - Prawdopodobnie nie-wiele osób go odwiedza”.

Pokój gościnny Altmeiera zdominowała ogromna wbudowana szafa, wykonana z ciemnego drewna, która wypełniała niemal trzy ściany od podłogi do sufitu. Na regale stało kilka książek. Dengler rozpoznał grzbiety z tytułami policyjnej pracy dochodzeniowej, a także książki Kirsta, jeden tom Ernsta Jün-gera i pamiętniki Henryego Kissingera, dyplom za spor-towe wyniki, pięć książek na temat wędkarstwa. Była tam też cała armia ołowianych żołnie-rzyków, którzy na dwóch półkach toczyli z sobą zażartą bitwę. Na wolnej ścianie obok okna tykał zegar z kukułką. Na stole leżały serwetki zrobione szydełkiem, na nich stały trzy filiżanki malowane w kwieciste wzory oraz dzbanek, z którego dochodził aromat kawy.

- Dobra stara kawa parzona z filtrem - oznajmił Altmeier i zaprosił ich gestem, by zajęli miejsca. - Mam nadzieję, że gustują państwo w czymś tak staromodnym.

- Piję taką kawę przez całe życie - z radością odparła Olga, obdarzając starego człowieka promienistym uśmiechem, i usiadła.

Dengler zerknął na nią poirytowany i usiadł ostrożnie obok niej na kanapie.

- Prowadzę poszukiwania pewnego amerykańskiego pilota - rozpoczął rozmowę. -

Pierwszego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku został on zestrzelony nad Bruchsal. Po wojnie prowadził pan grupę dochodzeniową, która zajmowała się tą sprawą.

Dengler dostrzegł, jak czoło Altmeiera zmarszczyło się. „Wygląda tak, jakby był rozczarowany tym, że poruszam właśnie ten temat”.

- Musiał pan być wtedy jeszcze bardzo młody - wtrąciła Olga i ponownie obdarzyła Altmeiera

ciepłym uśmiechem.

Na twarzy starego mężczyzny znów pojawił się wyraz odprężenia. Nalał kawę do filiżanek.

- Tak, wtedy byłem jeszcze bardzo młody. Czy mogę zapytać, co interesuje państwa w tej sprawie?

- Poszukuję pilota na zlecenie jego syna.

Altmeier usiadł. Prawą dłonią pocierał podbródek. W końcu spojrzął na Olgę.

- Tak, byłem bardzo młody. Rozpierała mnie radość, że... Że zdołałem ujść z wojny z życiem.

- Była to pańska pierwsza sprawa? - chciała wiedzieć Olga.

- Tak, młoda damo, moja pierwsza sprawa.

- I? Czy zdołał ją pan rozwiązać?

- Niestety nie. Nie dowiedzieliśmy się niczego, co mogłoby wyjaśnić los tego człowieka. W raporcie końcowym napisaliśmy, że być może jego spadochron zajął się ogniem, kiedy lądował nad płonącym Bruchsal.

- Czy istniały ku temu jakieś poszlaki? Resztki spalonego spadochronu? - zapytał

Dengler. - Czy ktoś sporządził ekspertyzę?

Stary człowiek roześmiał się.

- Młody człowieku, czy sądzi pan, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku pracowaliśmy takimi metodami? Któż wówczas myślał o pisaniu ekspertyz?

- Należało przecież rozstrzygnąć jednoznacznie, czy taka teza jest nie do obalenia.

Altmeier odstawił filiżankę z kawą na spodek z głośnym stuknięciem. Na jego twarzy pojawił się nagle wyraz lodowatego chłodu.

- Proszę pana. Amerykanie spalili Bruchsal ze szczeniem. Zginęło ponad tysiąc mieszkańców. Później ci sami Amerykanie chcieli nas nakłonić do tego, żebyśmy szukali jakiegoś ich... czarnucha.

Nagle w małym pokoju gościnnym zapadła cisza. Tylko zegar z kukułką nie przestał tykać. Olga spojrzała na starca z dezaprobatą.

- Dlaczego w ogóle sporządził pan ten raport? - zapytała go.

- Po to, żeby Amerykanie dali nam spokój. Żeby nie podejrzewali więcej żadnego Niemca.

Olga i Dengler spojrzeli na Altmeiera. Dopiero po chwili zrozumiał ich spojrzenia.

- Nie wiecie przecież, co się działo po wojnie. Kiedy przyszli Francuzi, wszystkich nas aresztowano i wsadzono do paki. Wszystkich policjantów. Wyobraźcie to sobie! Więźniowie zostali wypuszczeni i nas pilnowali. Takie było prawo i porządek w tamtych czasach. Wszystko zostało postawione na głowie. Zdjęliśmy mundury i mimo to nas aresztowano.

Oddychał ciężko.

- W jaki więc sposób Francuzi rozpoznali pana bez munduru? - chciała wiedzieć Olga.

Stary człowiek nie był do końca pewien, czy zamierza udzielić odpowiedzi na to pytanie.

- Nie mieliśmy przecież cywilnych butów - odpowiedział po chwili cichym głosem. -

Francuzi rozpoznali nas po butach. Siedzieliśmy w pace przez tydzień. Później zauważyli, że nas potrzebują. Dacie wiarę, że każdy chciałby zapomnieć to, co wtedy przeżyliśmy? Później oni chcieli od nas, żebyśmy poszukiwali ich ludzi.

- Jestem zdania, że musimy już iść - powiedziała nagle Olga i wstała.

Dengler pożegnał się ze starszym mężczyzną i podążył za nią. Oboje nie tknęli nawet kawy.

- Przykro mi, Georg - odezwała się, kiedy byli już na zewnątrz. - Nie mogłam dłużej znieść tego typu.

Dengler wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i wystukał jakiś numer.

- Panie nadkomisarzu - odezwał się, kiedy po drugiej stronie zgłosił się komisarz Langenstein. - Kiedy czytał pan te stare akta, widziałem, że kilka razy kręcił pan z niedowierzaniem głową. Rozmawialiśmy przed chwilą z emerytowanym nadkomisarzem Altmeierem.

Zadam panu pytanie wprost: czy mogło się zdarzyć, że ta robota nie stanowiła wzorcowego przykładu policyjnego dochodzenia?

- Bingo - odparł Langenstein i bez dalszego komentarza odłożył słuchawkę.

- Co teraz robimy? - zapytała go Olga.

- Zjemy pieczeń z rożna - odparł Dengler i zadzwonił po taksówkę.

59. Samochód zawiózł ich do Hotelu Zamkowego

Samochód zawiózł ich do Hotelu Zamkowego. Olga wysiadła i przeciągnęła się w promieniach słońca. Georg zapłacił taksówkarzowi. Był ciepły wiosenny dzień. Na drzewach pojawiły się pierwsze zielone pąki. Na małym parkingu nie było już samochodów, gdyż rodzina Rothów wystawiła pod gołym niebem stoliki i krzesła. Olga oparła się o plecy Georga.

- To piękne miejsce na obiad - oznajmiła. - Ale z pewnością nie jest to jedyny powód, dla którego przywiozłeś mnie tutaj.

Dengler roześmiał się.

- Mieszka tu pewien stary człowiek, który być może będzie mógł nam coś powiedzieć na temat ojca Juniora Wellsa. Poza tym pieczeń z różna jest naprawdę wyśmienita.

Weszli do lokalu. Znow ten tak dobrze znajomy mu widok. Nad otwartym ogniem obracały się trzy duże porcje mięsa. Z tyłu za barem stał Kurt Roth i nalewał piwo. Przy okrągłym stole przed barem siedział jego ojciec w kratkowanej czapce z daszkiem, a przed nim butelka piwa czekała w ciepłej kąpieli. Maria Roth, jego wnuczka, niosła w pośpiechu dwa pełne talerze do jednego ze stolików, a na nich dwie wspaniałe porcje pieczeni z różna. Były więc tu obecne trzy pokolenia rodziny Rothów.

Dengler skinął głową w ich stronę i usiadł przy stoliku obok drzwi.

„To jest już niemal moje stałe miejsce”.

Maria Roth podeszła do nich i podała dwie karty dań.

- Pani życzenie zostało spełnione - odezwał się do niej Georg Dengler. - Zostawiam was w spokoju. Już nie pracuję dla Sternbergów.

- Wiem - odparła. - Robert mi o tym powiedział. „Robert? Czyżby ci dwoje zostali parą?”. Uśmiechnęła się do niego.

„Nawet do siebie pasują, tak dobrze jak ja i Olga”.

Olga wertowała menu.

- Co powinnam zjeść? Zamów coś dla mnie - zasugerowała.

- Specjalność lokalu. Poprosimy o dwie porcje pieczeni z różna z sałatką z chrzanu, wodę mineralną oraz karafkę białego wina z miejscowych winnic.

Maria Roth zanotowała zamówienie. Dengler zauważył, że zwleka z odejściem. „Chce mi coś powiedzieć”. Przysiadła się.

- Ilona Sternberg wynajęła nowego detektywa. Robert sprzeciwił się temu, ale mimo to ona postawiła na swoim.

Wskazała kciukiem na stół z tyłu umieszczony w cieniu obok okna.

- Tam siedzi ten facet - dodała Maria Roth.

Dengler poczuł jak krew w nim zastyga. W kącie siedział Łasica przed porcją pieczeni z różna. Przeżuwał pełnymi ustami i wykonał powitalny gest w stronę Georga Denglera.

- Nie chcę mieć z tym draniem nigdy więcej do czynienia - stwierdził Dengler.

- Teraz on węszy w naszych sprawach - dodała Maria Roth i wstała od stolika.

- Kto to jest? - zapytała szeptem Olga.

- To ten prywatny detektyw, który zawlókł mnie na kontrolę domu tej matki żyjącej samotnie z zasiłku. Nazywa się Gerd Rümmlin i także jest prywatnym detektywem. Wymy-

śliłem dla niego przezwisko Łasica.

Olga zachichotała cicho.

- Pasuje jak ulał.

Rümmlin otarł usta serwetką i wstał. Przeszedł pospiesznym krokiem przez salę i stanął przed Denglerem.

- Witaj, Georg - rzekł na przywitanie. - Przez cały czas usiłuję się z tobą skontaktować.

Znasz już najnowszą nowinę?

- Z pewnością mi ją wyjawisz - odparł Dengler z wyraźną pogardą i spojrzał przez okno na zewnątrz. Łasica niezaproszony przysiadł się do stolika. Georg zauważył, że stary Albert Roth odwrócił się i spoglądał na nich spod czapki z daszkiem. Także Kurt Roth patrzył w ich kierunku. Stał za barem ze szklanką w jednej i ścierką w drugiej ręce, nie wycierał jednak naczyń.

Łasica odwrócił się, skinął ręką w kierunku Marii Roth, chcąc zamówić piwo, ona jednak udawała, że go nie zauważyła. Rümmlin pochylił się nad stołem.

- Prowadzę teraz twoją sprawę.

Twarz Denglera nie zmieniła wyrazu.

- Opowiedz mi coś, czego nie wiem...

- A zatem już wiesz... - wyszeptał rozczarowany Łasica.

- To przecież wszystko jedno. Próbuję teraz rozwikłać to, co się stało z umową darowizny. W tej przekłętej przez Boga dziurze wszyscy trzymają jednak gęby na kłódkę. Czy zdołałeś dowiedzieć się czegoś?

W tym momencie Maria przyniosła do stolika zamówioną pieczeń z rożna, sałatkę z chrzanu, wodę oraz wino.

- Czego się dowiedziałeś? Jesteśmy przecież kolegami...

- znów spytał Rümmlin.

- Niczego - odparł Dengler sucho. - Niczego i jeszcze raz niczego. Teraz chciałbym w spokoju zjeść obiad wyłącznie w towarzystwie tej damy.

Rümmlin wyprostował się na krześle.

- Byłoby dla ciebie lepiej, gdybyśmy współpracowali - wydusił z siebie, wstał i obrażony, ale z nosem podniesionym do góry, wrócił na swoje miejsce.

Oldze najwyraźniej smakowała pieczeń z różna.

- Od dawna nie czułam się tak najedzona - skomentowała i poklepała się dłonią po brzuchu.

- Podejdę teraz do starszego mężczyzny przy tamtym stoliku i zapytam, czy wie coś na temat ojca Juniora Wellsa. Być może był w tamtym czasie w Gündlingen.

Olga przytaknęła.

- Idę z tobą - wyszeptła.

Podnieśli się razem i podeszli do okrągłego stolika. Dengler zapytał, czy mogą się do-siąść.

Albert Roth odpowiedział zapraszającym gestem. Stary mężczyzna spojrział na niego spod daszka czapki.

- Czy teraz poluje pan na nas stadnie? - wskazał dłonią w kierunku Łasicy, który spoglądał na nich ze swojego miejsca.

- Nie pracuję już dla Sternbergów - odparł Dengler. Stary człowiek kiwał powoli głową to w tę, to w drugą stronę, jakby zastanawiał się, czy powinien dać wiarę słowom detektywa, czy też nie.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka wszedł Robert Sternberg. Skinął

głową w kierunku Denglera, zignorował Łasicę i usiadł przy stoliku obok okna. Maria Roth natychmiast była przy nim i podała mu kartę dań.

„Poruszyła się tak lekko. Jak na skrzydłach. Są więc razem!

Dengler przypomniał sobie drobne taneczne ruchy, jakie wykonała Maria, kiedy zapytał

ją o jej przyszłość w Hotelu Zamkowym. Rzeczywiście oboje promienieli. Sposób, w jaki na siebie patrzyli, gdy Maria notowała zamówienie, nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

- To jest lokal publiczny - wymruczał Albert Roth spod czapki z daszkiem. - Jak pan widzi, może tu

przyjść każdy, jeśli tylko płaci.

Dengler roześmiał się.

- Niech pan się nie niepokoi moją osobą. Pracuję już nad inną sprawą i przypuszczalnie może pan okazać się pomocny. To sprawa, która sięga dawnych czasów.

- Proszę bardzo. Jeśli tylko będę w stanie pomóc.

- Czy w trakcie ostatnich miesięcy wojny był pan w Gündlingen?

Roth przytaknął ostrożnie.

- Służyłem wtedy w wojsku, ale przebywałem na urlopie w domu z powodu odniesionej rany.

Prawą dłonią uderzył o kolano.

- Odłamek. W środek łydki - dodał.

- Chodzi o pewnego amerykańskiego pilota - podjął temat Dengler. - Pierwszego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku został zestrzelony podczas bombardowania w Bruchsal i którego maszyna spadła w lesie niedaleko Gündlingen. Pilot katapultował się i zeskoczył na spadochronie. Gdzieś tutaj.

Nagle dłoń Alberta Rotha zaczęła drżeć. Jego twarz przybrała purpurowy kolor. Usi-

łował złapać oddech. Olga zerwała się z miejsca. Odchyliła tułów starszego mężczyzny do tyłu, żeby było mu łatwiej oddychać. Starca dopadł gwałtowny, silny atak kaszlu.

Kurt Roth wystrzelił zza baru jak z katapulty i wziął ojca pod ramię.

- Zaprowadzę cię na górę, ojciec - powiedział.

Starzec odsunął jednak jego rękę. Wstał od stołu drżąc i skierował wzrok na Denglera.

- Niech pan natychmiast opuści nasz dom, rozumie pan, nasz dom, natychmiast... I niech pan już nigdy więcej się tutaj nie pokazuje.

Kurt Roth podbiegł do drzwi i otworzył je szeroko. Georg Dengler i Olga wyszli na zewnątrz.

- Rozumiesz coś z tego? - zapytał Olgę, kiedy stali już przed Hotelem Zamkowym.

- Nie - odparła. - Ale jak widzę, za każdym razem, kiedy zadajesz pytania, stwarzasz poważne zagrożenie dla zdrowia męskiej linii Rothów. Opowiadałeś przecież Martinowi i mnie, że Kurt Roth dostał niemal zawału serca, kiedy podsunąłeś mu pod nos umowę. Dokument darowizny Hotelu Zamkowego. Teraz zaś jego ojciec, Albert Roth, dostaje ataku, ponieważ zapytałeś o zestrzelonego amerykańskiego pilota. Dlaczego?

60. Co teraz robimy?

- Co teraz robimy? - zapytała Olga, kiedy siedzieli w taksówce, która wiozła ich z powrotem do miasteczka.

- Zrobimy małą wycieczkę. Muszę trochę pomyśleć.

Z wewnętrznej kieszeni Dengler wyciągnął kopie dokumentów, jakie otrzymał od majora Hookera.

- To jest miejsce upadku maszyny.

Podał jej zdjęcia rozbitego mustanga, którego dziób wbił się w leśną glebę, później analizował mapę i podał taksówkarzowi konieczne wskazówki. Wysiedli przy końcu małej uliczki i pomaszerowali połą drogą pod mostem w stronę skraju lasu, który znajdował się na niewielkim wzniesieniu. Słońce świeciło ostro. Dengler zdjął marynarkę i zawiesił na ramionach. Olga zawiązała rękawy swojej kurtki wokół bioder.

- Dlaczego Albert Roth tak bardzo zdenerwował się twoim pytaniem? To jest coś, czego nie rozumiem.

- Przede wszystkim oznacza to, że on z pewnością coś wie na temat losu ojca Juniora Wellsa.

Dengler oparł się o pień drzewa i wyciągnął telefon komórkowy.

- Zapytajmy emerytowanego policjanta.

Detektyw wybrał numer Hansa Altmeiera. Tym razem telefon również został odebrany po pierwszym sygnale. Nadkomisarz w stanie spoczynku najwyraźniej pełnił wartę przy telefonie.

- Mówi Dengler. Moja koleżanka i ja, złożyliśmy panu wizytę dzisiejszego ranka.

Proszę odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie. Czy w trakcie dochodzenia w sprawie Blackmore'a przesłuchiwał pan również Alberta Rotha? Jego rodzina prowadzi Hotel Zamkowy od... - zastanowił się przez moment. - Od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku.

Olga oparła się o Denglera i także przycisnęła swoje ucho do jego telefonu, żeby móc usłyszeć odpowiedzi, jakich udzielał Altmeier.

- Niech pan posłucha - z aparatu komórkowego dobiegł chrapliwy głos emerytowanego policjanta. - Niech pan w końcu zostawi te stare sprawy. To wszystko już minęło. Minęło.

- Nie dla syna Stevena Blackmore'a, panie Altmeier. Jego syn chętnie dowiedziałby się, jaki los spotkał jego ojca.

Jednak Altmeier odłożył już słuchawkę.

Dengler pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Po raz któryś z rzędu kolejna osoba z Gündlingen przekonuje mnie, że powinienem zostawić te stare sprawy w spokoju, ponieważ one są już dawno przebrzmiałą historią.

Opowiedział Oldze o swoim spotkaniu z notariuszem Dillmannem.

- Być może istnieje jakiś związek między prowadzoną przez ciebie sprawą dziedziczenia a zestrzeleniem amerykańskiego samolotu - odparła.

Dengler pokręcił przecząco głową.

- Nie potrafię wyobrazić sobie żadnego powiązania.

- Dlaczego więc stary Roth tak mocno zareagował na twoje pytanie?

Dengler zastanowił się nad tą kwestią.

Powoli wchodzili na szczyt leśnego wzgórza.

- To musi być gdzieś tutaj - oznajmił Dengler. Rozejrzał się wokół siebie i jeszcze raz spojrział wnikliwie na mapę.

Olga pierwsza dostrzegła małą sadzawkę. Wskazała na zarośnięte chwastami brzegi.

Wciąż jeszcze wyraźnie można było dostrzec kontury zagłębienia. Dziura w ziemi miała szerokość ponad dwóch metrów i była wypełniona wodą. Po obu stronach brzeg dołu wydeptano, dzięki czemu powstało dojście do wodopoju. Dengler znalazł niedużą gałąź, przykłęknął i włożył ją do błotnistej toni. Woda miała głębokość około trzydziestu centymetrów.

- Dziki - rzekł. - Dziki przerobiły ten krater na bajoro do błotnych kąpielii.

Wskazał liczne tropy widoczne na powierzchni leśnej gleby.

- Czy po wylądowaniu na spadochronie wróciłabyś do zestrzelonej maszyny? - zapytał

Olęę.

Zastanowiła się.

- Tylko gdyby w maszynie znajdowały się rzeczy niezbędne do przeżycia, pieniądze, żywność, broń i moja kosmetyczka.

- Tak. W przeciwnym razie ryzyko byłoby zbyt wysokie. Niemcy z pewnością również natychmiast ruszyli w stronę zestrzelonej maszyny.

- Czy nie mówiłeś, że tego samego dnia Amerykanie dokonali nalotu bombowego na Bruchsal?

- Tak, takie było ich bojowe zadanie tamtego dnia.

- Zatem Niemcy byli zajęci gaszeniem pożarów, mieli też dużo pracy z ogromną liczbą zabitych i rannych. Blackmore mógł więc spokojnie wrócić do szczątków maszyny.

- W takim razie zostaje nam jedynie przeszukanie miejsca zdarzenia i zabezpieczenie śladów.

- Chyba coś ci się roi w głowie? Teraz, po ponad sześćdziesięciu latach?

Dengler zakasywał już jednak rękawy i zanurzył ręce w mętnej wodzie.

- Czego właściwie szukasz? - zapytała Olga. - Kijanek? Przecież zabrano stąd wszystko, kiedy znaleziono szczątki ma szyny. Pilota przecież wtedy tu nie było.

Olga nie mogła przestać się śmiać. Siedzieli z Martinem Kleinem i Leopoldem Herderem w barze Basta.

- Wyobraźcie sobie, jak Georg z zakasnymi rękawami koszuli przeczesuje palcami niczym widłami tę nie dającą się opisać breję i nagle krzyczy: „Znalazłem coś”. Biegnę do niego. Wyciąga z bagna coś ciemnego i pokrytego szlamem. Kiedy wytarliśmy to chusteczką, okazało się, że jest to...

W dłoni trzymała szablę dzika.

- Biedne zwierzę, z pewnością musiało cierpieć na ból zęba - skomentował Harder. Po czym spojrzał na Olgę i Denglera.

- Tworzycie razem ładną parę.

Dengler poczuł, jak zaczyna pulsować mu twarz. „Teraz zrobię się czerwony jak pensjonarka”. Przez chwilę zastanowił się, czy nie powinien się schylić, jakby coś spadło mu pod stół, żeby w ten sposób nikt nie spostrzegł rumieńców na jego twarzy. W końcu jednak postanowił, że tego nie robi. Niech Olga to zobaczy. Spojrzał w jej kierunku. Opuściła głowę i siedziała zupełnie nieruchomo. Georg odniósł wrażenie, że jej twarz lekko się zaczerwieniła.

Gdy wyszli z baru Basta, Harder pożegnał się. Martin Klein otworzył drzwi do ich domu i we troje weszli do środka. W korytarzu życzyli sobie nawzajem dobrej nocy. Żadne z nich nie dostrzegło jednak ciemnego renault, które stało przed domem.

61. Olga i Dengler jedli śniadanie

Olga i Dengler jedli razem śniadanie w Brenners Bistro. Zapowiadał się piękny dzień.

Kelnerzy wystawili stoliki i krzesła na zewnątrz, siedziało przy nich już kilku raczących się kawą i pograżonych w lekturze gazet klientów.

- Właściwie nie mamy żadnego punktu zaczepienia, który potwierdzałby, że czarnoskóry pilot dotarł kiedykolwiek do Gündlingen - powiedziała Olga.

- Poza dziwną reakcją starego Rotha na zadane przeze mnie pytanie.

- Tak, to rzeczywiście jest zastanawiające.

- Przepytałyśmy dziś starszych ludzi, z którymi rozmawiałem już przy okazji sprawy Sternbergów.

- Świetnie, praca detektywa jest naprawdę pasjonująca.

- Niestety słabo płatna.

- Jeśli potrzebujemy pieniędzy, wiesz przecież, wystarczy, że przejdę się do holu hotelu Maritim, a będziemy mogli spokojnie żyć przez cały miesiąc.

Dengler roześmiał się, Olga natomiast się zamyśliła. Zamówili białą kielbasę.

Około jedenastej wysiedli w Gündlingen z regionalnego ekspresu. Taksówką pojechali do starszego człowieka, który, paląc papierosa za papierosem, siedział w kuchni swojej córki i spędzał resztę życia na tęsknych marzeniach o obiecanych folwarkach na wschodzie.

Dengler trzymał się wcześniejszej wersji.

- Jak pan wie, jestem z gazety. Przygotowujemy reportaż na temat ostatnich dni wojny.

Był pan wówczas tutaj w Gündlingen?

Mężczyzna przytaknął. Zakasłał i przypalił kolejnego papierosa marki Ernte 23.

- Zamierzamy też napisać kilka słów na temat zestrzelonego amerykańskiego pilota, który wylądował wówczas na spadochronie.

Starzec spojrział na nich przerażonym wzrokiem.

- Nic o tym nie wiem. Absolutnie nic.

- Słyszeliśmy jednak, że widział pan tego amerykańskiego pilota - odezwała się nagle Olga.

„Co ona robi? Najwyraźniej blefuje”.

Starzec dostał ataku kaszlu. Dengler wyjął papierosa z jego dłoni i zdusił go w popielniczce. Olga zerwała się na równe nogi i klepnęła starego człowieka w plecy.

- Nie wiem nic. Ja... Nie mam z tym nic wspólnego - odezwał się w końcu.

- Nic wspólnego z czym? - Dengler i Olga zapytali jednocześnie.

Niczym zaszczone zwierzę starzec spoglądał to na Denglera, to na Olgę.

- Przestańcie grzebać w tych starych sprawach. Nie wyjdzie z tego nic dobrego - rzekł i podniósł się z trudem. - Nie wyjdzie z tego nic dobrego - powtórzył i pokuśtykał w stronę schodów.

Dengler i Olga pozostali sami w kuchni przesiąkniętej zapachem papierosowego dymu.

- Teraz przestałam już wątpić. Ojciec twojego przyjaciela był w tym miasteczku -

oznajmiła Olga, gdy po chwili znów stali na chodniku przed domem.

- Tak.

Poszli wzdłuż ulicy, na której znajdowały się nieduże domy jednorodzinne. W ślad za nimi ruszyło ciemne renault.

- Ach, znowu pan przyszedł - przywitała go Hedwig Weisskopf. Siedziała na ławce w ogrodzie domu starców i czytała powieść *Anioły i demony* pióra Dana Browna. Także dziś starsza dama była ubrana starannie, jakby zamierzała gdzieś wyjść. Miała na sobie beżowy kostium i brązową wyprasowaną i wykrochmaloną bluzkę, do której przypięła broszkę.

„Może warto byłoby ją zaprosić do miasta?” - pomyślał Dengler.

- Niech pani napije się z nami kawy gdzieś w miasteczku. Chcielibyśmy panią zaprosić

- powiedziała Olga, której przyszedł do głowy dokładnie ten sam pomysł.

Hedwig Weisskopf promieniała. Chciała jeszcze tylko założyć płaszcz.

- Chodźcie ze mną i zaczekajcie na mnie w świetlicy - powiedziała z ożywieniem.

Zagięła róg strony książki, włożyła ją pod pachę i drobnymi kroczkami ruszyła ku wielkiemu portalowi domu seniora w Gündlingen. Georg i Olga podążyli za nią. We wnętrzu budynku skręciła w lewo i zaprowadziła ich do świetlicy. W telewizji pokazywano powtórkę z wyścigów Formuły 1 z poprzedniego tygodnia. Dźwięk był podkreślony głośno, ale żaden z sześciu starsuszków, którzy siedzieli przy stole, nie obserwował wydarzeń dotyczących Schu-machera i spółki, a kierowcy mijali kolejne okrążenia na jednym z wyścigowych torów gdzieś w świecie.

- Dzieci, wychodzę z moimi gośćmi do miasta. Wybieramy się do kawiarni - zawołała Hedwig Weisskopf do grupy starsuszków.

„Ona nas zadenuncjuje”.

Kilka niezbyt miłych spojrzeń skierowało się na Denglera i Olgę, ale dwóch starszków zerknęło w kierunku bolidów Ferrari pędzących po ekranie telewizora.

Pół godziny później siedzieli we trójkę przy okrągłym stoliku obok okna w Markt Cafe.

Żadne z nich nie dostrzegło jednak ciemnego wozu marki Renault, który zaparkował w za-toczce naprzeciwko kawiarni.

Hedwig Weisskopf nachyliła się w stronę Denglera, jakby spiskowała.

- Wcześniej ta restauracja nosiła nazwę Cafe Vaterland. Młoda kelnerka przyniosła im kawę oraz trzy kawałki sernika. Hedwig Weisskopf zabrała się za ciasto z nieskrywanym apetytem. Opowiadała o minionych czasach. O swoim dzieciństwie i młodości w Gündlingen, o nocach spędzonych podczas nalotów w schronie przeciwlotniczym w starej szkole podstawowej.

„Ona wciąż jest przekonana, że piszę artykuł na temat ostatnich tygodni wojny w Gündlingen”.

Pozwolili starszej pani się wygadać. Jej policzki nabrały koloru. Jej oczy promieniały, a im dłużej opowiadała, tym młodziej wyglądała.

- Nosi pani bardzo piękną broszkę. Czy to spadek po przodkach? - zapytała Olga, zniemacka zmieniając temat.

- Ach nie, to zrobił Albert. Albert Roth, kiedy nie prowadził jeszcze swojego warsztatu w Bruchsal.

Zaczerwieniła się i zaczęła grzebać w torebce, po czym szybko zmieniła temat i opowiedziała o swoim mężu, którego poznała już po wojnie i z którym miała dwoje dzieci. Jedno z nich mieszkało teraz w Monachium, a drugie w Berlinie.

- Z pewnością wie pani, co się stało z czarnoskórym amerykańskim pilotem - Dengler przeszedł do właściwego tematu.

Hedwig Weisskopf upuściła widelec, jakby trafił ją grom z jasnego nieba.

- Nie, nigdy o tym nie słyszałam - odparła ostrym głosem i zaczęła mieszać resztkę kawy w filiżance.

Olga chciała o coś zapytać, starsza pani jednak powtórzyła:

- Nie wiem o tym nic. Spojrzała na zegarek.

- Muszę już wracać. Chciałabym się jeszcze przebrać do kolacji. Czy możecie zamówić mi taksówkę?

Rozmowa dobiegła końca. Dengler westchnął ciężko i zadzwonił z komórki, żeby sprowadzić taksówkę. „W tym miasteczku nie dowiem się niczego na temat ojca Juniora”.

Dengler zapłacił. Taksówka podjechała pod kawiarnię.

Odprowadzili starszą damę do samochodu. Hedwig Weisskopf szła kilka kroków przed Olgą i Georgiem. Szofer wysiadł i otworzył jej tylne drzwi taksówki. Gdy staruszka doszła do samochodu i schyliła się, żeby wsiąść, Olga się odezwała:

- Pani chyba bardzo kochała Alberta?

Hedwig Weisskopf zatrzymała się i uniosła wzrok ku niebu. Jej ramiona drżały. Kiedy obróciła się w ich stronę, dostrzegli, że po jej policzkach spływały łzy.

- Jesteście zbyt młodzi. Nic o tym nie wiecie. To były ciężkie czasy... - wydusiła z siebie, szlochając, po czym wsiadła do samochodu.

Kierowca zamknął drzwi i usiadł za kierownicą, a taksówka odjechała. Patrzyli, jak samochód oddala się.

„Niczego się tutaj nie dowiem” - stwierdził ze smutkiem Dengler.

Po piętnastu metrach beżowy mercedes zatrzymał się. Ciemne renault, które jechało za mercedesem, musiało ostro zahamować, a ponieważ samochód nieco skręcił podczas zatrzymania się, można było się domyślać, że silnik renault został wygaszony z powodu ostrego hamowania. Dengler spodziewał się, że kierowca ciemnego samochodu, którego sylwetkę widział tylko niewyraźnie przez tylną szybę, będzie wyrażał swoją dezaprobatę, hałasując klaksonem, klnąc lub pokazując wściekłe gesty, protestując w ten sposób przeciw gwałtownemu manewrowi taksówki. Nic podobnego jednak się nie wydarzyło. Później Georg zobaczył, że szyba w tylnych drzwiach mercedesa się opuszcza.

Podbiegł do samochodu. Hedwig Weisskopf wciąż jeszcze płakała. Przy ustach i nosie trzymała chusteczkę. Spojrzała na Denglera; jej oczy były teraz całkowicie klarowne.

- Niech pan się uda na Wasenstrasse - wydusiła z siebie. - Tam, gdzie kiedyś znajdowała się strażacka remiza. Tam musi pan szukać. Niech pan tam kopie. Musi pan tam szukać. Niech pan kopie... Nie musi pan kopać głęboko...

Spojrzała jeszcze raz Denglerowi w twarz, na której pojawiło się zdziwienie.

- Tam znajdzie pan... Musi pan tam kopać - dodała na koniec.

Rozpłakała się mocno i zasunęła szybę. Taksówka odjechała. Dengler, zdziwiony, spoglądał za odjeżdżającym samochodem.

Z tyłu za nim dobiegł odgłos uruchamianego silnika ciemnego renault.

62. Co ona powiedziała?

- Co ona powiedziała? - Olga stanęła obok niego.

- Nie wiem... Powiedziała, że powinienem udać się na Wasenstrasse. Powinniśmy szukać przy Wasenstrasse obok remizy strażackiej. Powiedziała: powinien pan tam kopać. Nie jestem jednak

pewien, czyją dobrze zrozumiałem...

Olga założyła kurtkę, jakby nagle zrobiło jej się zimno. Poszli z powrotem w kierunku Markt Cafe. Olga rozejrzała się, uważnie czytając tabliczki z nazwami ulic.

- Wasenstrasse? Gdzie to może być?

- Prawdopodobnie gdzieś tu, pośrodku miasteczka... - odparł Dengler.

- Wasenstrasse to poprzeczna uliczka, która odchodzi od placu kościelnego. Na rogu znajduje się nasze biuro parafialne.

Olga i Georg odwrócili się. Za nimi stał młody mężczyzna ubrany na czarno z białą koloratką. W prawej dłoni niósł torbę na zakupy z nadrukiem sklepu papierniczego.

- Proszę pójść ze mną. Idę w tym samym kierunku. Nazywam się Wilfried Jansen, jestem tutejszym proboszczem. Gündlingen należy do naszego związku parafii, oprócz wielu innych miejscowości. Jestem tutaj dopiero od pół roku i nie znam jeszcze wszystkich zakątków i ulic, ale mogę państwu wskazać Wasenstrasse.

Olga i Dengler przedstawili się.

- Chodźmy zatem.

Przeszli na drugą stronę i ruszyli wzdłuż niewielkiej uliczki, która wznosiła się lekko w górę. Przy drugim końcu Georg dostrzegł pod światło popołudniowego słońca zarys kościelnej wieży.

- Ta uliczka jest kręta i prowadzi do placu kościelnego. Stamtąd odbija Wasenstrasse.

Czy mogę zapytać, czego państwo szukają przy tej ulicy? Naszej pizzerii? Tam dania serwuje pewien bardzo dobry Włoch... Mogę go tylko polecić.

- Ja... Chcielibyśmy dojść do remizy strażackiej. Młody duchowny zatrzymał się, a potem roześmiał.

- Do remizy strażackiej? Macie na myśli straż pożarną? Znajduje się zupełnie gdzie indziej. Ochotnicza straż pożarna w Gündlingen ma swoje budynki przy Sportplatz. Niedaleko od Domu Zjednoczenia. Musicie więc wrócić do Markt Cafe, a potem skrócić w prawo... Do-kładnie w kierunku, z którego właśnie przyszliście.

Dengler i Olga spojrzeli na siebie.

- Przy Wasenstrasse nie ma już więc remizy strażackiej? - zapytał Dengler.

Młody mężczyzna zastanowił się przez chwilę.

- Przykro mi, ale roześmiałem się ponieważ... Remiza strażacka. Tego określenia nie słyszałem już od bardzo dawna. Przypomniało mi o własnym dzieciństwie, o książkach, któ-

rych bohaterem był zbir Hotzenplotz. Rozumieją państwo... Ale teraz, pomyślałem, że rzeczywiście istniał tu kiedyś budynek, który nazywano strażacką remizą. Chodźmy. W rozmównicy na ścianie wisi stary plan miasta. Na nim zaznaczona jest też remiza.

Doszli do placu kościelnego i obeszl go. Młody proboszcz szedł z przodu i skręcił w stronę dużego, starego domu. Obok drzwi wisiał tam mosiężny szyld z napisem „Biuro parafialne”. Godziny otwarcia były zaklejone papierem i taśmą klejącą. Duchowny otworzył drzwi i weszli na korytarz pomieszczenia biurowego.

- Muszę państwa przeprosić. Jestem tutaj zupełnie sam, a rzadko bywam w Gündlingen.

Mamy tutaj tylko niewielkie biuro, jedno z mniej ważnych. Dom parafialny został przebudowany na oddzielne mieszkania, które wynajęto. Wcześniej mieszkało tutaj jednocześnie trzech duchownych, którzy zajmowali się tylko i wyłącznie Gündlingen. To były czasy! Teraz mo-

żemy o nich jedynie śnić. Proszę wejść. Tutaj wisi plan miasta.

Wprowadził ich do pomieszczenia o wysokich ścianach, które było połączone z biurem.

Stał tam duży dębowy stół oraz ciężkie krzesła, których oparcia sięgały wysoko w górę.

- Bardzo stare meble. Prawdziwe antyki. To nasza rozmównica, korzystam z niej, kiedy tutaj jestem i mam wyznaczone godziny otwarcia biura. Tutaj też wisi historyczny plan miasta.

Plac kościelny był kiedyś właściwym centrum miasta. Wszystko to jednak uległo zmianie po zbudowaniu drogi objazdowej.

Wskazał na przebarwioną na brązowo tablicę, wiszącą w szklanych ramach, na której zaznaczono cienkimi liniami, opisując starannym pismem, obiekty topograficzne Gündlingen.

Dengler podszedł bliżej i natychmiast zauważył ruiny obok centrum miasteczka, a zaraz przy nich obrys budynku, który znał już dobrze. Pod spodem widniał napis „Hotel Zamkowy”.

- Remiza strażacka. Jestem pewien, że gdzieś ją kiedyś widziałem na mapie. Gdzieś. O, tu. Proszę spojrzeć! Tu jest podpis „Remiza strażacka”.

Młody proboszcz wskazał na plan.

- Rzeczywiście, mieli państwo rację. Znajduje się przy Wasenstrasse. Że też stał tu tego rodzaju budynek... - przez moment zastanawiał się. - Proszę chwilę poczekać, wydaje mi się, że wcześniej ten teren należał do kościoła. Mamy tutaj dokumentację dotyczącą wszystkich nieruchomości.

Wszedł na chwilę do swojego biura i wrócił z dwoma segregatorami. Położył je na stole i otworzył. Poszukiwania zajęły mu chwilę. Olga wyglądała na wyczerpaną i usiadła na jednym z antycznych krzeseł. W końcu proboszcz znów zabrał głos:

- Działki w rejonie kościoła i okolicy zostały w ciągu wielu lat podzielone i częściowo sprzedane,

po tym jak Gminy Parafialne przekształcono w Związek. Wtedy też pozostałe działki wydierżawiono pod zabudowę. Na przykład tę, na której teraz jest włoska restauracja.

Wertował dalej zawartość segregatora.

- Działka, na której kiedyś znajdowała się remiza, najprawdopodobniej nie została sprzedana ani też oddana w dzierżawę. Dziwne. Z drugiej strony nie jest przecież zbyt duża.

Wciąż przewracał dokumenty. Dengler podszedł do niego i spoglądał na stronie.

- Remiza strażacka została rozebrana w połowie lat pięćdziesiątych. Od czasów wojny stała pusta i zaczęła się walić. Tu znajduje się pozwolenie na rozbiórkę. To rzeczywiście była stara szopa bez fundamentów. Zbudowano ją pod koniec lat dwudziestych. Moi poprzednicy najwyraźniej wiele razy próbowali tę działkę komuś sprzedać.

Ponownie zagłębił się w treści dokumentów. Kilka razy pokręcił z niedowierzaniem głową.

- To ciekawe... Przewodniczący gminy zawsze sprzeciwiali się sprzedaży lub oddaniu w dzierżawę tej działki i to nawet wbrew woli ówczesnego proboszcza. Kwestia sprzedaży wiele razy była poruszana, za każdym razem była jednak odrzucana. Tego nie rozumiem. Jest tu napisane, że zjawił się pewien klient ze Stuttgartu na początku lat sześćdziesiątych, ale i jego ofertę najwyraźniej odrzucono bez uzasadnienia. Później pojawiła się firma ubezpieczeniowa.

W połowie lat siedemdziesiątych chciała tutaj wybudować siedzibę swojego oddziału, tę propozycję również odrzucono. Zbyt nowoczesna architektura w dawnym centrum miasteczka.

Sprzeciw ze strony przewodniczącego gminy kościelnej, ale to przecież nonsens. Przy Wasenstrasse nie ma żadnych historycznych budynków, o ile wiem. Wydaje mi się to dziwne. Poza tym ludzie na ten temat w ogóle się nie wypowiadają. Milczą w tej sprawie. Nigdy jeszcze nie spotkałem się z taką sytuacją, żeby tutaj ktoś nie zgłosił sprzeciwu.

Wertował dokumenty dalej.

- Później kościół przekazał tę działkę do dyspozycji gminy. Jest tu stosowny dokument.

Do użytku publicznego, bez zadośćuczynienia, bez wpisu do księgi wieczystej, a zatem wciąż jest ona własnością kościoła. Tego nie wiedziałem. Ciekawe. Przekazanie na wniosek gminy.

Gmina potrzebowała miejsca na parking dla biznesmenów oraz na potrzeby restauracji przy Wasenstrasse. Wówczas restauracja ta nosiła nazwę Lindenhoff i była spelunką odwiedzaną przez miejscowych pijaczków. Tu znajduje się plan parkingu, sporządzony przez miejski wydział budownictwa. Cienka warstwa żwirowej podsypki, następnie warstwa asfaltu i prosta zabudowa wokół krawędzi. Najwyraźniej tym razem przewodniczący kościelnej gminy wyraził

zgody bez chwili wahania. Jak tu zrozumieć ludzi... Zamknął segregator.

- Znam to miejsce. Znajduje się niedaleko od włoskiej restauracji. Trudno tam nie trafić.

Czy zdołałem wam pomóc? Właściwie dlaczego interesujecie się starą, strażacką remizą?

Olga wstała i przysunęła antyczne krzesło tak, żeby stało równo w rzędzie z pozostałymi.

- Pewna starsza znajoma opowiedziała nam o latach swojej młodości spędzonej w Gündlingen. Poruszamy się teraz śladami jej młodzieńczych lat.

Młody proboszcz zmarszczył czoło, ale powstrzymał się od komentarza. Olga i Georg podziękowali, i pożegnali się z duchownym, po czym opuścili parafię i skręcili w Wasenstrasse. W końcu znaleźli się na niewielkim parkingu.

63. Tu powinienem kopać

- Tu powinienem kopać. Tak powiedziała.

Olga milcząco usiadła na jednym z dwóch pomalowanych na biało kamieni, które wyznaczały prawą i lewą granicę pokrytej asfaltem powierzchni parkingu.

Georg sięgnął w końcu po swój telefon komórkowy i wybrał numer nadkomisarza Langensteina. Zrelacjonował przebieg rozmowy z Hedwig Weisskopf, nadkomisarz odmówił

jednak wydania zlecenia firmie budowlanej, która przekopałaby parking.

- Jak pan sądzi, co się ze mną stanie, jeśli na podstawie jakichś tam niejasnych przesłanek narażę na koszty podatników, wydając polecenie wykopania dziury w Gündlingen tylko dlatego, że nasz były kolega nie jest w stanie prowadzić dalej prywatnego dochodzenia?

Odłożył słuchawkę. Dengler wsunął komórkę do kieszeni i oparł dłonie na biodrach.

- Co teraz robimy? - zapytała Olga.

- Kopiemy - odparł Georg Dengler.

W niewielkiej filii składu budowlanego, położonej przy wjeździe do miasta, Dengler kupił dwa szpadle, kilof, dwie duże, szare plandeki, składane krzeselko oraz rolkę czerwono-białej taśmy i pęk aluminiowych prętów do odgradzania terenu. W pobliżu włoskiej restauracji, w dolnej części Wasenstrasse Olga wypatrzyła niewielki pensjonat. Nacisnęła dzwonek u drzwi. Otworzyła im młoda kobieta, zza której pleców wyglądały z ciekawością twarze dwóch małych dzieci. Olga zapytała, czy są wolne pokoje.

- Został tylko jeden.

Kobieta zaprosiła ich uprzejmie do środka i zaprowadziła do jasnego pokoju na pierwszym piętrze.

- Łazienka znajduje się naprzeciwko. Tej wiosny często wszystkie pokoje mamy zajęte.

W tym roku Wielkanoc wypada bardzo wcześnie, co służy naszym stałym gościom, którzy przyjeżdżają tutaj w czasie wielkanocnych ferii i wędrują po górach. O której pani i pani mąż chcą jeść śniadanie?

Młoda właścicielka pensjonatu nieco się zdziwiła, kiedy Georg zamiast walizek czy torby podróżnej wniósł do domu sprzęt roboczy. Był cały spocony, zbyt zmęczony i jednocześnie zbyt zdenerwowany, by cokolwiek wyjaśniać. Wyręczyła go w tym Olga.

- Jesteśmy archeologami ze Stuttgartu i prowadzimy poszukiwania przodków. Wykopaliska. Rozumie pani?

Młoda kobieta przytaknęła i opuściła pokój.

- O której pani i pani mąż chcą jeść śniadanie?

Olga zachichotała i rzuciła się na łóżko, na którym leżał już rozciągnięty Georg.

- Prowadzimy poszukiwania przodków. Wykopaliska. Rozumie pani? - powtórzył

Georg, ripostując.

- To przecież nie jest kłamstwo. Gdybym dziś rano wiedziała, że będziemy tutaj nocować, zabrałabym z sobą przynajmniej szczoteczkę do zębów.

- Olga, nie musisz tutaj zostawać - Georg usiadł na łóżku. - Wracaj do Stuttgartu.

Możesz tu przyjechać jutro w ciągu dnia i przywieźć mi kilka rzeczy.

- Wszystko, co będzie nam potrzebne, zdobędziemy tu, na miejscu. Zajmę się tym.

Chyba że zamierzasz jutro kopać na parkingu w tym ubraniu - wskazała garnitur Denglera i jego buty, które stały obok łóżka.

- Pójdę do miasta i zdobędę wszystko, co potrzeba. Muszę się pośpieszyć, tutaj sklepy zamykają dosyć wcześnie.

Wstała, przejrzała zawartość torebki, otworzyła portmonetkę i sprawdziła fundusze.

- Dengler & Co dysponują jeszcze środkami obrotowymi. Nie byłoby jednak źle, gdyby niebawem odbyło się kolejne party miliardów. Jaki numer butów nosisz?

Wieczorem siedzieli we włoskiej restauracji o nazwie Il Diavolo. Georg co chwila spoglądał w kierunku parkingu, który teraz był pogrążony w ciemnościach.

Musiał się rozeźmiać. Zakupy zajęły Oldze sporo czasu i wróciła do pensjonatu z peł-

nymi torbami. Zdjęła buty, rzuciła się na łóżko i zaczęła narzekać na bolące stopy. Dengler zaoferował jej masaż stóp, uparła się jednak, żeby najpierw przymierzył wszystko, co dla niego kupiła. Pomyślała o wszystkim: o niebieskich spodniach roboczych, gumowych kaloszach, bieliźnie, a także o flanelowej koszuli w kratkę oraz kilku podkoszulkach.

- W pozostałych torbach są rzeczy dla mnie. Kilka drobiazgów na osobiste potrzeby, szczoteczki do zębów, no i podstawowe kosmetyki... - skomentowała i objęła ramionami po-duszkę. W końcu stanął przed nią w ubraniu roboczym, w gumiakach na nogach. Zachichotała.

- Wyglądasz całkiem seksownie. Dengler obejrzał się w lustrze ściennej szafy.

- Czegoś tu jeszcze brakuje. Czegoś niezbędnego... Bez tego nie da rady.

Olga usiadła.

- Co chcesz przez to powiedzieć? O czym zapomniałam? Dengler obrócił się, opierając dłonie na biodrach. Stawał przed lustrem w różnych pozach.

- Brakuje kasku. Nie, to tylko żart. O niczym nie zapomniałaś. Wszystko jest w idealnym porządku. Ale gdybym miał kask, wyglądałbym jak muzyk w stroju robotnika budowlanego z zespołu Village People.

64. Jedno z czterech miejsc parkingowych

Jedno z czterech miejsc postojowych było wolne, gdy wczesnym rankiem Georg i Olga dotarli na parking, gdzie kiedyś stała stara remiza strażacka. Dengler oddzielił je za pomocą taśmy sygnalizacyjnej oraz aluminiowych prętów, z których zrobił ogrodzenie. Chwilę później młody mężczyzna odjechał golfem z drugiego miejsca parkingowego. Również ten prostokąt Dengler odgrodził białą-czerwona taśmą. Później zaczął kilofem odkuwać asfalt od ziemi.

Zadanie okazało się trudniejsze niż się spodziewał. W niektórych miejscach przez warstwę asfaltu przebijały się mlecze oraz inne zielsko. Tam łatwiej mógł podważyć poszczególne kawały nawierzchni, ale pozostała część asfaltowej warstwy była mocna i lita.

Najpierw szpiczastym końcem kilofa uderzał w asfalt i poluzowywał go, później szerszą stroną odrywał poszczególne kawały od podłoża. Pół godziny później zaczął się pocić w porannym, wiosennym słońcu. Godzinę później flanelowa koszula, przepocona na wskroś, wisiała na jednym z prętów, a Dengler walił kilofem w ziemię, ubrany w sam tylko podko-szulek.

Olga siedziała na składanym krzeselku i przypatrywała się mu. Po dwóch godzinach pokręciła sceptycznie głową i powiedziała, że tak się nie da. Georg Dengler rozejrzał się.

Rzeczywiście, nie zdołał jeszcze usunąć nawet pół metra kwadratowego nawierzchni. Bez słowa wziął się dalej do pracy. Olga wyciągnęła swoją komórkę z torebki, odeszła kilka kroków i przeprowadziła wiele rozmów telefonicznych.

Około dwunastej parking opuściły dwa kolejne samochody, a Dengler odgraniczył cały jego obszar białą-czerwona taśmą. Wkrótce obok nich w bardzo wolnym tempie przejechał

policyjny radiowóz. Dwaj policjanci spoglądali na to, co się dzieje, nie wysiedli jednak i nie podjęli żadnych działań. Wczesnym popołudniem Denglerowi zabrakło sił. Pot spływał mu po twarzy na podkoszulkę, która była teraz przesiąknięta do cna. Spojrzał na Olgę, która siedziała na rozkładanym krzeselku i malowała paznokcie.

- Nie dam rady - powiedział.

- Wiem - odparła i spojrzała na zegarek. - Chodźmy coś zjeść.

Właściciele Il Diavolo zaufali wiosennej pogodzie i otworzyli już kawiarniany ogródek przed restauracją. Dengler całkowicie wyczerpany padł na wiklinowy fotel. W milczeniu pochłoniął pizzę i wypił dwa litry wody mineralnej.

Kiedy wrócili, przed parkingiem stała ciężarówka z niskopodłogową naczepą, na której znajdowała się minikoparka. Kierowca ciężarówki wyglądający na Turka wysiadł, zdjął taśmę założoną przez Denglera, usiadł znów za kierownicą i ruszył ciężarówką do tyłu tak, żeby przyczepa znalazła się w obrębie parkingu. Wtedy ponownie wysiadł i do tyłu przyczepy przystawił dwie stalowe rampy.

- On chyba nie zamierza... On chce tu wyładować koparkę!

Dengler chciał już biec w kierunku mężczyzny, kiedy Olga chwyciła go za rękę.

- Ten człowiek nam pomoże - odparła. - Do wieczora asfalt zostanie zerwany.

- Olga, czy postradałaś zmysły? Kto zapłaci za tę koparkę?

Stała przy nim tak blisko, że czuł jej zapach.

- Georg - powiedziała cicho. - Przecież wiesz, że jestem kobietą, dla której pieniądze nie mają żadnego znaczenia. Koparka jest już opłacona. Z reszty dochodów uzyskanych na przyjęciu u miliarderów. Proszę cię jednak o małą, maleńką przysługę.

- Czy napadniemy razem na bank? Roześmiała się.

- Coś w tym rodzaju. Pojedziemy razem do kasyna w Baden-Baden, kiedy to już się skończy. Muszę koniecznie uzupełnić stan awaryjnej kasy.

Roześmiał się i objął ją.

Mężczyzna w ciemnym renault obserwował uważnie tę scenę.

Turek wyłączył koparkę i wysiadł z maszyny. Dengler spoglądał na efekt całodzienniej pracy. Operator koparki zdołał nie tylko zerwać asfalt i zdjąć warstwę żwiru z czterech miejsc parkingowych oraz rzucić urobek na przyczepę, ale też w jednym z narożników zaczął już wybierać ostrożnie piasek i ziemię. Robotnik obiecał, że jutro zacznie o siódmej rano i pożegnał się z Olgą i Denglerem, mocnym uściskiem dłoni.

65. Do następnego popołudnia

Do następnego popołudnia operator koparki zdołał wybrać warstwę ziemi na głębokość pół metra. Wtedy Dengler odesłał go do domu. Od tej pory zamierzał kopać, poszukując na zasadzie prób losowych. Chciał wykopać po trzy doły w każdym z czterech miejsc parkingowych, każdy z nich na głębokość nie więcej niż półtora metra - czyli razem dwanaście dołów.

Oceniał, że zajmie mu to trzy do czterech dni, ale więcej będzie wiedział, kiedy wykopie pierwszy dół. Natychmiast przystąpił do pracy. Olga siedziała na składanym krzeselku i czytała powieść *Sen o rozumie* pióra Michaela Schneidera.

Po południu Dengler zdołał wykopać pół pierwszego dołu, gdy po drugiej stronie ulicy pojawił się stary człowiek, który wciąż jeszcze nie mógł odżalować obiecane go folwarku na wschodzie. Opierał się na drewnianej lasce i posuwał się powoli do przodu. Jego wnuk, dziesięcioletni chłopiec, szedł niecierpliwie przed nim niosąc drewniane, składane krzeselko, podobne do tego, na którym siedziała Olga i czytała książkę. Starzec stał na chodniku mniej więcej dziesięć minut, po czym rozłożył krzeselko i usiadł. Gdy po kilku minutach jego wnuk zaczął kwękać i chciał pobiec na drugą stronę ulicy do Denglera, starszy mężczyzna wstał, wziął brzdąca za rękę i ruszył ulicą, zostawiając krzeselko na chodniku. Wrócił już bez chłopaka, gdy Georg Dengler przystąpił do kopania trzeciego dołu. Stary mężczyzna usiadł na krzeselku i spoglądał na kopiącego przez szerokość ulicy, oceniając postępy jego pracy.

Od czasu do czasu mijali ich przechodnie, spoglądali na tę scenę, szli jednak dalej. Po pewnym czasie do pierwszego widza dołączył drugi stary mężczyzna. Obaj mieli na sobie szare bluzy i jasnoszare spodnie. Rozmawiali z sobą cicho, po czym przestali rozmawiać, ale obaj uporczywie patrzyli na Denglera, który wybierał teraz szpadel po szpadlu ziemię z dołu, a jego tors błyszczał od potu. Dopiero gdy około 18.00 nie miał już więcej sił i skończył robotę, obaj starcy odeszli w milczeniu.

Następnego ranka po przeciwnej stronie ulicy siedziało już trzech starych mężczyzn, jeden z nich na składanym stołeczku, dwaj pozostali przynieśli z sobą drewniane, kuchenne krzesła. Nie odzywali się nawet słowem, nie rozmawiali też z sobą ani z Georgiem Denglerem czy z Olgą.

„Oni nic nie mówią. Wytrzeszczają tylko gały. To mój własny prywatny *Muppet Show*”.

Detektyw położył łopatę na ziemi, docisnął nogą jej sztych w ziemię, nacisnął trzonek, wybrał pełny szpadel ziemi i rzucił urobek coraz bardziej gliniastej ziemi na pryzmę, która utworzyła się wokół wykopanych przez niego dołów, sięgając już do chodnika. Czuł ból w rękach, na opuszcze kciuka utworzył się pęcherz, który po godzinie pękł. Dengler usiłował

trzymać stylisko łopaty w taki sposób, żeby nie dotykać nim bolącego miejsca, ale nie udawało mu się to. Drewno co jakiś czas ocierało o ranę. Georg zauważył, że tempo jego pracy zmalało i nagle zdał sobie sprawę, że nie zdoła przekopać całego parkingu. Wyprostował się i oparł na trzonku łopaty. Olga podeszła do niego i podała mu butelkę z wodą. Pił zachłannie wielkimi łykami, po czym znów wziął się do roboty.

Na przeciwległym chodniku zebrała się już osobliwa grupka siedmiu starszych mężczyzn oraz dwóch kobiet w równie podeszłym wieku.

Dłoń nie przestawała boleć.

I don't want you to be no slave

I don't want you to work all day but I want you to be true

and I just wanna make love to you

- Co mówiłeś? - zawołała Olga w jego stronę. Dengler spojrzał na nią i machnął przecząco ręką. Wtedy jego wzrok pobiegł ku publiczności zgromadzonej po drugiej stronie ulicy.

Ogarnął go niepohamowany gniew.

„Wystarczy tego!”.

Wygramolił się z dołu i pomaszerował w oblepionych gliną gumiakach w stronę starszych ludzi.

- Może mi jednak powiecie, co tutaj znajduje! - wykrzyknął. - Pomówcie ze mną!

Zebrani jednak milczeli. Starsi mężczyźni spoglądali obojętnym wzrokiem przed siebie.

Jedna z dwóch kobiet skierowała wzrok w lewą stronę, druga intensywnie spoglądała w ziemię.

„Będę tu stał, aż któreś z nich się odezwie”.

- Niczego nie wiemy - wydusiła przez zaciśnięte usta jedna z nich, nie podnosząc wzroku.

- Jak nie, to nie.

Wciąż wściekły wskoczył do dołu, chwycił za łopatę i z furią wbił sztych w ziemię.

I don't want you to work all day.

Następnego dnia padał deszcz. Był to przyjazny, ciepły, ale nieustający deszczyk.

Dengler stał w podkoszulku w czwartym dole i kopał. W krótkim czasie był już w błocie po kostki. Wieczorem poprzedniego dnia Olga obwiązała mu dłoń. Ból wprawdzie nie zniknął, ale stał się znośniejszy.

Deszcz rozmywał ziemię. Z wyrzucanego urobku oraz z luźnych krawędzi dołu obsuwały się grudy ziemi oraz bryłki gliny i wpadały do środka. Około południa deszcz nasilił się, a małe obsunięcia ziemi stawały się coraz cięższe. Drobne strumyki oraz zabarwione żółtawo wodospady wpływały do dołu. Olga stała obok przyzmy wybranej ziemi i trzymała nad nim parasol. Prosił ją wiele razy, żeby poszła do pensjonatu lub przynajmniej zaczekała na niego we włoskiej knajpce, ale ona nie dała się zbyć.

Grupa widzów po drugiej stronie ulicy zmaląła. Stało tam teraz czterech starszych mężczyzn. Jeden z nich był ubrany w plastikowy przezroczysty płaszcz przeciwdeszczowy, pozostali skryli się zaś przed deszczem pod ciemnymi parasolami.

Około południa Dengler dał za wygraną.

„Nie mam już więcej sił”.

- Pomóż mi wyjść z tej dziury - powiedział do Olgi. Po czym wyrzucił łopatę na górę.

Olga pochyliła się i wyciągnęła rękę w jego stronę. Chwycił jej dłoń, a dziewczyna pociągnęła. Oparł się o krawędź dołu, żeby nie musiała ciągnąć go całym ciałem. Z tyłu za nim rozległ się taki plusk, jaki często słyszał przez cały ranek. Znow wilgotny fragment ściany dołu rozpuścił się i znow ziemia, i glina osunęły się na dno wykopu...

Nagle Olga krzyknęła i puściła jego dłoń. Dengler nie był na to przygotowany i poleciał

plecami z powrotem do wykopu, a krawędź dołu, na której się opierał, osunęła się. Uderzył

głową o przeciwległą ścianę dołu i na kilka sekund stracił przytomność. Kiedy się ocknął, zobaczył Olgę klęczącą nad krawędzią wykopu. Parasol leżał obok, a jej oczy zrobiły się szerokie z przerażenia. Obiema dłońmi zakrywała usta. Spoglądała na Denglera, po czym prawą dłonią w milczeniu wskazała na niego.

Dengler otarł z oczu deszczową wodę. Nie, nie wskazywała na niego. Wskazywała na jakieś miejsce tuż obok niego, tam gdzie przed chwilą leżał oparty o ścianę dołu, kiedy spadł, bo jego ręce straciły podparcie. Powoli Dengler obrócił głowę i spojrział w kierunku, który pokazywała Olga. Z gliniastej, ociekającej wodą ściany wystawał palec jakiejś dłoni. Były to tylko kości, nie uległo jednak wątpliwości, że była to ludzka dłoń.

66. Karabin leżał przed nim na stole

Karabin leżał przed nim na stole. Wyciągnął go tego popołudnia z kryjówki, gdzie przeleżał bardzo długi czas, rozłożony na części i zawinięty w papier nasączony olejem.

Zdziwił się, z jaką pewnością i rutyną złożył karabin, i jak precyzyjne były jego ruchy. Lufa i zamek wskoczyły na swoje miejsce, naboje dawały się ładować bez żadnych problemów. Broń była gotowa do użytku.

Kiedy usłyszał krzyk młodej kobiety, wiedział, że oni znaleźli ciało. Siedział za kierownicą swojego szarego wozu marki renault i w tym momencie wiedział już, że musi przystąpić do działania. Bez żadnych emocji wrzucił pierwszy bieg i pojechał do domu, mijając wykopane doły.

Podniósł broń i raz jeszcze przemyślał plan, nie dostrzegając w nim żadnych błędów.

Czy będzie w stanie strzelić?

Czuł, jak obrazy z przeszłości pojawiają się w jego myślach i wiedział, że jest w stanie to uczynić. Miał tylko nadzieję, że nie było jeszcze za późno.

67. Dengler wygramolił się z dołu

Dengler wygramolił się z dołu. Wziął Olgę w ramiona. Była zupełnie przemoczona i drżała. Podniósł parasol i zaprowadził ją na krawędź ulicy do rozkładanego krzeselka. Usiadła, szlochając, on zaś pogłaskał ją po twarzy i wcisnął jej parasol w dłoń.

- Zaraz tu wracam.

Wskoczył ponownie do dołu i przyjrzał się kościom palców, które teraz zostały obmyte przez deszcz z grudek ziemi. Sięgnął po łopatę i ostrożnie zdjął warstwę ziemi nieco powyżej.

Stopniowo odsłonił kompletną dłoń, aż po nasadę kości przedramienia. Jedno nie ulegało wątpliwości - odnalazł zwłoki.

Dengler usiłował uporządkować myśli. „Czy to doczesne szczątki ojca Juniora Wellsa?”.

Olga wciąż jeszcze się nie uspokoiła. Musiał ją zabrać do domu. Jutro będzie dalej kopał. Sięgnął po koszulę flanelową i ostrożnie nakrył nią kości dłoni, po czym wygramolił się z wykopu. „Czy teraz starcy opowiedzą mi, co tu się wydarzyło?”.

Wściekłym wzrokiem spojrzał na drugą stronę ulicy. Chodnik był jednak pusty. Powoli rozwinął plandekę i zaczął nakrywać odnaleziony grób.

68. Gdy dotarli do pensjonatu

Gdy dotarli do pensjonatu, młoda gospodyni wyszła do nich bardzo poruszona.

- Muszę szybko jechać do mojej ciotecznej babci. Zaraz przyjedzie mąż i mnie zawiezie. Znalezione ją pół godziny temu, jest już w szpitalu. Przypuszczalnie dostała wylewu krwi do mózgu. Może się zdarzyć, że jutro nie zdążę na czas przygotować państwu śniadania.

Wtedy spojrzała na Olgę.

- Czy pani źle się czuje? Proszę wejść. Musi się pani przebrać, jest pani przecież przemoczona do suchej nitki. Pan również - wskazała na Denglera, który złożył pobrudzony parasol i zdjął kalosze. Otworzyła drzwi wejściowe do pensjonatu.

Olga wciąż szlochała, przebiegła obok niej i wbiegła schodami na pierwsze piętro.

Młoda kobieta spojrzała za nią, po czym zwróciła się do Denglera:

- Co jej się stało?

- Ona jest prz... przepracowana - odparł Dengler niespokojnie i również podążył

wzrokiem za Olgą. Wszedł do domu, a młoda kobieta ruszyła za nim.

- Do tej pory czuła się dobrze. Moja cioteczna babcia. Nawet dzisiaj byłam u niej przez chwilę. Wieczorem odwiedzili ją goście, niezapowiedziani. Kilku starych przyjaciół z tej miejscowości. Nie widziała ich od wieków. Rozmawiali o wojnie i o czasach powojennych.

Złych. Słyszałam z kuchni, jak rozmawiali głośno i żywo dyskutowali na jakiś konkretny temat.

Później wyszłam od niej, ponieważ na dzisiaj zapowiedzieli się nowi goście. Gdybym jednak została! Widocznie to wszystko było dla niej zbyt dużym obciążeniem. Poza tym przed rokiem umarł jej mąż.

- Naprawdę przykro mi z powodu pani ciotecznej babci. Mam nadzieję, że wyjdzie z tego. Niedawno w mojej rodzinie był podobny przypadek, lekarze dzisiaj potrafią wiele zrobić.

Niech się pani nie martwi śniadaniem. Damy sobie radę.

Dengler chciał wejść na górę i postawił nogę na pierwszym stopniu schodów, młoda kobieta nie przestawała jednak trąkotać.

- Jej mąż zmarł przed rokiem, a teraz to. Ceremonia pogrzebowa była bardzo uroczysta, tu w naszej miejscowości. Pojawili się też Sternbergowie, przyjechali z firmy. Ilona Sternberg wygłosiła nawet mowę żałobną.

- Sternbergowie - Dengler zatrzymał się.

- Tak, z firmy Sternbergów. Czyli wnuki Sternberga, którzy teraz prowadzą firmę. Mój cioteczny dziadek był u nich przez wiele lat księgowym. Po wojnie pracował w gminnej administracji, ale później ściągnął go do siebie stary Sternberg. Gdzie się podziewa mój mąż?

Gdy Georg wszedł do pokoju, Olga zdążyła się już przebrać. Suszyła włosy ręcznikiem.

Podszedł do niej i objął ją ramieniem. Spojrzała na niego.

- Proszę, zawieź mnie do Stuttgartu. Chcę stąd wyjechać. Georg przytulił ją.

- Zaraz stąd wyjedziemy.

Szukał przez chwilę suchych i czystych ubrań w swoich rzeczach, jednak nie znalazł nic poza koszulką i marynarką od garnituru.

- Przykro mi, Georg. Dzisiaj rano zaniiosłam gospodyni twoją koszulę, bieliznę i spodnie od garnituru, żeby oddała je do pralni.

Olga stała już przy drzwiach.

- Wszystko jedno. Pojadę więc w tym stroju.

Dengler spojrzał na siebie. Niegdyś niebieskie spodnie robocze były teraz mokre i zupełnie przebarwione od gliny i ziemi. Założył podkoszulkę, wyłowił spod łóżka parę używanych skarpet i włożył buty. Opuścili pensjonat.

Poszli wzdłuż Wasenstrasse. Deszcz nieco osłabł. Kiedy Dengler obrócił się jeszcze raz, zobaczył z dala łopoczącą na wietrze biało-czerwona taśmę.

Wiatr był chłodny, a Dengler zauważył, że Olga drży. Założył jej na ramiona marynarkę od garnituru. Chciał zadzwonić po taksówkę, żeby zawiozła ich na dworzec w Gündlingen, ale bateria w jego telefonie komórkowym wyczerpała się. Kiedy dotarli do Markt Cafe, a detektyw rozglądał się za taksówką, po drugiej stronie ulicy zatrzymał się czerwony autobus z napisem

„Dworzec Bruchsal”. Chwycił Olgę za rękę, pobiegli na przystanek i wsiedli.

W Bruchsal musieli zaczekać pół godziny, po czym pojechali pociągiem regionalnym do Stuttgartu. W drodze do domu, nie rozmawiali z sobą. Pociąg był zatłoczony, mimo to miejsce obok Denglera pozostawało puste. „Nic dziwnego, wyglądam jak lump na urlopie i z pewnością tak właśnie pachnę”. Konduktor sprawdził skrupulatnie jego bilet, ale nie odezwał

się słowem. Olga patrzyła przez okno.

Z dworca kolejowego w Stuttgarcie poszli piechotą ulicą Königstrasse. Przy niewielkim Schlossplatz skręcili na planty, minęli dużą restaurację, przeszli na drugą stronę Charlotten-platz i minęli Brenners Bistro. Po chwili stali już przed barem Basta. Dengler otworzył drzwi od ich domu i ciężkim krokiem ruszył po schodach. Przed drzwiami jego mieszkania Olga cmoknęła go szybko w policzek i poszła schodami na górę do własnego mieszkania.

Dengler długo stał pod prysznicem. Zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do Langensteina. „Muszę mu powiedzieć, że znaleźliśmy szkielet. Powiniennem też zadzwonić do majora Hookera”.

Chociaż chciał wejść do swojego biura, znalazł się jednak w sypialni. Zamierzał zdrzemnąć się kilka minut, ale gdy tylko się położył, natychmiast zasnął.

69. Albert Roth sądził, że się przesłyszał

Albert Roth sądził, że się przesłyszał. Wśród zgromadzonych w oddziale Volkssturmu z Gündlingen, utworzonego przez blisko trzydziestu ludzi, zapanował niepokój. Kilku mężczyzn zaczęło drapać się po głowie, spoglądać z troską pod nogi, inni instynktownie zrobili krok do tyłu, jakby chcieli powiedzieć „Nie mamy zamiaru”.

- Cisza! - wykrzyknął dowódca kompanii.

Z daleka dobiegało dudnienie amerykańskiej artylerii.

- Przyjmiemy Amerykanów pancerną blokadą - powtórzył dowódca lodowatym głosem.

Kompania nie stała już w równym szeregu. Albert Roth spoglądał zmartwiony na swojego syna i jego przyjaciela, Fritza, syna dowódcy kompanii. Chłopcy patrzyli na dowódcę oczyma pełnymi podziwu. Spodziewali się, że przeżyją kolejną przygodę i coś szeptali do siebie z ożywieniem. Inni mężczyźni rozmawiali półgłosem z ożywieniem i kręcili z niedowierzaniem głowami, a jeden z dwóch biurokratów z administracji gminy podniósł rękę.

Zdawało się, że zna dowódcę kompanii.

- Volker - jego głos zginął jednak w ogólnej wrzawie. - Vol-ker! - zawołał tym razem głośniejszym i podniósł palce do góry niczym pilny uczeń.

Albert Roth słabo znał dowódcę kompanii. Nazywał się Volker Sternberg. Jego rodzina miała niewielką fabrykę w dzielnicy Saulenhalde w północnej części miasta. Był osobą o sta-tusie określanym jako „niezbędny dla gospodarki”, ponieważ prowadził fabrykę, ale naziści powołali go do służby wojskowej w ramach ostatniego poboru. W Karlsruhe odbył przyśpieszone szkolenie dla dowódców kompanii. Roth nie mógł zrozumieć, dlaczego Volker Sternberg zamierzał teraz odgrywać bohatera.

- Ustawimy zaporę przeciwczołgową przy końcu Bruchsaler Strasse - wykrzyknął po raz trzeci Volker Sternberg.

Teraz niepokój ogarnął już wszystkich.

Nagle Roth zrozumiał, do czego zmierzał Volker Sternberg. Jego fabryka leżała w północnej części Gündlingen, czyli z tej strony, z której nadejdą Amerykanie. Sternberg obawiał się, że jego fabryka znajdzie się w ogniu artylerii, i dlatego chciał postawić zaporę amerykańskim czołgom przy Bruchsaler Strasse - ulicy, przy której znajdowały się domy mieszkalne. Dlatego właśnie zamierzał ryzykować życiem ludzi, którzy stali przed nim w szyku.

- W Bruchsal są jeszcze oddziały SS! - wykrzyknął Volker Sternberg, a podlegli mu ludzie nagle zamilkli.

- Volker, Volker! - urzędnik z gminy wciąż pstrykał palcami.

Wtedy Sternberg wyciągnął pistolet z kabury.

- Wystąp z szeregu i daj mi swój karabin - rozkazał i wskazał Alberta Rotha.

70. Głęboko i bez sennych marzeń

Dengler spał głęboko i bez sennych marzeń. Jak kamień. Nad ranem w sennej wizji pojawiła się Olga. Pochyliła się nad nim.

- Chodź, Georg. Musimy wyruszać, już pora. Przewrócił się na drugi bok.

- Chodź, Georg, musimy jechać do Gündlingen.

Ocknął się. To nie był sen. Olga stała nad nim z płaszczem na ręku i spoglądała na niego. Usiadł na łóżku i spojrział na budzik: 700 rano.

- Olga, ja...

- Georg, przykro mi. Wczoraj, ja po prostu... Nie mogłam tego wytrzymać. Wyglądałeś żałośnie w mokrych spodniach roboczych. Ale chciałam po prostu wrócić do domu.

Obróciła się, wyszła z sypialni przez jego biuro do kuchni, gdzie włączyła ekspres do kawy.

- Ubieraj się, musimy ruszać do tego cudownego Gündlingen! - zawołała z kuchni.

Po czym znów stanęła przed nim.

- Znalazłeś to, czego szukałeś. Jestem twoją asystentką i dalej będę ci pomagać.

O dziewiątej Georg Dengler i Olga wysiedli z autobusu w Gündlingen. Ruszyli w górę małej uliczki, którą poprowadził ich wcześniej młody proboszcz. Kiedy dotarli do placu przy kościele i skręcili w Wasenstrasse, Olga nagle wydała z siebie krótki okrzyk zaskoczenia.

Wokół wykopanych przez niego dołów stały teraz liczne statywy z potężnymi czarnymi reflektorami, które oświetlały okolicę oślepiającym światłem. Ulica była odgradzona, po-

środku stała furgonetka z migającym niebieskim kogutem.

Blisko tuzin policjantów w białych ochronnych ubraniach biegał to tu, to tam lub stał

pochylony nad dołem wykopanym przez Denglera, który był teraz większy niż poprzedniego wieczoru. Dengler ścisnął mocno dłoń Olgi. Kiedy zbliżyli się do ustawionego ogrodzenia, policjant podniósł rękę i zabronił im wstępu. Z furgonetki wyskoczyła jednak jakaś postać i ruszyła pośpiesznie w ich stronę.

- Już dobrze, już dobrze, przepuść ich.

Był to Langenstein. Nadkomisarz wyglądał na człowieka, który spędził noc w pracy.

Miał pod oczyma głębokie wory i bardzo potrzebował golenia. Uścisnął dłoń Denglera i po-całował Olgę w rękę na powitanie.

- W nocy wykopaliśmy znalezione przez pana zwłoki - oznajmił.

Po czym pobiegł szybkimi susami z powrotem do furgonetki. Zanim wszedł, obrócił się i przywołał ich gestem.

- Zobaczcie sami - powiedział i wszedł do samochodu. Olga trzymała mocno dłoń Georga.

- Ja tam nie wejdem.

Dengler zgodził się i zostawił ją. Podążył za Langensteinem i wszedł po wąskich metalowych schodkach. Znalazł się wewnątrz furgonetki ekipy zabezpieczającej ślady. Na stole, ułożony na białym prześcieradle, leżał kompletny szkielet. Do niektórych kości były jeszcze przyklejone resztki gliniastej ziemi. Nad czaszką pochylali się dwaj mężczyźni z narzędziami przypominającymi skalpele. Trzeci mężczyzna siedział przy małym stoliku obrócony do detektywa plecami.

- Nasi poszukiwacze skarbów już są! - zawołał Langenstein. Mężczyzna wstał od stolika i obrócił się. Major Hooker.

- Dobra robota, panie Dengler. Może pan teraz przejąć moją pracę... - powiedział. -

Niech pan popatrzy - Hooker podniósł metalową tabliczkę. - To jest identyfikator armii Stanów Zjednoczonych. Na tej podstawie możemy stwierdzić, że ten szkielet stanowi doczesne szczątki porucznika Blackmore'a.

Pilota 332. eskadry bojowej, odznaczonego Krzyżem Wybitnej Służby Lotniczej -

major w tym momencie zsalutował.

Langenstein ustawił się z tyłu stołu i wskazał na czaszkę. Georg Dengler dostrzegł

otwór od kuli na lewej skroni, był wielkości monety o nominale dwóch euro. Langenstein sięgnął do tyłu i wyciągnął przezroczysty, plastikowy woreczek.

- Poszcęściło nam się niewiarygodnie. Znaleźliśmy pocisk. Wyszedł z tylnej strony czaszki. Niech pan popatrzy - wskazał na tył czaszki. - Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że strzał został oddany z karabinu szturmowego Wehrmachtu. Stwierdzili to moi chłopcy. Pocisk znajdował się w zbutwiałej, drewnianej belce, która leżała wśród innych belek obok szkieletu. Teraz to wszystko pójdzie do analizy balistycznej.

- Niech pan popatrzy tutaj... - wskazał na miejsce na kości łopatki. - Biedak dostał

jeszcze postrzał w bark.

- To była wojna - odparł Dengler.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstwa - oznajmił Langenstein. - Co potwierdza strzał w głowę. Z bliskiej odległości. Co do postrzału w bark, nie możemy na razie powiedzieć nic bliższego.

- Niech pan wypyta wszystkich gapiów, którzy przyglądali się moim robotom wyko-paliskowym.

- Przepytaliśmy już każdego, kto się tu pojawił. Jeszcze w nocy było tutaj kilka zacie-kawionych postaci. Wszyscy to ludzie w podeszłym wieku.

- Coś powiedzieli?

- Nic! Nikt niczego nie wie. Wszyscy milczą. Równie dobrze mógłbym prowadzić śledztwo na Sycylii. Nikt nie puszcza pary z ust.

- Otrzymałem wskazówkę od Hedwig Weisskopf.

- Wiem. Doznała załamania nerwowego, kiedy dziś rano stanęliśmy u jej drzwi. Leży teraz w szpitalu.

- Co z wielce szanownym emerytowanym kolegą Altmeierem?

- Błędny trop. Nie przypomina sobie nic z tego, co napisał w tamtym raporcie.

- Zatem szanse na znalezienie zabójcy Stevena Blackmore'a wyglądają bardzo kiepsko?

- Bardzo kiepsko.

Dengler spojrział na niego i opuścił furgonetkę. Olga stała oparta o tył samochodu, z rękami założonymi na piersiach. Była blada.

- Czy to źle wyglądało?

- Ten szkielet to szczątki ojca Juniora Wellsa. Zginął od strzału w głowę, poza tym dostał jeszcze postrzał w bark.

- Georg, zimno mi. Otoczył ją ramieniem.

- Wracajmy. Nie mamy tutaj nic więcej do roboty. Wzięła go za rękę. W tym momencie zadzwonił jego telefon komórkowy, krótkie sygnały jeden po drugim. SMS.

Dengler sięgnął po telefon do kieszeni spodni i spojrzął na wyświetlacz. „Czy chce pan wiedzieć, kto zastrzelił Murzyna?”. Wiadomość nadeszła spod osobliwego numeru: 7306.

Dengler spróbował oddzwonić i usłyszał głos automatycznej informacji: „Brak możliwości połączenia pod tym numerem

- Olga - odezwał się. - Otrzymałem informację spod numeru, który nie istnieje: 7306.

Czy potrafisz to wytłumaczyć?

- Ktoś wysłał ci SMS-a z internetowej witryny, na przykład [GMX lub Web.de](#).

- Czy mogę sprawdzić, kto to zrobił?

Pokręciła głową, po czym spojrzała na niego.

- Ruszajmy - powiedziała. - Jest mi bardzo zimno.

Jego komórka znów się odezwała ostrym tonem. Spojrzął na wyświetlacz.

„Niech pan przyjdzie sam na skrzyżowanie w Gündlingen. Jeśli przybędzie pan z tą drugą osobą, niczego się pan nie dowie”.

Spojrzał na Olgę.

- Czy możesz tu poczekać pół godziny? Zaprowadzę cię do pensjonatu. Albo poczekaasz we włoskiej restauracji. Kiedy wrócę, natychmiast wracamy do domu.

Przytaknęła.

Chociaż była w płaszczu, wciąż marzła. Poszli do Il Diavolo. Dengler przywołał kelnera i zapewnił Olgę, że zaraz zjawi się z powrotem. Przez komórkę wezwał taksówkę.

71. Czy zna pan drogę do skrzyżowania w Gündlingen?

- Czy zna pan drogę do skrzyżowania w Gündlingen? - zapytał taksówkarza.

- Jasne - odparł taksówkarz i się odwrócił. - Chce pan jechać do małej kaplicy?

- Tak.

Milczał i cieszył się, że kierowca się już nie odezwał. Martwił się o Olgę. „Tak mało o niej wiem”.

Nigdy nie opowiadała mu o swojej przeszłości. Wiedział, że w dzieciństwie przyuczano ją do złodziejskiego rzemiosła. Wskazujący palec jej prawej dłoni został tak bardzo nacią-

gnięty, że zrównał się długością z palcem środkowym, żeby łatwiej mogła opróżniać cudze kieszenie. Stawy tego naciągniętego palca były jednak w chronicznym stanie zapalnym, dlatego przestawiła się na włamania komputerowe. Pierwszą sprawę zdołał rozwiązać tylko dzięki pomocy Olgi. Przywołał w myślach moment, kiedy siedział obok niej, a ona włamywała się do komputera operatora kart kredytowych. Szukała danych człowieka, którego wszyscy uważali za martwego. Wówczas był w Oldze zakochany po uszy. A teraz?

- Proszę, jesteśmy na miejscu - odezwał się taksówkarz.

Wóz zatrzymał się na skraju lasu pod Gündlingen. Tu zaczynały się pola, a szeroka droga prowadziła między drzewa. Obok stała niewielka kaplica. Miała drewniany dach, pod-party od zewnątrz ciężkimi brązowymi belkami. Jej ściany były białe. Dwa stopnie schodów prowadziły do drzwi wejściowych, dwuskrzydłowych, które stały otwarte. Wewnątrz Dengler dostrzegł ołtarz z figurą Maryi. Obok wejścia widniał kunsztowny napis: „Wiedźcie, że Maryja jest naszą nadzieją. Do niej się uciekamy i w niej szukamy pomocy”.

Dengler zapłacił taksówkarzowi.

- Proszę zaczekać tu na mnie pięć minut. Jeśli w tym czasie nie wrócę, potrwa to dłużej i nie będę z panem jechał z powrotem.

Taksówkarz zgodził się, on zaś wysiadł.

Detektyw wszedł do kapliczki. Wewnątrz paliły się trzy świece, nie było jednak nikogo.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie było tam innych drzwi, za którymi ktoś mógłby się ukryć.

Wyszedł więc przed kapliczkę i czekał.

Po chwili otrzymał kolejny SMS: „Niech pan obejdzie kaplicę i pójdzie wąską dróżką”.

Dengler obszedł budynek. Z tyłu rzeczywiście znajdowała się ścieżka. Detektyw odchylił dolne gałęzie buka i ruszył nią.

Las był raczej rzadki. Słońce przeświecało przez korony drzew i czuł ciepło słonecznych promieni. Dostrzegł kwitnące dmuchawce, usłyszał stukanie dzięcioła. Pomyślał o Ja-kobie, swoim synu, i wyobraził sobie, jak razem wybierają się na spacer przez las.

Mniej więcej po pięćdziesięciu metrach Dengler zatrzymał się i czekał. „Zadzwoń do Olgi i powiem, że to jeszcze chwilę potrwa”.

Wybrał numer jej komórki i jednocześnie zobaczył, że ponad ścieżką rozchylają się liście buka.

- Halo?

Zawołał jeszcze raz.

- Czy ktoś tam jest?

W tym samym momencie usłyszał głos Olgi dobiegający z telefonu komórkowego.

- Georg? To ja. Czy mnie słyszysz?

W tym samym momencie zobaczył wśród gałęzi błysk wystrzału. Poczł bardzo silne uderzenie, które trafiło go w klatkę piersiową i obróciło nim. Uderzył głową o pień drzewa i upadł, a padając zacisnął dłonie. Padł na leśną glebę i zdziwił się, jak była miękka. Dwa razy obrócił się dookoła własnej osi, potem znieruchomiał leżąc.

Poczł się lekko, nie czuł żadnego bólu. Olga wołała jego imię gdzieś z oddali. Jej głos brzmiał miękko i słodko. Niczym muzyka. Ujrzał ją taką, jaką widział ją po raz pierwszy.

Powiedziała wtedy: „Nie piję z glinami”. Jakaż była piękna! Jej figura, jej wysmukła kibić, dumne brwi, pulower, jej brzuch, dzinsy, które odsłaniały fragment bioder. Chociaż widział

tylko fragment jej skóry, wystający spod oliwkowego swetra nad paskiem spodni, ta nagość zawstydziała go. Wówczas i teraz. Później zobaczył, jak siedziała na jego kanapie, kiedy on grał

bluesa na ustnej harmonijce. Raz jeszcze przesunęły mu się przed oczyma wszystkie spotkania z nią. „Wyświetla się film z mojego życia - pomyślał. - Widzę sceny z własnego życia, ale wyłącznie te, w których występuje Olga”. Nagle ogarnął go głęboki żal, że nigdy nie wyznał jej miłości. „Ona tego nie wie” - pomyślał i poczuł, jak wszystko w nim nagle się rozmywa.

Raz jeszcze zebrał w sobie wszystkie siły. Wyznał jej to. Przycisnął komórkę do ust. Po każdym słowie musiał robić przystanek, zdołał jednak wydusić z siebie wszystko, nawet gdy z trudem przychodziło mu wymówienie każdej kolejnej sylaby. Usłyszał w odpowiedzi głos Olgi, ale nie był już w stanie zrozumieć znaczenia tego, co mówiła.

Później nie słyszał już nic.

72. Więzy były już niemal przetarte

Więzy były już niemal przetarte. Steven Blackmore poruszał spętanymi rękoma tak szybko, jak tylko mógł. Odgłosy, które dobiegają z zewnątrz remizy, budzą w nim niepokój.

Najpierw usłyszał kilka komend, rozkazów ostrych i dobrze słyszalnych. Później do jego uszu dobiegł gwar męskich głosów. Mężczyznom nie odpowiadały te rozkazy, tyle był w stanie się domyślić. Głos dowódcy stał się teraz wyższy i próbował się przebić przez rozgardiasz. Dowodzący najwyraźniej tracił posłuch.

Blackmore nie wiedział, czy dla niego było to lepiej, czy gorzej. Na koniec mężczyźni na zewnątrz zaczęli głośno rozmawiać.

Nagle z zewnątrz dobiegł odgłos strzału.

Następnie zapanowała grobowa cisza. Blackmore nasłuchiwał i przestał przecierać sznury, którymi związano mu ręce.

Znów rozległ się głos komendy. Nikt się nie sprzeciwiał.

Drzwi remizy otworzyły się, a nagle wpadające światło oślepiło go.

73. *Anioł miał oczy Olgi*

Anioł, który pochylał się nad nim, miał oczy Olgi. To go uspokoiło i ponownie zasnął.

Kiedy obudził się następnym razem, była noc. Usiłował zorientować się gdzie jest, ale nie udało mu się. Słyszał tylko, że w jego pokoju chrapali dwaj mężczyźni.

„Jedno nie ulega wątpliwości - nie jestem w niebie”.

Chrapanie było donośne.

„Być może jestem w piekle” - pomyślał. Jednak potem jego rękę pochwyciła czyjaś miękka dłoń. Znów zasnął.

Kiedy obudził się za trzecim razem, od razu zdał sobie sprawę, że leży w szpitalu. U

jego stóp stali trzej lekarze oraz dwie siostry. Patrzyli w jego kartę zdrowia.

- Mógłby już się powoli wybudzać - odezwał się lekarz stojący w środku.

- Czy powinniśmy dać mu jeszcze jeden zastrzyk? - zapytał czyjś kobiecy głos.

- Tak, proszę to zrobić, siostro - potwierdził lekarz. Dengler próbował się uśmiechnąć, nie miał jednak pojęcia, czy mu to się udało.

- Co właściwie chcecie mu wstrzyknąć? - zapytała Olga.

- Szanowna pani, jesteśmy lekarzami...

- Olga - wymamrotał.

- Georg.

- Aha, pacjent znów jest między nami.

- Czy w końcu się ocknął? - usłyszał głos Langensteina.

Nogi krzesła szorowały o linoleum.

Trzy twarze z absurdalnie powiększonymi nosami znalazły się nad nim. Nieogolony Langenstein, mężczyzna w białym kitlu oraz jakaś pielęgniarka. Potem niewidzialna ręka odsunęła ich na bok i zobaczył zatroskaną twarz Olgi. Pochyliła się nad nim i pocałowała go miękko.

- Czy można go w końcu przesłuchać? - znów usłyszał zdenerwowane zapytanie Langensteina, po czym ponownie zasnął.

Kiedy obudził się po raz czwarty, był już zupełnie przytomny. Olga siedziała przy łóżku, trzymała go za rękę i spoglądała przez okno, pogrążona w myślach. Pod jej oczami dostrzegł ciemne kręgi. Z tyłu, w rogu pokoju, siedział z założonymi nogami Martin Klein, blady i zmęczony po nocnym czuwaniu, na krześle dla gości, ziewał i przewracał strony gazety.

- Langenstein może mnie teraz przesłuchać - wystękał cichym głosem Georg Dengler.

- *Resurrexit tertia die...* - zawołał w uniesieniu Martin Klein, upuścił gazetę, wstał i podbiegł do łóżka Georga. - Chłopcze, aleś narozrabiał!

Olga usiłowała mu przeszkodzić w objęciu Denglera. Oboje nie kryli jednak ogromnej radości.

Upłynęła nieomal godzina, zanim Langenstein zasiadł przy szpitalnym łóżku Denglera.

Przyprowadził z sobą młodego kolegę, który zainstalował sprzęt magnetofonowy na stoliku obok.

Przez ten czas Olga opowiedziała mu, co się wydarzyło. Taksówkarz usłyszał strzał, poszedł śladami Denglera leśną ścieżką i znalazł go.

- Leżałeś na ziemi i straciłeś dużo krwi. W prawej dłoni ściskałeś telefon komórkowy, z którego dobiegał mój krzyk.

Chciał ci odebrać telefon, ale tak mocno go ściskałeś, że musiał położyć się na twoim zaplamionym krwią brzuchu, żeby móc powiedzieć coś do mikrofonu. Przekazał mi, żebym natychmiast przysłała karetkę pogotowia do Gündlingen Kreuz... To był najpotworniejszy telefon, jaki odebrałam w życiu.

Przerwała na moment, spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Być może także najcudowniejszy telefon. Nie sędzę, żeby wiele kobiet miało okazję wysłuchać tego rodzaju wyznania miłości.

Dengler poczuł, że robi się czerwony aż po czubki uszu. Martin Klein udawał, że jest głuchy i znów

zaczął wertować gazetę.

- Pójdę i przyniosę ci świeżą butelkę wody mineralnej. W Stuttgarcie trzymam już w lodowce butelkę szampana. Czeka na twój powrót.

Dengler relacjonował, co wydarzyło się po tym, jak opuścił furgonetkę ekipy zabezpieczającej ślady. Nadkomisarz wpatrywał się w detektywa przez dłuższą chwilę. Po chwili odezwał się:

- Niech mi teraz pan powie, co stało się naprawdę. Dengler usiłował podnieść się na łóżku, ale ostry ból w piersiach sprawił, że natychmiast się osunął.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Na twarzy Langensteina było widoczne zniecierpliwienie. Wyciągnął z kieszeni plastikową torebkę i uniósł w powietrze. W środku znajdowała się bryłka metalu.

- Czy pan wie, co to jest? - zapytał. Dengler odczekał chwilę.

- To jest pocisk, który o mały włos nie przeniósł pana na tamten świat. Lekarze wyciągnęli go z pana klatki piersiowej. Był w pobliżu aorty. Później lekarze wytłumaczą to panu dokładniej.

Kilka centymetrów lub milimetrów w bok... - jego dłoń wykonała w powietrzu wielki znak krzyża. - Byłoby po panu.

Wyciągnął z kieszeni drugą torebkę i podniósł w drugiej dłoni.

- A to jest pocisk, którym sześćdziesiąt lat temu uśmiercono czarnego pilota Stevena Blackmore'a strzałem w głowę. Wie pan, co jest w tym najbardziej interesujące?

Po chwili kontynuował.

- Coś panu powiem. Oba pociski zostały wystrzelone z tej samej broni. Z karabinu, który w czasie II wojny światowej był na wyposażeniu Wehrmachtu. Czy jest pan w stanie mi to wyjaśnić?

Dengler nie potrafił tego wyjaśnić.

74. Przez trzy tygodnie czuł się słaby

Przez trzy tygodnie czuł się słaby. Każda, nawet najmniejsza próba ruchu powodowała piekielnie bolesne klucie w obrębie klatki piersiowej. Całymi dniami leżał najczęściej na swojej kanapie i słuchał wczesnych płyt z utworami Juniora Wellsa i Buddy'ego Guya.

Po mniej więcej dziesięciu dniach bóle nieco zelżały, wtedy też przestawił się na wielkich jazzowych pianistów. Słuchał nagrań Oscara Pettersona, Chicka Corei oraz Wolfganga Daunera. Martin Klein przyniósł mu powieści Chandlera i Simenona.

- Zwróć uwagę na dialogi u Chandlera - dodał przy okazji. - Każda postać znajduje się w konflikcie z innymi bohaterami, dlatego dialogi aż tryskają iskrami.

Mlasnął przy tym językiem.

- Nawet jeśli intryga nie zawsze jest wyrafinowana - dodał i pozostawił Georga sam na sam z lekturą.

Gazety przestały już pisać o jego wypadku, a policja wciąż szukała sprawców wśród starych oraz ciągle licznych młodych neonazistów. Nic jednak nie znalazła. Dengler przeczytał

też o pewnym fanatycznym kolekcjonerze broni, który, używając karabinu należącego kiedyś do Wehrmachtu, chciał bawić się w wojnę, ale nikogo nie aresztowano.

Wciąż jeszcze śnił nocami o stertach ziemi i górkach z piasku, nieskończenie powiększonych, on zaś w tych snach znajdował się w głębokich wykopach, nietoperz latał nad jego głową, a głos Hedwig Weisskopf wołał: „Niech pan kopie, niech pan kopie!”. On zaś męczył

się i nie był w stanie posunąć się z pracą ani na jotę. Obok wykopów na przemian pojawiali się notariusz Dillmann oraz starzec, który kopcił jak lokomotywa papierosy marki Ernte-23.

Nieustannie mamrotali pod nosem: „Nic dobrego z tego nie wyniknie”.

Po raz pierwszy kochali się z Olgą, gdy upłynęły dwa tygodnie od jego wyjścia ze szpitala. Czytała mu na głos powieść Sime-nona *Narzeczona pana Hire*, po czym poszła na górę, kiedy zasnął. Po krótkiej chwili usłyszał jednak, jak drzwi jego sypialni ponownie się otwierają. Naga wsunęła się pod kołdrę.

- Zaczniemy teraz nową terapię - szepnęła mu do ucha i rozpięła górę jego piżamy. -

Zdaj się w pełni na mnie.

Ostrożnie przejechała dłonią po bandażach opatrunku.

- Będę ostrożna.

Jego myśli znów pobiegły ku dniom spędzonym w Gündlingen. Ku pensjonatowi, gdzie wieczorem zmęczeni padali na łóżko i gdzie spali obok siebie jak rodzeństwo. Teraz leżała przytulona do niego i spała. Czuł jej ciepło, nozdrzami chłonał zapach jej włosów i wsłuchiwał

się w jej oddech. Jej dłoń leżała na jego torsie. Potem znów zasnął. Gdy się zbudził, ona już wstała i patrzyła na niego poważnym wzrokiem.

- Nieżył z ciebie kobieciarz.

Dengler oparł się na łokciach.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Po chwili odpowiedziała.
- Już wcześniej chciałam cię o to zapytać, ale... Cóż, żeby być szczerą, nie chciałam cię nakierować na nowy ślad.
- Ślad? Jaki ślad?
- Masz wielbicielkę.
- Ja? Ciebie, mam nadzieję.
- Nie żartuj sobie ze mnie. Ta kobieta kocha cię równie głęboko jak ja. Jest też bez wątpienia piękna, blondynka, niebieskooka. Wy, niemieccy mężczyźni, lubicie takie.
- Olga, o czym ty mówisz? Kim jest ta osoba? Jak wiesz, ostatnio miałem raczej ograniczone możliwości poruszania się. Bez względu na to, kim jest ta kobieta, ja mam niepodważalne alibi - wskazał bandaż.
- Ona przez cały czas siedziała na korytarzu szpitala. Bez przerwy szlochała i pociągała nosem.
- Olga, nie mam pojęcia, kto to może być.
- Gdy lekarz oznajmił, że nic już nie zagraża twojemu życiu, poszłam na korytarz i powiedziałam jej o tym.
- Kim jest ta kobieta?
- Ona znów rozplakała się, tym razem jednak z ulgi i radości. Cieszyła się nie mniej niż ja. Padliśmy sobie w ramiona i płakaliśmy razem. Z twojego powodu. Żadna z nas, przysięgam ci, nie cieszyła się mniej niż druga.
- Powiedz, na Boga. Kim jest ta kobieta?
- Spojrzała na niego z namysłem i przez chwilę zastanawiała się.
- Maria. Kelnerka z Hotelu Zamkowego. Ta, która podawała nam pieczeń z różną.
- Maria Roth? Nie żartuj sobie. To przecież niemożliwe. Ona kocha kogoś innego. Z pewnością nie mnie.
- Kobieta to potrafi - roześmiała się Olga. - Cóż ona ma takiego, czego ja nie mam? No powiedz... Ty kobieciarzu!

Nachyliła się nad nim i pocałowała go.

Trzy dni później pod fałszywym nazwiskiem zadzwonił do Hotelu Zamkowego i zapytał o Marię Roth. Odebrał jej ojciec.

- Nie ma jej tu - odpowiedział.

- Kiedy będę mógł porozmawiać z panią Marią Roth?

- Już tu nie pracuje - dodał jej ojciec.

- Gdzie mógłbym ją spotkać?

- Nigdzie - odparł Kurt Roth i odłożył słuchawkę. Dengler wybrał numer do firmy Sternberg Systemy Mocujące.

- Proszę o połączenie z Robertem Sternbergiem - powiedział do telefonistki. Upłynęła chwila, aż wreszcie ktoś odebrał telefon.

- Ilona Sternberg.

- Dzień dobry, pani Sternberg. Mówi Georg Dengler Chciałbym mówić z pani bratem.

Przez chwilę zwlekała.

- Mój brat już nie pracuje w firmie. Odszedł od nas - odpowiedziała. W jej głosie było słycać zgorzkniały ton.

- Czy ma pani może numer telefonu, pod którym mógłbym go złapać?

Podala mu numer w Ludwigsburgu i odłożyła słuchawkę.

Robert Sternberg odebrał po trzecim dzwonku.

- Mówi Georg Dengler - przedstawił się. - Przepraszam, że panu przeszkadzam. Właściwie to szukam Marii Roth. Przypuszczam, że znajdę ją u pana.

- Ma pan rację.

- Pani Roth - powiedział, gdy Maria podeszła do aparatu. - Sądzę, że nadeszła pora, żebyśmy porozmawiali.

- Tak - odparła cicho.

- Zapraszam panią na obiad.

Przez moment zwlekała z odpowiedzią.

- Przyjdę - zgodziła się w końcu.

- Spotkajmy się dziś w południe. Może w Stuttgarcie w restauracji Vinum o pierwszej?

- Przyjadę - powtórzyła głuchym głosem.

Dengler pomyślał, że nie był to głupi pomysł, by sprawę zakończyć dokładnie w tym miejscu, gdzie się rozpoczęła.

W restauracji Vinum było tłoczno. Duży drewniany stół, przy którym siedział z Robertem Sternbergiem podczas ostatniego pobytu tutaj, był zajęty. Siedział przy nim około trzydziestopięcioletni mężczyzna w jasnobrązowym garniturze z rzucającymi się w oczy bujnymi, kręconymi lokami, który spojrzał nerwowym wzrokiem na Marię Roth, gdy weszła do lokalu.

Dengler siedział przy barze i pił podwójne espresso z odrobiną mleka. Dał jej znak.

Usiedli przy mniejszym stoliku obok okna.

- „Wiedźcie, że Maryja jest naszą nadzieją. Do niej się uciekamy i w niej szukamy pomocy”. Czy zna pani te słowa?

Maria Roth opuściła głowę, potem przytaknęła. - Te słowa znajdują się w leśnej ka-pliczce, a ja przeczytałem je na krótko przed tym, gdy ktoś do mnie strzelił. Opuściła głowę jeszcze niżej.

- To pani wysyłała do mnie SMS-y, prawda? Ponownie skinęła głową.

- Zdawała pani sobie sprawę z tego, że wciąga mnie w pułapkę.

Maria Roth podniosła szybko głowę i spojrzała na niego wzburzona.

- Wielkie nieba, nie. Tego nie wiedziałam. Gdybym przypuszczała, że...

Wybuchnęła płaczem i zakryła twarz dłońmi.

- Nie wiedziałam, że... Musi mi pan uwierzyć.

- Nawet pani wierzę. Olga powiedziała mi, że codziennie przesiadywała pani w szpitalu i sprawiło pani dużą ulgę, kiedy stało się jasne, że wyjdę z tego cało.

Skinęła głową, potakując. Z jej oczu strumykiem płynęły łzy.

- Byłoby straszne, gdybym była winna...

Atrakcyjna młoda kobieta z czarnymi, ciasno upiętymi włosami podeszła do stolika i zapytała, czego sobie życzą. Maria Roth potrząsnęła przecząco głową i patrzyła na bok. Dengler zamówił dwa

kieliszki szampana.

- Wzniesmy toast za to, że jeszcze żyję - dodał, gdy kieliszki stały już przed nimi.

Maria Roth roześmiała się i wzięła kieliszek.

- Za to wypiję chętnie - odparła. Stuknęli się kieliszkami.

- Chciałbym jednak wiedzieć, kto do mnie strzelał. I dlaczego.

Ponownie opuściła głowę.

- Ja... Nie mogę tego powiedzieć.

- Mam pewien niepoprawny nawyk. Nie daję za wygraną, dopóki nie pojmem do końca, jak się sprawy mają. Ja zaś wciąż nie wiem, dlaczego do mnie strzelano. Czy pani to wie?

Zaprzeczyła, kręcąc głową.

- To musi mieć jakiś związek z moim pierwszym zleceniem - podjął temat. - Pani ojciec oraz pani dziadek sądzili, że wciąż jeszcze pracuję dla rodzeństwa Sternbergów, chociaż rzeczywiście próbowałem wyjaśnić losy czarnoskórego pilota. Zgadza się?

Przytaknęła.

- Jest mi pani winna pewną przysługę - dodał.

Dengler podał Marii Roth chusteczkę, ona zaś wytarła łzy.

- Więcej niż jedną - odparła.

- Istnieje dodatkowy aneks do umowy, na mocy której Hotel Zamkowy został przepi-sany na własność pani ojca. Gdzie może znajdować się ten dokument?

Wydmuchala nos w chusteczkę Denglera.

- Z pewnością wśród dokumentów dziadka.

- A te znajdują się...? - W jego sypialni.

- Zakładam, że on nie pokaże mi tego dokumentu dobrowolnie.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Widzi pani, dlatego będziemy musieli przeprowadzić pewną niewielką akcję.

- Tylko pod warunkiem, że ani mój dziadek, ani mój ojciec nie trafią do więzienia.

Dengler zastanowił się przez chwilę, po czym podał jej dłoń na zgodę i wyjaśnił, na czym polega jego plan. Maria uzupełniła go.

75. Dengler czekał, aż zapadnie zmrok

Dengler czekał, aż zapadnie zmrok. Spojrzał na zegarek.

Maria zgodnie z umową weszła do restauracyjnej sali Hotelu Zamkowego pół godziny temu. Dengler skrył się za szarym renault i przez szyby samochodu obserwował to, co dzieje się w restauracji. Gdy zobaczył, że ostatni goście zbierali się do wyjścia, a Maria przywołuje ojca do stolika, przy którym siedziała ze swoim dziadkiem, Dengler opuścił punkt obserwacyjny i pobiegł w kierunku ulicy. Potem zrobił duży łuk w stronę prawego narożnika domu, starając się, żeby nie padły na niego promienie światła wychodzące z okien lokalu ani też żeby nie oświetliło go mętne światło latarni Hotelu Zamkowego. Schylony pobiegł ku niewielkiej ogrodowej furtce z boku domu. Była otwarta. Maria dotrzymała zatem słowa.

Przemknął do środka.

Przyciśnięty do ściany szedł ostrożnie aż do drewnianej werandy. Spojrzał na górę.

Światła były zgaszone. Rzeczywiście, Maria spisywała się jak należy.

O ścianę oparto aluminiową drabinę. Przystawił ją do drewnianego filaru i wszedł na pierwsze stopnie.

Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że wchodzenie po drabinie przychodziło mu z trudem. Drewniany słup nie miał nawet trzech metrów, ale już w połowie drogi opuściły go siły, a w piersiach poczuł kłujący ból. Zrobił krótką przerwę, po czym pokonał pozostały odcinek, dotarł do balkonu i ostrożnie przeszedł przez balustradę.

Nasłuchiwał. W pokoju nic się nie poruszało. Z kieszeni wyciągnął dwa duże plastry i przylepił je do drzwi z oknem, dokładnie na wysokości klamki przy drugim skrzydle drzwi balkonowych.

Ponownie nasłuchiwał. Potem uderzył precyzyjnie w szybę przez plaster. Z głuchym zgrzytem szkło pękło, ale odłamki pozostały przyklejone do obu pasków plastra. Ostrożnie wyciągnął plaster i położył na podłodze, a następnie włożył ostrożnie rękę przez otwór, chwycił

klamkę i otworzył drzwi.

Powoli wszedł do środka i rozejrzał się.

Sypialnia Alberta Rotha była urządzona ze spartańską prostotą. Pośrodku znajdowała się połówka małżeńskiego łóża, po prawej stronie szafa na ubrania, po lewej biurko, o którym wspominała Maria.

Podkradł się do drzwi i przystawił ucho do drewna. Z korytarza za nimi nie dobiegał

żaden szmer. Nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Ostrożnie zasunął rygiel od środka.

Podszedł do biurka i przyjrzał mu się badawczo. Pod blatem na-macał szufladę, a po prawej stronie drzwiczki. Dengler otworzył szufladę. W środku była puszka z tabaką oraz dwa dłu-gopisy. Powoli zasunął ją. Drzwiczki od biurka były zamknięte. Wyciągnął śrubokręt z kieszeni spodni i wyłamał zamek.

Z tyłu za drzwiczkami znajdowały się trzy kolejne szufladki. W każdej z nich leżały jedna na drugiej teczki na dokumenty. Dengler wyciągnął tę znajdującą się na górze. Zawierała formularze zeznań podatkowych oraz dokumentację przeznaczoną dla urzędu skarbowego.

Odłożył teczkę na miejsce.

Następnie wyciągnął z innej kieszeni latarkę przymocowaną do opaski na czoło. Za-łożył opaskę na głowę. Raz jeszcze przez chwilę nasłuchiwał, po czym włączył latarkę.

Usiadł na krześle przy biurku. Teraz przeglądał kolejno zawartość każdej teczki, ale wciąż znajdował tylko zeznania podatkowe, wycinki z gazet na temat historii Gündlingen, dokumenty z życia Alberta Rotha, pamiętnik z czasów kawalerskich, później rodzinną księgę, metrykę urodzenia Fritza Rotha, akt zgonu Edith Roth z domu Bender oraz testament starego człowieka. Dopiero w dolnej szufladzie, w niemal zbutwiałej skórzanej teczce znalazł strony z umową między Volkerem Sternbergiem a Kurtem Rothem, podpisaną przez Alberta Rotha.

Niżej, w przezroczystej koszulce znajdowały się inne, pożółkłe kartki papieru.

Dengler sięgnął ręką stronę czoła i skorygował strumień światła latarki. „Porozumienie dodatkowe” - zobaczył ręcznie sporządzony napis. Dengler powoli wstał i zaczął czytać tekst.

Teraz zrozumiał, dlaczego ktoś do niego strzelał.

76. Dengler pchnął drzwi od sali restauracyjnej

Dengler pchnął drzwi od sali restauracyjnej. Przy okrągłym stole przy barze siedziała Maria Roth, jej ojciec oraz Albert Roth, jej dziadek. Jej matka stała za barem. Czapka z daszkiem Alberta tym razem leżała na stole. Rzadkie włosy na jego głowie znajdowały się w nie-

ładzie. Przed nim stała w połowie pusta butelka piwa oraz pojemnik z ciepłą wodą. Stary człowiek sprawiał wrażenie przemęczonego i chorego.

Kurt Roth był blady jak ściana. Opuścił głowę i kiwał nią, jakby nie był w stanie uwierzyć w słowa, które przed chwilą usłyszał z ust własnej córki i własnego ojca. Po twarzy Marii Roth spływały łzy.

Albert Roth spojrział na Denglera zmęczonymi oczyma.

- Pan... - wydusił z siebie.

- W jaki sposób pan tu... Pan tu wszedł? - zapytał Kurt Roth i dostrzegł wciąż otwarte drzwi, prowadzące do prywatnej części mieszkalnej.

- Zajmowałem się przez chwilę badaniem historii tego hotelu - odparł Dengler i podszedł do stolika.
- Skąd pan to ma? - zapytał Albert Roth i wskazał dokument, który detektyw wciąż trzymał w prawej dłoni.
- Cóż, z pańskiego biurka - odparł Dengler. - Znajdował się obok umowy, którą w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku zawarł pan z Volkerem Sternbergiem.
- W takim razie wie pan teraz wszystko - powiedział z rezygnacją starzec.
- Nie do końca. Musi mi pan wyjaśnić jeszcze kilka spraw.

Dengler przerwał na moment, po czym kontynuował:

- To pan poprosił wnuczkę, żeby wysyłała SMS-y, które pan dyktował jej prawdopodobnie przez telefon komórkowy... Siedziała...
- Byłam wtedy w kafejce internetowej w Bruchsal - dopowiedziała Maria.
- Skąd pan miał numer mojej komórki?
- Od pańskiego kolegi, tego małego faceta. „Od Łasicy”.
- Ile pan mu zapłacił?
- Sto euro.

Dengler kiwnął głową.

- Po tym, jak ściągnął mnie pan do kapliczki w lesie, strzelił pan lub pana syn ze starego karabinu, stanowiącego kiedyś wyposażenie Wehrmachtu.
- To ja - odezwał się Kurt Roth. - Niech pan zostawi mojego ojca w spokoju.
- Nie, to nie był Kurt - wyjaśnił stary człowiek. - Nie chciałem pana nawet ranić. Drżała mi ręka. Nie chciałem pana trafić. Chciałem tylko, żeby pan przestał i...
- I zrezygnował z szukania amerykańskiego lotnika - dokończył za niego Dengler.

Albert Roth skinął głową, przytakując.

- Dlatego że w porozumieniu dodatkowym do umowy darowizny znajduje się zapis, że hotel wróci na własność Volkera Sternberga lub jego spadkobierców, jeśli sprawa z pilotem wyjdzie na jaw - kontynuował Dengler.

Albert Roth przytaknął.

- Kiedy zacząłem wypytywać o czarnego pilota, był pan przekonany, że wciąż działałam na zlecenie

Ilony i Roberta Sternbergów, i że znajdują się już blisko rozwiązania zagadki... Pan zaś będzie musiał oddać hotel.

Starzec ponownie skinął głową.

- W rzeczywistości reprezentuję jednak syna tego lotnika - wyjaśnił Dengler. - On chce wiedzieć, w jaki sposób jego ojciec dokonał żywota.

- Opowiedz mu, ojcze - ponownie głos zabrał Kurt Roth.

- Opowiedz mu, w przeciwnym razie ja to uczynię.

Stary człowiek westchnął i upił łyk grzanego piwa. Wtedy skierował wzrok na Denglera.

- W ostatnich dniach wojny byłem na urlopie w rodzinnych stronach. Zostałem ranny.

Nie chciałem już jednak wracać na front. Dlatego przystąpiłem do jednostki Volkssturmu w Gündlingen. Było to budzące śmiech pospolite ruszenie, bez wyszkolenia i bez broni. Po prostu nic. Zabrałem Kurta z sobą. Chciałem mieć na niego oko. Chłopcy zawsze robili jakieś bez-myślne rzeczy. To oni odnaleźli zestrzelony samolot i przeszukali kokpit. Potem spotkali się oko w oko z czarnoskórym pilotem i wpadli w trwogę. Następnie Amerykanina pojmano i zamknięto w strażackiej remizie. Przed remizą zaś każdego dnia odbywała się musztra kompanii Volkssturmu.

Albert Roth zakaszłał. Jego syn podszedł do niego zatroskany od tyłu i poklepał go po plecach. Kiedy atak kaszlu minął, usłyszeli ciężki oddech starca.

- Byliśmy wówczas dziećmi - podjął relację Kurt Roth.

- Mój przyjaciel Fritz i ja patrzyliśmy na wrogie samoloty, które codziennie przelatywały nad naszymi głowami, wciąż wierząc z dziecinnym zapałem w słowa Führera.

- Byliście wówczas głupimi dzieciakami - podjął Albert Roth. - Nierozumnymi urwi-sami, którzy mieli to nieszczęście, że wychowywali się w latach wojny.

Kurt Roth położył dłoń na dłoni ojca.

- Volker Sternberg był dowódcą kompanii Volkssturmu - kontynuował starzec. - Był

nazistą. Zamierzał zbudować zapory przeciwczołgowe, które miały dać odpór amerykańskim czołgom nadjeżdżającym do Bruchsal od strony Heidelbergu. W pobliżu znajdowały się jeszcze niemieckie czołgi. Grupa taktyczna Kullmann, na północ od Bruchsal. Gdyby doszło do walki, nastąpiłoby to od północy, w pobliżu fabryki należącej do rodziny Sternbergów. Dlatego on chciał, żebyśmy ustawili zapory przeciwczołgowe po wschodniej stronie miasta, odciągając w ten sposób Amerykanów od jego fabryki. Rozumiecie?

Dengler przytaknął.

- Nikt z nas nie chciał ryzykować życiem. Doszło do ożywionej dyskusji. Sternberg zaczął wykrzykiwać. Groził też wezwaniem SS.

- Wystrzelił w powietrze, po czym rozkazał memu ojcu, by oddał swój karabin - podjął relację Kurt Roth.

Przez moment panowała cisza.

- Chciał pewnie odzyskać autorytet - powiedział Albert Roth. - Gdybym wiedział, co zamierza, nigdy nie oddałbym mu mojej broni.

- Wziął karabin - kontynuował opowieść Kurt Roth i spojrzał na ojca. - Po czym polecił

Fritzowi, swojemu synowi i mojemu najlepszemu przyjacielowi, oraz mnie, żebyśmy do niego podeszli. Rozkazał: „Chodźcie ze mną”. Podeszliśmy do drzwi remizy. Sternberg je otworzył.

Fritz i ja weszliśmy razem z nim do ciemnego wnętrza.

W oczach Alberta Rotha zabłyśły łzy.

- Zbyt późno pojąłem, co on zamierza - ciągnął relację starzec. - Po prostu nie rozumiałem, nie byłem nawet w stanie sobie tego wyobrazić. Przez całe życie wyrzucałem sobie, że zareagowałem wtedy zbyt późno. Gdy zrozumiałem, co on chciał zrobić, biegłem ku drzwiom.

Jednak on zamknął je od środka. Waliłem pięściami i krzyczałem: „Wypuść mojego chłopaka!”

Po twarzy Alberta Rotha spływały teraz łzy, pozostawiając ciemne ślady na policzkach.

77. W snopie oślepiającego światła stał mężczyzna

W snopie oślepiającego światła stał mężczyzna.

Zamknął drzwi remizy i zaryglował je. Teraz Steven Blackmore rozpoznał też dwóch chłopców. To te same dwa podrostki, których zaskoczył przy kokpicie rozbitego myśliwca.

Mężczyzna trzymał karabin. Podeszedł do niego.

Mózg Blackmore'a pracował na najwyższych obrotach. Obecność chłopców stanowiła dobry znak. „Nie strzeli do mnie w obecności dzieci”.

W oczach mężczyzny z karabinem kryło się jednak zło. Stojąc tuż przed pilotem, mężczyzna zarepetował broń. Nabój wszedł do zamka z głośnym szczęknięciem. Spod przy-mkniętych powiek świdrował Blackmore'a wzrokiem.

Mężczyzna polecił chłopcom, by podeszli bliżej. Zrobili niepewnie kilka kroków.

Młodszy zaczął płakać. Mężczyzna coś do niego krzyknął. Podał karabin większemu z nich. Na zewnątrz ktoś zaczął walić w drzwi i krzyczał.

- Wypuść mojego chłopaka!

Chłopiec z karabinem spojrzał w stronę drzwi. Mężczyzna podszedł do niego.

Blackmore nie znał ani słowa po niemiecku, zrozumiał jednak ten rozkaz:

- Strzelaj Kurt, strzelaj! Strzelaj w końcu. Blackmore znów próbował przetrzeć więzy.

- Strzelaj wreszcie, strzelaj!

Chłopak rozplakał się na dobre. Wylot lufy zatoczył koło. „Może nie trafi!”. Z zewnątrz znów dobiegło walenie w drzwi.

- Wypuść mojego chłopaka, ty świnió!

- Strzelaj teraz!

Mężczyzna chwycił lufę i przyłożył ją do skroni Blackmore[^].

- Strzelaj teraz, strzelaj, do jasnej cholery! Strzelaj!

Blackmore spojrzał chłopakowi w oczy. Chłopak odtrącił broń na bok. Mężczyzna puścił lufę. Chłopiec nacisnął spust, a Blackmore poczuł ból w barku.

Niewypowiedziana ulga.

„Chybił. Chłopiec chybił!”. Bólu w barku niemal w ogóle nie czuł. „Być może jednak przeżyję. I wyniosę z tego całą głowę”.

Blackmore wciąż przecierał sznur. Czuł, jak powoli więzy puszczają. Mężczyzna przeładował karabin i wcisnął go mniejszemu z chłopców do ręki. Po czym ryknął na niego:

- Teraz ty strzelaj!

Chłopak płakał. Posikał się w spodnie. Blackmore dostrzegł, jak mocz spływa mu po nodze.

- Strzelaj, Fritz! Do cholery, strzelaj w końcu!

Znów mężczyzna przyłożył wylot lufy do skroni Blackmore[^].

- Strzelaj teraz albo zatłukę cię na śmierć. Blackmore szukał wzroku małego chłopca.

Małec zamknął jednak oczy.

- Strzelaj w końcu!

Zdjęty grozą widział, jak prawy palec wskazujący chłopca dotyka spustu. Blackmore wykrzyknął i szarpnął węzły, puściły. Udało mu się. Ręce miał wolne. Pomyślał o swoim synu w Chicago.

Wtedy padł strzał.

78. W sali restauracyjnej hotelu zamkowego zapadła cisza

W sali restauracyjnej Hotelu Zamkowego zapadła cisza.

Po chwili łamiącym się głosem odezwał się Albert Roth:

- Jak szalony waliłem w te drzwi. Pobiegłem więc z powrotem i chciałem odebrać karabin z ręki któremuś członków Volkssturmu. Wtedy rozległ się strzał. Wewnątrz remizy, a po budzącej grozę przerwie drugi.

Skierował wzrok na Denglera.

- Drzwi otworzyły się. Sternberg wyszedł, trzymając syna za rękę, Kurta pchał przed sobą. Rzucił mi karabin. „Pogrzebicie czarnucha, natychmiast. W tym miejscu. Nikomu o tym ani słowa”, rozkazał zebrany ludźmi. Później odszedł ze swoim synem.

Starzec otarł chusteczką łzy z twarzy. Na chwilę zamilkł, ale znów podjął opowieść.

- Później przyszli Amerykanie i szukali swojego towarzysza broni. Chciałem donieść na Sternberga. Później wpadłem jednak na inny pomysł.

- Zmusił go pan wtedy, by przepisał własność hotelu na syna - dopowiedział Dengler.

- Tak. Za to, co uczynił mojemu synowi. Jako zabezpieczenie dla Sternberga porozumienie dodatkowe do umowy. Jeśli puszczyć parę z ust, stracimy hotel.

Dengler wstał. Położył dokument na stole i powoli ruszył w stronę drzwi.

- Chwileczkę, niech pan zabierze mnie z sobą! - zawołała Maria Roth.

Razem opuścili Hotel Zamkowy.

Epilog

Tej nocy Dengler nie spał. Opowiedział Oldze całą historię jeden raz, drugi, trzeci i w końcu nie wiedział już ile razy. Trzymała go w ramionach i słuchała.

Dwa dni później Dengler napisał długi e-mail do Juniora Wellsa.

Późną wiosną 2005 roku leżał jeszcze śnieg, kiedy w stuttgarckim domu imienia Gustava Siegla

otworzono nowy jazzowy klub. Dengler był jego członkiem, Olga także. Martin Klein został nawet wybrany na członka zarządu stowarzyszenia.

Podczas inauguracyjnego koncertu na scenie wystąpił Junior Wells. Poświęcił ten występ pamięci ojca. Langenstein był również na widowni, a major Hooker wraz z kilkoma kolegami siedział przy jednym ze stolików. Dengler zobaczył go po raz pierwszy w cywilu.

Przyszedł też Jakob. Był także Mario oraz Leopold Harder. Wszyscy siedzieli razem z Olgą i Georgiem przy jednym stoliku, bezpośrednio pod sceną. Po występie Junior przyszedł z garderoby i długo obejmował Georga Denglera.

- Dziękuję ci za wszystko.

Później niski czarnoskóry mężczyzna zrobił krok do tyłu i spojrzał na detektywa, mrugnawszy okiem.

- Powiedz mi, czy mają tu whisky Jim Beam? Dengler uśmiechnął się i trzymając się pod ramiona ruszyli razem do baru.

Fikcja i prawda - posłowie

Upłynęło już pięć lat od momentu, kiedy pewien artykuł w „Stuttgarter Zeitung” zwrócił moją uwagę. *Zmowa milczenia na temat zabójstwa - śledztwo w sprawie śmierci, po odkryciu szkieletu. Czy pilot amerykańskiego bombowca został zlinczowany przez chłopów?*-

tak brzmiał tytuł. Dziennikarz Wieland Schmidt opisał sprawę związaną z odnalezieniem szkieletu, który najprawdopodobniej stanowił szczątki amerykańskiego pilota bombowców, który - jak głosiły pogłoski - w marcu 1945 roku został zamordowany przez miejscowych chłopów. Od dziesiątków lat w Bruchsal krążyły pogłoski o tym mordzie, wszyscy świadkowie i wtajemniczeni milczeli jednak jak grób aż do tego dnia.

Moją uwagę przyciągnęła wtedy pewna gorączkowa ciekawość, która zawsze mnie ogarnia, kiedy dochodzę do przekonania, że natrafiłem na ślad pasjonującej historii.

Źródła informacji w tym konkretnym wypadku były raczej skąpe i lakoniczne, takie pozostają też aż do dziś. W całej Europie wciąż za zaginionych uważa się ponad 44 tysiące amerykańskich żołnierzy. Osobiście szacuję, że liczba żołnierzy sił alianckich, którzy stali się obiektem linczu, wynosi ponad tysiąc. To wciąż niezbadany wątek historii II wojny światowej.

O ile wiem, po dziś dzień nikt jeszcze nie przeprowadził gruntownych historycznych badań na ten temat. Powstała jedynie witryna w Internecie - <http://www.flieger-lynchmorde.de> - w której opisano poznane do tej pory historie.

Konwencja genewska w jednoznaczny sposób reguluje traktowanie jeńców wojennych.

W 1934 roku Niemcy tę umowę ratyfikowały! Artykuł 2 konwencji głosi: *Jeńcy wojenni podlegają jurysdykcji władzy państw przeciwników. Nie mogą być na nich dokonane akty przemocy strony osób fizycznych czy oddziałów, które ich pojmały. W*

każdej sytuacji winni być traktowani w sposób humanitarny. W szczególności nie można dopuszczać się wobec nich żadnych aktów przemocy, nie można ich poniżać ani wystawiać na pośmiewisko. Zabrania się dokonywania na nich samosądów.

Naziści nie tylko pozwalali na linczowanie żołnierzy alianckich, ale nawet takie akty popierali. Heinrich Himmler, niesławny Reichsführer SS, a od 1943 roku także minister spraw wewnętrznych i tym samym szef policji, wydał zalecenie, na podstawie którego niemiecka policja miała nie interweniować, gdy „niemieccy towarzysze” próbowali dokonywać rozrachunku ze zestrzelonymi alianckimi lotnikami. Już wcześniej Hildebrandt, Gauleiter regionu Mecklenburgia, zażądał, aby wszystkich brytyjskich pilotów bombowców rozstrzeliwać. W

artykule opublikowanym w czasopiśmie „Völkischen Beobachter” w maju 1944 roku, Josef Goebbels napisał, że rząd Rzeszy nie jest w stanie „wrogich, siejących terror lotników” uchronić przed atakami niemieckiej ludności, co było zawołanym wezwaniem do linczowania i co zostało w ten sposób zrozumiane przez niemieckich urzędników służących nazi-stowskiemu reżimowi. Dwa dni później Reichsleiter Martin Bormann w poufnym rozkazie przesłanym do wszystkich szefów okręgów i powiatów partii nazistowskiej zalecał, żeby osoby, które dopuściły się linczu na alianckich lotnikach, nie były przedmiotem policyjnego dochodzenia ani postępowania sądowego. Stosownie do tego zareagowało również dowództwo Wehrmachtu. Feldmarszałek Keitel odmówił w poufnym rozkazie dawania ochrony alianckim pilotom, jeśli ci zostaną schwytani. Dnia 26 lutego 1945 roku Albert Hoffmann, Gauleiter i komisarz obrony regionu południowa Westfalia, napisał do wszystkich lokalnych radnych, burmistrzów, urzędników policyjnych, szefów lokalnych komórek partii NSDAP oraz szefów lokalnych sztabów niemieckiego Volkssturmu, żeby zestrzelonych pilotów nie chronić przed gniewem cywili: *Oczekuję, iż żadne komórki partyjne nie będą stawiały w obronie tych zbrodniarzy. Jeńcy wojenni zostają pod władzą Mocarstwa nieprzyjacielskiego, lecz nie pod władzą osób lub oddziałów, które ich wzięły do niewoli. Winni być oni zawsze traktowani w sposób humanitarny, a w szczególności mają być chronieni przed aktami gwałtu, obrazy i ciekawości publicznej. Środki odwetowe względem nich są zabronione.* Po głębszej analizie tych słów staje się oczywiste, że dokonywane przez ludność cywilną masakry uzyskały państwowe błogosławieństwo.

Już 20 marca 2000 roku zwróciłem uwagę na artykuł opublikowany we „Frankfurter Rundschau”, poświęcony lotnikom z Tuskegee. Wydał mi się on tak interesujący, że nawet go sobie wyciąłem. Jörg Michael Dettmer był jego autorem i nadał mu jednoznaczny tytuł: *Bo-haterowie w powietrzu, czarnuchy na ziemi*. Tytuł ten tak mi się spodobał, że w pewnym miejscu włożyłem te słowa w usta Stevena Blackmore’a. Po ten artykuł sięgnąłem ponownie, kiedy już pracowałem nad szkicem do tej książki i nad rozdziałami związanymi z zestrzeleniem samolotu. Wykorzystałem w nich między innymi pewne uwagi dotyczące charakteru pilota.

Pomocny również w moich poszukiwaniach okazał się film *The Tuskegee Airmen* {*Czarna eskadra*}, w którym swoją pierwszą główną rolę zagrał Laurence Fishburne (znany z *Matriksa*).

Dużą pomocą w pracach nad powieścią służył mi również Peter Huber, który udzielił mi kilku

ważnych wskazówek. To on podarował mi egzemplarz książki własnego autorstwa *AL*

der Himmel Feuer spie (Gdy niebo ziało ogniem) jako materiał do badań na temat wojny powietrznej w regionach Kraichgau, Hardt oraz Buhrain, którą wydał w 1996 roku. W książce tej znajduje się warta wzmianki relacja angielskiego strzelca pokładowego, Richarda Dysona, na podstawie której stworzyłem sceny zestrzelenia samolotu Stevena Blackmore'a.

Tworząc rozdziały i ustępy, w których opisane jest miasto Bruchsal, opierałem się, oprócz książki Hubera, na następujących publikacjach: Hubert Blasi, *Stadtim Inferno, Bruchsalim Luftkrieg 1939/45*, opublikowanej nakładem Komisji Historycznej Miasta Bruchsal, wydawnictwo Regionalkultur (1995 rok). Korzystałem także z prac: *Diesen Augen-blick werde ich nocht vergessen... Die Zerstörung Bruchsals am 1. Marz 1945 im Augenzeu-genberichten*, (publikacja Komisji Historycznej Miasta Bruchsal, wydawnictwo Regionalkultur, 1995 rok), *Bruchsal 1945*; Stolzen-berg, Stecher, Blasi, *Ende undAnfang*, wydawnictwo Historii Narodowej przy Archiwum Miasta Bruchsal, Bruchsal 1971 rok). Prace Komisji Historycznej Miasta Bruchsal stanowiły dla mnie nieocenione źródło. Żeby jednak nie rozdra-pywać dawnych ran, umieściłem moją opowieść w fikcyjnej miejscowości Gündlingen.

Jeśli autor ma prawo wcielić się w rolę Boga i może tchnąć życie w postaci oraz sceny wydarzeń, to wolno mu również wskrzeszać tych, którzy już opuścili ziemski padół. Czarnoskóry bluesman Junior Wells zmarł 15 stycznia 1998 roku, po czteromiesięcznej walce z rakiem w Szpitalu Miejskim w Chicago. Jeżeli spoglądał na mnie z niebios w trakcie pisania tej książki, to niżej podpisany wyraża cichą nadzieję, że postać jego ojca, którą stworzyłem na kartach tej powieści, wzbudziłaby w nim sympatię. Klub Therasas Lounge jest już zamknięty na cztery spusty. Jeśli ktoś chce odnaleźć to miejsce w Chicago, może odwiedzić położony niedaleko od słynnego klubu inny klub: Rosas Lounge, który jest traktowany jako kontynuacja tradycji Theresa's Lounge.

Pragnę podziękować Edgarowi Maisowi oraz Bibliotece Miejskiej w Idar-Oberstein za przekazanie materiałów na temat historii miasta oraz opisu wydarzenia z ryciną, jakie nastąpiło w mieście Idar-Oberstein.

Na słowa podziękowania zasłużył też Andrea Lareida z Muzeum Flieger-Flab przy porcie lotniczym w Zurychu. W muzeum znajduje się jeden egzemplarz myśliwca Mustang i pozwolono mi wejść do jego kokpitu. Andrea poświęcił mi czas, opisał szczegóły techniczne maszyny, wpoił mi też podstawową wiedzę o technice latania oraz o tym, jak w tym samolocie prowadziło się walkę w powietrzu.

Za udzielone porady natury prawnej, dotyczące umowy z 1947 roku wraz z dodatkowym aneksem, pragnę podziękować mecenasom: Bettinie Kox i Stefanowi Lieberumowi.

Słowa podziękuję kieruję też do Chrisa Liera, który odbył seanse terapeutyczne z członkami rodziny Roth i Sternberg, po których lepiej poznałem ich charakter.

W poszczególnych kwestiach cenną pomocą i wskazówkami służyli mi: Thomas Adam, Dittk Boli, Thomas Nennstil, Gabriele Róthemeyer i Detlef Schorlau. Wszystkim im serdecznie dziękuję. Za krytyczny przegląd rękopisu wyrażam też słowa wdzięczności Uli Geis, Heike Schiher, Ursuli Sobek oraz Davidowi Streitowi.

Bez pracy wykonanej przez mojego redaktora, Nicholasa Woltera, książka ta zapewne nigdy by nie powstała. Współpracę z nim uważam za wielki przywilej.

Stuttgart, sierpień 2005

Spis treści

Prolog: Bruchsal, 1 marca 1945 roku 4

CZĘŚĆ PIERWSZA 12

1. Chodzi o spadek 12

2. Po tym, jak Sternberg zapłacił rachunek 14

3. Jour fixe odbyło się wieczorem 17

4. Kiedy Steven Blackmore znów doszedł do siebie 21

5. Dengler spojrzął na Richarda Nolte 21

6. Olga siedziała przy dużym stoliku 23

7. Sternberg czekał na niego 26

8. Dengler uruchomił silnik 30

9. To przecież nie ma sensu 34

10.	Na	trawie	siedzieli	dwaj	chłopcy.....	35			
11.	Punktualnie	kwadrans	po	siódmej	dostrzegł	Łasicę	36	
12.	Olga	sprawiała	wrażenie	niemile	zaskoczonej	39		
13.	Gdy	bomby	spadały	na	Bruchsal	44		
14.	Sunął	przez	powietrze	nad	piekłem	47		
15.	Kochany	Georgu,	tak	długo	zwlekałam	48		
CZEŚĆ					DRUGA	51		
16.	To	były	dwie	prezerwatywy	51			
17.	Za	Stuttgartem	tkwił	dwie	godziny	w	korku	54
18.	Przyjęcie	u	miliarderów	57				
19.	Budzik	Denglera	zadzwoił	o	wpół	do	siódmej	65
20.	Kierując	się	nagłym	impulsem	68			
21.	W	cieniu	na	skraju	lasu	69		
22.	Dengler	zaparkował	przy	krawężniku	72			
23.	Przed	nim	leżał	kokpit	75			
24.	Znam	pańskiego	ojca	77				

25.	Przy	barze	siedział	szczerpły	mężczyzna	79						
26.	Kryje	się	w	tym	tajemnica	80						
27.	Blackmore	opuścił	miejsce	upadku	maszyny	83						
28.		Krótko		po	dziesiątej	84						
29.	Postanowił	zjeść	obiad	w	Hotelu	Zamkowym	89					
30.		Na		drabiniastym	wozie	90						
31.	Dengler	uważnie	patrzył	w	twarz	Sternberga	93					
32.		Kiedy		zamierzał	odejść	96						
33.	Gdy	Georg	Dengler	na	krótko	przed	ósmą	wszedł	do	lokalu	Basta	99
34.		Między		dwoma	tunelami	101						
35.		Rano		zadzwoił	do	szpitala	103					
36.	Trzy	tygodnie	po	wydarzeniach,	w	których	spore	znaczenie	miął	olej	rycynowy	107
37.		Sternberg		nie	dostrzegł	Denglera	108					
39.	Rankiem	owczarek	dostał	do	jedzenia	112						
40.	Oczy	starego	człowieka	rozbiły	113							
41.		Czwartej			nocy	115						

42.	To	przecież	nie	jest	sprawa	kryminalna	119	
43.			Następnego			dnia	121	
44.						Wieczorem	124	
45.		Sweet		Home		Chicago	125	
46.	Oddział	Volkssturmu	ustawił	się	w	szeregu	128	
47.	Dengler	spojrzał	zdumiony	na	niewielkie	schodki	129	
48.	Krótko	po	jedenastej	na	scenie	pojawił się Junior Wells	132	
49.			Następnego			ranka	134	
50.		Wszystkie		następne		dni	138	
51.	Wałęsali	się	razem	po		mieście	140	
	CZEŚĆ						TRZECIA	143
52.	Lot	powrotny		przebiegł		spokojnie	143	
53.	Kobieta	najpierw	powiedziała	mu	to, co	już	wiedział	146
54.	Steven	Blackmore	siedział	spętany	w	remizie	strażackiej	147
55.			Po			południu	148	
56.	Po		powrocie		do	Stuttgartu	152	

57.	Siedziba	policej	kryminalnej	znajdowała	się	w	nowym	budynku	154
58.			Wczesnym					rankiem	155
59.	Samochód		zawiózł	ich	do	Hotelu		Zamkowego	158
60.		Co			teraz			robimy?	162
61.	Olga		i	Dengler		jedli		śniadanie	165
62.		Co			ona			powiedziała?	168
63.		Tu			powiniennem			kopać	172
64.	Jedno		z	czterech		miejsc		parkingowych	174
65.		Do			następnego			popołudnia	175
66.	Karabin		leżał	przed	nim	na		stole	178
67.	Dengler		wygramolił		się	z		dołu	179
68.		Gdy		dotarli		do		pensjonatu	179
69.	Albert	Roth		sądził,	że	się		przesłyszał	181
70.		Głęboko		i	bez	sennych		marzeń	182
71.	Czy	zna	pan	drogę	do	skrzyżowania	w	Gündlingen?	186
72.		Więzy		były	już	niamal		przetarte	187

73.	Anioł	miał	oczy	Olgi	188
74.	Przez	trzy	tygodnie	czuł się słaby	190
75.	Dengler	czekał,	aż	zapadnie zmrok	195
76.	Dengler	pchnął	drzwi od sali restauracyjnej	196	
77.	W	snopie	oślepiającego światła	stał mężczyzna	199
78.	W	sali restauracyjnej	hotelu zamkowego	zapadła cisza	200
Fikcja	i	prawda	-	poślowie	201

Table of Contents

[Rozpoczni](#)